

SZUKAJ WYDANIA
Z KSIĄŻKĄ
O WYKLĘTYCH

GÓRNY: CO ZAWIERA TAJNE ARCHIWUM WATYKAŃSKIE

JANECKI: POWRÓT TUSKA TO WEJŚCIE SMOCZKA

KOŁODZIEJSKI: Z BIEDRONIEM WRACAJĄ STARZY TOWARZYSZE Z PRL

Wydanie z książką w cenie 9,90 zł

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 10 (379) 2020
2–8 marca 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

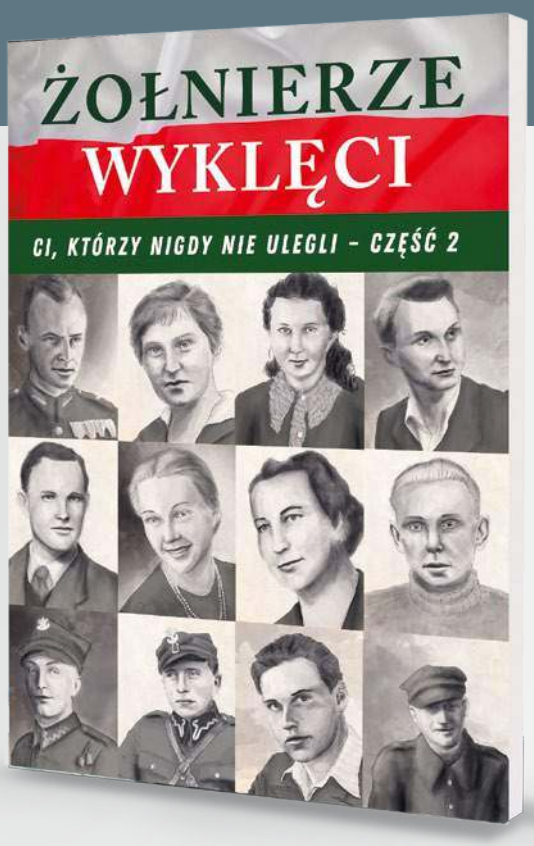
CO UKRYWA SZTAB KIDAWY

CZOŁOWY POLSKI HEJTER MARIUSZ KOZAK-ZAGOZDA ZOSTAŁ WŁAŚNIE ZATRUDNIONY W JEJ KOMITECIE WYBORCZYM. ALE TO TYLKO JEDNA Z WIELU NIEWYGODNYCH TAJEMNIC

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 0aa079c0ec

Tygodnik SIECI
z patriotyczną książką
w sprzedaży do 15 marca



- **sylwetki tych, którzy nie ulegli komunistycznemu terrorowi**
- **bohaterskie czyny, dramatyczne losy, wciąż żywe wspomnienia o Wyklętych**

Kup tygodnik z książką w cenie 9,90 zł

w wybranych punktach sprzedaży m.in.:

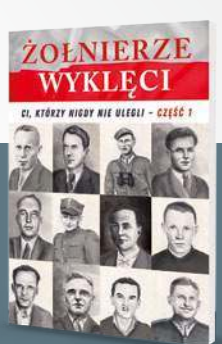
◆ Empik ◆ Relay ◆ InMedio ◆ 1-Minute ◆ Tabak ◆ Media Star ◆ Poczta Polska

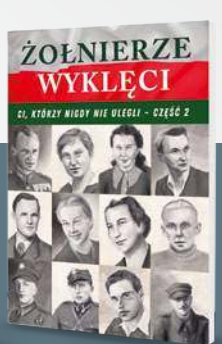
Salony prasowe: ◆ Kolporter ◆ Ruch ◆ Garmond Press

Stacje benzynowe: ORLEN i LOTOS

PARTNER DODATKU

ORLEN





Chcesz kupić oba wydania lub jedno z nich?

Zamów: prenumerata@fratria.pl, tel. 22 616 15 70

eprasa.pl 0aa079c0ec

Prawica wie, jak wygrywać z hejtem

To nie będzie kolejny tekst narzekający na poziom hejtu wobec prezydenta Andrzeja Dudy i generalnie obozu Zjednoczonej Prawicy. Kto myślał, że będzie łatwo, grzeszył naiwnością. Kto sądzi, że można w polityce wygrywać bez boju, musi się jeszcze poduczyć.

A kto pyta, gdzie jest ewentualnie słabość kampanii Dudy, niech przeczyta bardzo ciekawy tekst pani redaktor Aleksandry Jakubowskiej: Jeden woźnica z porządnym batem w ręku – oto moja rada dla sztabu wyborczego Andrzeja Dudy (wPolityce.pl).

Zresztą, nie przesadzajmy z tymi słabościami. To, że niektóre największe media obozu III RP ruszyły do nagonki, nie zmienia faktu, że ogromna większość Polaków ma do ich przekazu duży dystans.

Tak, bez wątpienia w tej kampanii prawica znowu mierzy się z hejtem. To zła wiadomość. Dobra jest taka, że prawica wie, jak z nim wygrywać. I tutaj konieczna uwaga: wymiana pokoleniowa na prawicy to wielki sukces obozu propolskiego. Są dwudziesto-, trzydziestolatkowie, którzy podzielają jego wartości, chcą dla niego pracować – to znaczy, że żyje. To, że dopuszczono ich do tak ważnych funkcji, jest dowodem, że kanały awansu nie są zablokowane.

Ale jest i druga strona medalu: kampanie dawniejsze pamiętają słabo. Doświadczenie walki w warunkach ostrzału ogniowego imperium TVN, machiny Michnika, niemieckich zagonów medialnych, jest im nieznane. Warto więc przypomnieć wnioski, zasady, dzięki którym prawica umiała przetrwać taki ostrzał i wygrywać.

Po pierwsze, wiedza, a nie intuicja spin doktorów. Badanie i rozpoznawanie potrzeb społecznych, obaw, postrzegania rzeczywistości przez wyborców, nawet mitów, które weszły do głów, to podstawowe zadanie sztabowców.



Po drugie, własna agenda, samodzielne wskazywanie pola, na którym dzisiaj rozmawiamy. Dla tych, którzy tak bardzo martwią się tym, co w wielkich – od zawsze wrogich – mediach, mam dobrą radę – wyłączyć to. A w każdym razie nie wpatrywać się jak w lustereczko. Mówić otwarcie o manipulacjach, ale nie pozwolić, by to one stały się rdzeniem przekazu!

Hejt trzeba wyłączyć. Trzeba robić swoje, bo w tych atakach chodzi właśnie o wybicie przeciwnika z pewności siebie, zniszczenie jego planu działania, zaabsorbowanie na tyle, by nie miał sił realizować swojego scenariusza.

Zamiast wchodzić w niezliczone pyskówki, lepiej się zastanowić, jak pomimo takich mediów dotrzeć do Polaków z własnym przekazem. Wykorzystywać bezpośrednie spotkania (na szczęście, to się dzieje) i te kanały, które nie są stronniczymi filtrami.

Po trzecie, prawda. Trzeba mówić prawdę, trzeba operować tym, co sprawdzalne. A tu wszystko, każdy niemal wskaźnik gospodarczy i społeczny, przemawia na korzyść obozu Jarosława Kaczyńskiego. To dorobek, z którego warto być dumnym. W zestawieniu z tym, jak żyli Polacy za PO-PSL, co działo się w Polsce, to wręcz nokautujące. To też oś kampanijna (skrótowo: bitwa o 500+), z której nie warto zrezygnować. Pamiętajmy: obóz opozycji boi się debat merytorycznych, dlatego gra na nakręcenie toksycznych emocji.

Po czwarte, wartości polskie i chrześcijańskie. Bez przekazu wartości, bez mocy duchowej nie da się wygrywać. Słyszę w odpowiedzi, że społeczeństwo jest już inne niż w roku 2015. Na pewno tak bardzo inne? A jakie było w roku 1993, 2001, 2007 – kiedy wygrywały obozy lewicowe lub liberalne, często w sposób przytłaczający? Bywało w przeszłości, że wydawało się, iż dla przekazu patriotycznego w ogóle nie ma przestrzeni. Ale to nie była prawda. W istocie zadaniem było jedynie odnalezienie właściwego języka.

Po piąte, wzajemna solidarność i nerwy na wodzy. Chamstwo bywa straszne, na sali sejmowej, w terenie. Bojówki objazdowe nie cofają się przed niczym. Ale nie wolno odpowiadać im tym samym. Nie wolno. Dlatego dobrze, że w ubiegłotygodniowym wywiadzie dla tygodnika „Sieci" prezydent Andrzej Duda powiedział Marcinowi Wikle: „Jeśli ktoś w ten sposób chce mnie sprowokować, to swojego celu nie osiągnie".

Powtarzam: prawica wie, jak wygrywać z hejtem, jak zwyciężać także w takich warunkach. Nie trzeba tu odkrywać nowych kontynentów.

Michał Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści



26 *Z Elżbietą Witek rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy*



42 Tajemnicza baza danych *Artur Ceyrowski, Piotr Filipczyk*



76 Dlaczego Putin może nacisnąć nuklearny guzik *Marek Budzisz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WIEPRZE I PERŁA**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SIŁA ZŁEGO NA JEDNEGO**
Jan Pietrzak

13 **PUŁAPKI DEMOKRACJI BEZPOŚREDNIEJ**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **PRZEDSZKOLE MARZEŃ ISTNIEJE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **WALIZKA JACKA PAWŁOWICZA**
Michał Korsun

17 **STRACH ZAKASZLEĆ**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **CO UKRYWA SZTAB KIDAWY-BŁOŃSKIEJ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

26 **Z ELŻBIETĄ WITEK**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

30 **WEJŚCIE SMOCZKA**
Stanisław Janecki

32 **Z ADAMEM BIELANEM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

36 **TOWARZYSZ DYPLOMACJI**
Konrad Kołodziejski

39 **Z PIOTREM ZGORZELSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

42 **TAJEMNICZA BAZA DANYCH**
Artur Ceyrowski, Piotr Filipczyk

46 **DWA GROBY MATKI PAPIEŻA**
Milena Kindziuk

SIECI KULTURY

49 **PIĘKNOŚĆ KINA**
Jolanta Gajda-Zadworna

51 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

52 **KAPITAN ŻBIK ZNÓW W AKCJI**
Jolanta Gajda-Zadworna

54 **KONIEC MITU?**
Łukasz Adamski

56 **RECENZJE**
Przemysław Skrzydelski, Adam Ciesielski

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

62 **MILCZENIE PIUSA XII I HOLOKAUST ŻYDÓW**
Grzegorz Górny

OPINIE

66 **Z BP. ATHANASIUSEM SCHNEIDEREM**
rozmawia Jakub Maciejewski

70 **Z RAFAŁEM PORZEZIŃSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

74 **ALFABET TYGODNIA**
Hanna Karp

ŚWIAT

76 **DLACZEGO PUTIN MOŻE NACISNĄĆ NUKLEARNY GUZIK**
Marek Budzisz

80 **SALVINI – PORYWACZ CZY PREMIER**
Jan Rokita

83 **TECHNOLOGIE**
Gadżety

84 **Z KRZYSZTOFEM IWIŃSKIM**
rozmawia Anna Raciniewska

87 **TECHNOLOGIE**
Motoryzacja

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: WŁADYSŁAW PIESZKO**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **TUSKUMUSISZ DRUGI WŚCIEKŁY**
Maciej Pawlicki

91 **ZBLIŻA SIĘ COVID-19**
Wojciech Reszczyński

92 **EKOLOGIA MÓZGU**
Aleksander Nalaskowski

93 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

94 **WYKLĘCI**
Alina Czerniakowska

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **ŻYCIE W CZASACH ZARAZY**
Ryszard Makowski

97 **KSIĘŻNA MARCELINA**
Leszek Długosz

98 **WSPÓŁUDZIAŁ ZACHODU**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 19/0220/F

eprasa.pl 0aa079c0ec



Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od lat wspiera inicjatywy, projekty i wydarzenia promujące polską kulturę wysoką, występując w roli ich sponsora lub organizatora. W poczuciu odpowiedzialności za polskie dziedzictwo kulturalne objęliśmy mecenatem Teatr Telewizji.



Sygnalista nadaje

Marszałek Tomasz Grodzki, z zawodu lekarz, obstawił Senat dozownikami z płynem dezynfekującym. By dać narodowi dobry przykład (i wbić szpilę w rząd poprzez nakręcanie paniki), umył też swoje ręce przed kamerami. Ale popełnił kardynalny błąd, który wytknął mu były marszałek Stanisław Karczewski, także lekarz. Spustu dozownika nie powinno się bowiem naciskać kciukiem, ale łokciem lub wierzchem dłoni, tak jak robią to chirurdzy. „Mycie w ten sposób, jak zostało to zaprezentowane przez Grodzkiego, właściwie przyczynia się do rozprzestrzeniania zarazków" – podsumował Karczewski.

„Nie naciskałem kciukiem dozownika" – szybko odpowiedział Karczewskiemu Grodzki i dodał, jak zwykle pompatycznie: „Czasem granica między rzeczowością a śmiesznością bywa dla niektórych zbyt cienka". Problem w tym, że nagranie udostępnione przez Senat TV jednoznacznie dowodzi, że marszałek Senatu użył kciuka przy myciu rąk. Zdarzenie wbrew pozorom ma poważny charakter: potwierdza, że czasem granica między rzeczowością a śmiesznością bywa dla niektórych zbyt cienka.

Małgorzata Kidawa-Błońska poinformowała Polaków, co myśli o wyborcach PiS. „Jedynym ich źródłem informacji o świecie i o Polsce jest tzw. telewizja publiczna. Jedynym źródłem. Te osoby nie czytają gazet, nie korzystają z internetu – ta trucizna jest sączona do głowy codziennie". Dodała także: „To nie jest tak, że ci ludzie nie myślą. Oni tylko nie mają szans zweryfikować tych informacji. Naprawdę nie mają". Jednym zdaniem głupiutkie, zmanipulowane prostaczki. Czy tak myśli i mówi „prawdziwy prezydent"?

Jacek Żakowski dziwi się, że takie osoby jak Aleksandra Dulkiewicz czy Janina Ochojska popierają Szymona Hołownię. Żakowski pyta, czy prezydent Gdańska powierzyłaby rządzenie miastem właścicielowi warzywniaka, a Ochojska prowadzenie fundacji np. dostawcy pizzy, i odpowiada: „Poważne kraje to takie, gdzie obywatele, a zwłaszcza elity, szanują swoje państwa niewiele mniej niż własne rodziny i firmy. To znaczy, że celebryci bez politycznych doświadczeń, nie walczą o najwyższe urzędy, a jeśli komuś zabraknie rozsądku, to poważni ludzie trzymają się z daleka". Żakowski ma rację, ale tylko częściowo. Bo prezydent Hołownia reprezentowałby przecież nie tylko siebie, ale i tych, którzy go stworzyli.

Zdaniem aktora Daniela Olbrychskiego sprawa jest jeszcze bardziej beznadziejna. „Przecież to jest niewyobrażalne, co się teraz dzieje. Afera goni aferę. Ta partia ma jednak swoich wyznawców i żeby nie wiem co, żeby Jezus Chrystus przyszedł i powiedział »Kopnijcie się w głowę«, to te trzydzieści parę procent zawsze będzie za nimi. Ile jeszcze potrzeba, żeby dotarło do znaczącej części społeczeństwa? Tak dalej być nie może". To dobre pytanie: co i komu powiedziałby dziś Jezus.

Olbrychskiego trudno przebić, ale Tusk potrafi. „Odór przestępstwa, gangu i mafii, który unosi się każdego dnia nad instytucjami państwowymi w Polsce wymaga absolutnej jednoznaczności, jeśli chodzi o rządy prawa w Polsce" – mówił były premier w Białymstoku. Słowa absurdalne i kłamliwe, ale ważniejsze jest co innego: Tuska już mało kto słucha. Kiedyś po takiej erupcji toksyny debatowano by przez tydzień. Teraz krótkie wzmianki na portalach i cisza. To musi być dotkliwe.

Tusk podzielił się także taką oto refleksją: „Jeżeli dzisiaj ludzie na całym świecie łapią się za głowę i zastanawiają się, co się tutaj u nas dzieje, to są ludzie, którzy nie myślą źle o Polsce i o Polakach, tylko dokładnie odwrot-

eprasa.pl 0aa079c0ec

nie". Dodał, że osoby te nie są w stanie pojąć, jak to jest możliwe, że w Polsce będącej symbolem sukcesu europejskiego „jakaś grupa ludzi dostała władzę i robi rzeczy nie do zrozumienia". Może dlatego – przyjmując na chwilę tę nieprawdziwą optykę – że Tusk rządził tak, jak rządził?

Czy Tusk, mówiąc o „odorze mafii", nawiązywał do późniejszej o kilka dni publikacji „Gazety Wyborczej", w której – na podstawie twierdzeń skompromitowanego gangstera – zarzucono Patrycji Koteckiej, żonie ministra Zbigniewa Ziobry, związki ze światem przestępczym? Oznaczałoby to potwierdzenie intuicji wielu osób, że media i politycy opozycji współpracują z sobą na tyle blisko, że można uznać, iż stanowią jedność. Ale Tusk znowu przestrzelił, bo zapowiadana jako sensacja publikacja „GW" okazała się zwykłym kapiszonem. Czerska nie zauważyła, że już nie może zabijać. Jej proch jest mokry.

W wydanym po publikacji tekstu oświadczeniu Patrycja Kotecka stwierdziła: „Autor artykułu, zwracając się do mnie przed publikacją, przyznał w korespondencji SMS-owej: »Mam te akta od 5 lat. Nie chciałem o tym pisać, ale teraz nie mam wyjścia«. W związku z powyższym widać, że »Gazeta Wyborcza« nie traktowała tych materiałów poważnie, a we wcześniejszych publikacjach nawet dyskredytowała »Brodę« [skompromitowanego świadka koronnego]". Wygląda to źle: czyżby w redakcji kierowanej przez ***Adama Michnika*** zmuszano dziennikarzy do atakowania niewinnych ludzi?

Sam Michnik twierdzi, że jest gorzej niż w PRL: „Miałem do czynienia z wymiarem sprawiedliwości niejednokrotnie, w tamtych latach dyktatury, ale muszę powiedzieć, że z czymś podobnym się nie spotkałem. Nigdy. Można powiedzieć, że reżim Gomułki, Gierka czy Jaruzelskiego to nie była bułka z masłem i z kawiorem. Bywało ciężko. Jednak nie było czegoś tak niesłychanego jak ta niebywała arogancja, bezczelność, pogarda dla prawa i obyczaju". Wyklęci, stoczniowcy i górnicy z Wujka mieliby chyba inne zdanie.

Michnik uważa, że najbliższe wybory będą plebiscytem. „W 1989 roku też był plebiscyt – nie było tak ważne, kto z listy solidarnościowej jest lepszy, a kto gorszy. Było nienaruszalne i oczywiste, że liczy się tylko to, czy głos jest za utrzymaniem u władzy formacji, która rządziła systemem dyktatury, czy chodzi o odrzucenie tej formacji. I podobnie jest dzisiaj. Czy my chcemy dalej twardo brnąć donikąd i stać się krajem groteskowej półdyktatury". Mogliby się zdecydować, czy to nazizm, faszyzm i bolszewizm, czy „groteskowa półdyktatura".









Co się zdarzyło w Jachrance podczas wyjazdowego posiedzenia klubu PiS? Czy szefowa kampanii Jolanta Turczynowicz-Kieryłło rzeczywiście „podpadła Kaczyńskiemu"? Na czym polegał problem? „Weszła na scenę i zaczęła opowiadać ckliwe historie o krzywdzie, którą ją spotkała, i o bolesnych atakach medialnych, których doświadcza. Zaczęła »robić martyrologię«, a przecież tam siedzą ludzie porządnie obici, każdy z nich dostał nie raz i nie dwa. Dlatego pojawiły się okrzyki »Andrzej Duda«, przypominające, że tu chodzi o wybór prezydenta, a nie o nią samą" – słyszymy. To była cenna lekcja.

Według Wirtualnej Polski zamieszanie wokół pani Jolanty Turczynowicz-Kieryłło – która w obronie własnej miała „ugryźć mężczyznę" – nie przebiło się do opinii publicznej: „Wyborcy wiedzą, że szefową kampanii jest pani o trudnym do zapamiętania nazwisku. Ale jej nie znają. Część słyszała o publikacjach medialnych na jej temat, ale w dużej mierze te informacje pozostają w medialno-politycznych »bańkach«". To szerszy wniosek: by wygrać w maju, trzeba mówić głośno, jasno i wyraźnie. Innych komunikatów wyborcy mogą nie usłyszeć.

Co ciekawe, mąż pani Jolanty Andrzej Kieryłło w 2014 r. napisał i wydał scenariusz komedii fabularnej pt. „Trzy kule, czyli kulisy upadku pewnej Rzeczypospolitej". „Akcja komedii rozgrywa się w środowisku najwyżej postawionych osób w państwie. W oparach dymu papierosowego, na tle luksusowych karafek po whisky, w wyniku nielegalnego służb specjalnych upada koalicja »Pokój i Tolerancja«, a Prezes partii Damy Radę musi poprosić o rozpisanie przedterminowych wyborów. Pod żartobliwymi pseudonimami w komedii kryją się czołowi politycy rządu PiS z lat 2005–2007, m.in. Jarosław Kaczyński, Andrzej Lepper czy Mariusz Kamiński". Książka jest w sumie więcej niż krytyczna wobec PiS, ale – jak słychać – decydenci o wszystkim wiedzieli. Taka to „dyktatura".

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 0aa079c0ec

Wieprze i perła



KRZYSZTOF FEUSETTE

Zaczynam się wahać. Nie nad Biedroniem, bo na kłamczucha mogą głosować tylko kłamcy, i nie nad Hołownią, bo zanim powie coś oryginalnego, naprawdę, jak sam straszy, skończy się woda na planecie. Kosiniak-Kamysz, raz tęczowy, raz kukizowy, bardziej nadawałby się na magika z cylindrem, a Bosak musi dojrzeć, bo polityka to nie taniec z gwiazdami. Reszta kandydatów to już nawet nie plankton, a bąbelki z akwariowej pompy.

Ale jest przecież ktoś jeszcze. Ktoś, kto gdyby tylko chciał, już dawno byłby głową państwa. Ktoś, kto – cytuję za „Polityką" i Onetem – „jest w stanie poznać markę porcelany bez zerkania na spód zastawy". Ktoś, kto szybko zyskuje rozpoznawalność i nie boi się jej budować kolejnymi wpadkami. Ktoś ciepły i przytulny, kto chce hejtem walczyć z hejtem. Ktoś tak świetnie wypadający na spotkaniach, że sztabowcy wyrywają mu mikrofon, żeby ludzie z zachwytu nie pomdleli. A przecież ta kampania nabiera rumieńców. Nawet jeśli głównie wstydu.

Bo takiej np. „Gazecie Wyborczej" w kampanii wyborczej nie wystarczy już poziom szamba, by wkupić się w łaski wiernych czytelników. Wzięli więc ludzie z wielkiego „gie" i wielkiego „wu" na dziennikarski „warsztat" szefową sztabu wyborczego Andrzeja Dudy. I napisali, że „pogryzła człowieka". Po prostu. Szedł sobie człowiek, a ona go – hyc – zębami w rękę. O tym, że mężczyzna zaatakował fizycznie jej 15-letniego syna, a ją samą (co potwierdziła Straż Miejska) w momencie ugryzienia dusił przedramieniem, dowiedział się tylko czytelnik bardzo wnikliwy. Bo przecież nie po to ten tekst powstał, by opisać, jak kobieta dzielnie obroniła syna przed domorosłym ormowcem, tylko po to, by przekonać czytelników, iż prezydent zatrudnia „mecenas grizzly" – jak naśmiewał się Tomasz Lis, który w obronie własnego dziecka pewnie założyłby koszulkę z jakimś napisem.

Zresztą, podobnie jak przepocone T-shirty naczelnego (hejtera) „Newsweeka", niektóre reakcje na show czerskich rzeźników też przykleją się do właścicieli na długo. Katarzyna Lubnauer: „Szefowa sztabu PAD nie będzie raczej atutem. Jej opinia na temat (...) użycia zębów w kampanii może nie być powszechnie akceptowana". Hanna Lis: „Jeśli szefowa kampanii prezydenckiej w dużym europejskim kraju (pouczająca o #hejtstop) rzeczywiście pogryzła człowieka, to wszyscy powinniśmy oczekiwać wyjaśnień. Także od Andrzeja Dudy". „Pani Hanno, wyjaśnień tak, ale najpierw szczepień" – dopowiadał Waldemar Kuczyński, autorytet totalnej opozycji. Ten komentarz polubił Zbigniew Hołdys. O szczepieniu wspominał też Roman Giertych. I wtedy nareszcie głos zabrała ona. Ta, która jeszcze chwilę wcześniej potępiała wszelką przemoc. Wobec kobiet zwłaszcza. No, ale nie tych głosujących na Dudę, prawda? Oczywista oczywistość. „Prezydent Duda nie ma szczęścia do współpracowników w sztabie (...). No, nie ma szczęścia do ludzi (...). Muszą sprawdzać, z kim pracują, z jakimi ludźmi, bo nasi współpracownicy świadczą o nas" – rzekła ostatnia nadzieja producentów porcelany.

Oczywiście musi poruszać każdego, nawet najgorszego pisowca, ta głęboka wrażliwość Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, ta kobieca solidarność, ale przede wszystkim zdolność do łączenia Polaków wokół wielkich idei, choćby idei duszenia każdego, kobiety czy dziecka, kto stoi po przeciwnej stronie politycznej barykady. A przecież idzie za tym wielka wiedza. Choćby o upadku cywilizacji inkaskiej. „Co się stało z Inkami, którzy byli społeczeństwem bardzo silnie zamkniętym? Po prostu przestali funkcjonować" – zachęcała pani Małgorzata rodaków do przyjmowania muzułmańskich młodzieńców, wprawdzie kompletnie wbrew faktom, ale przecież nie myli się tylko ten, kto nic nie mówi. Ryszard Petru np. twierdził, że „imperia upadały u szczytu swej potęgi", Ewa Kopacz – że ludzie polowali na dinozaury, a pani Małgorzata uważa, że Inkowie „przestali funkcjonować", bo nie chcieli przyjąć hiszpańskich „uchodźców". Reasumując: Ta, Która Miała Być Mniejszym Obciążeniem Niż Tusk, wcale nie zamierza złożyć broni. I – co najważniejsze – daje gwarancję kontynuacji wielkiego dzieła Bronisława Komorowskiego.

Dlatego zachęcam z całego serca do zapoznania się ze wzruszającym portretem kandydatki PO, nakreślonym przez wolny i apolityczny tygodnik „Polityka" w 2015 r., a przywołanym niedawno przez wolny i apolityczny portal Onet. „Ludzie, którzy ją znają – obojętnie koalicja, opozycja czy przyjaciele domu – mówią, że pani Małgorzata jest zrównoważona, pełna taktu i estetycznego smaku". I dalej: „Opinie na jej temat ułożą się w laurkę – nieskazitelne maniery damy, spokój, świetnie dobrane ubrania i fryzury, powściągliwy uśmiech". Wreszcie najważniejsze: „Zawsze była twarda i rozsądna. Przyjaciółki wspominają, jak potrafiła je pocieszyć słowami: my, kobiety, zawsze sobie damy radę".

Jakże wymownie to brzmi w kontekście cytowanej powyżej reakcji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na strumień pomyj wylewający się na kobietę, która nie pozwoliła się dusić człowiekowi szarpiącemu jej syna, prawda? I właśnie dlatego zaczynam się wahać. Nie nad głosowaniem na damę w składzie porcelany, ale nad odpowiedzią – czy to bardziej smutne, czy straszne, że wciąż tylko co czwarty rodak chce oddać na nią głos? I co, panie Schetyna, warto było? Przed wyżej wymienione wieprze rzucać aż taką perłę?

eprasa.pl 0aa079c0ec

Jak siebie samego

W sieci krąży film z przebiegu rekrutacji na dyrektorskie stanowisko. Twórcy filmu informują, iż zamieścili ogłoszenie w internecie i gazetach o wakacie na stanowisko dyrektora operacyjnego, a następnie przeprowadzili prawdziwe rozmowy kwalifikacyjne z potencjalnymi kandydatami do pracy.

Podczas rozmowy poddawani rekrutacji kandydaci są informowani, że stanowisko jest o wiele szersze, a praca wiąże się z potężną odpowiedzialnością. Pierwszym z wymagań jest aktywność ruchowa, a zajęcie wymaga stania nawet przez cały czas pracy. „Musisz być nieustannie na nogach, nieustannie się schylać, nieustannie działać, potrzebny jest wysoki poziom wytrzymałości" – informuje prowadzący rozmowę. Potencjalni kandydaci zaczynają się z niechęcią krzywić: „To dużo", „Jak długo?" – padają pytania. „Od 135 do nieograniczonej liczby godzin tygodniowo. Siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę" – odpowiada prowadzący rozmowę menedżer. Na pytanie, czy są przerwy, odpowiada: „Nie ma przerw". „Czy to jest legalne?" – pyta kandydatka. „Legalne" – odpowiada mężczyzna. „A czy można zjeść obiad?" – chcą wiedzieć uczestnicy rozmowy. „Tylko wówczas, gdy wasz współpracownik skończy". Gdy potencjalni kandydaci zaczynają z niechęcią kręcić głowami, menedżer dodaje, że konieczne są jeszcze wybitne umiejętności negocjacyjne i zdolności interpersonalne. „Właściwie poszukujemy kogoś, kto mógłby mieć stopień naukowy w medycynie, finansach i sztuce kulinarnej. Twój współpracownik wymaga ciągłej uwagi, czasem trzeba pozostać ze współpracownikiem przez całą noc" – ciągnie niezrażony menedżer. Konieczna jest umiejętność pracowania w chaosie, problemy osobiste trzeba odłożyć na bok. I wreszcie wakacje. Nie ma wakacji, a we wszystkie inne święta trzeba pracować dłużej, i to z uśmiechem na ustach. I nie ma czasu na spanie. „To żart", „To okrutne", „To nieludzkie" – odpowiadają uczestnicy rekrutacji.

Jednak, gdy dochodzi do rozmowy o pieniądzach, potencjalni kandydaci otwierają oczy ze zdziwienia. „Nie dostaniecie zupełnie nic" – mówi menedżer. „Jesteś szalony!" – słyszy w odpowiedzi. „Nikt nie będzie robił czegoś takiego za darmo". Wówczas menedżer informuje, że miliony ludzi są zatrudnione na tym stanowisku. „Kto?!" – nie mogą uwierzyć kandydaci na stanowiska dyrektora operacyjnego. „Mamy" – pada odpowiedź ze strony menedżera. Wówczas następuje rozluźnienie i śmiech ze strony przerażonych kandydatów.

Czy ten spot to przesada? Nie sądzę. Tak to mniej więcej wygląda, a mimo ciężkiej harówki miliony kobiet się na to decydują i co więcej – są szczęśliwe, że dostały tę robotę. Niektóre bardzo by chciały, ale się nie udaje. A za wynagrodzenie i premię wystarczą zarzucone na szyję rączki i wyszeptane do ucha: „Kocham cię, mamusiu", albo zostawiony na stole liścik z zaznaczonym miejscem na maminy odcisk ust, czasem propozycja masażu, gdy „współpracownik" widzi, że mama już ledwo zipie. Czasem zamiast premii są dąsy i fochy, czasem trzaskanie drzwiami, czasem ktoś zaburczy pod nosem: „Ty się na niczym nie znasz". Bywa i tak.



Jednak żeby podołać najtrudniejszemu zawodowi świata, trzeba umieć zadbać o siebie. Trzeba być dla siebie dobrym. Szczypta zdrowego egoizmu jest niezbędna każdej mamie. Przyda się kilka chwil na własne przyjemności, łyżeczka dbałości o siebie, kilka kropel z lekturą, odrobinę odprężenia. A wszystko trzeba okrasić umiejętnością odpuszczenia sobie. Trzeba się pogodzić z tym, że nie można umieć wszystkiego. Nie można piec najlepszych ciast ani szyć najpiękniejszych strojów na szkolne występy. Nie bez kozery przykazanie miłości brzmi: „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego". I o tej pozytywnej miłości własnej warto pamiętać, bo z umęczonej mamy nie będzie pożytku. Najpierw trzeba umieć kochać siebie, by być w stanie kochać innych. A mama doskonała nie istnieje. Najlepszą mamą jest każda z nas.

Nie jestem pewna, czy to najmądrzejsze rozważania akurat na Wielki Post, ale naszły mnie, gdy obudziłam się z drzemki, którą odbyłam z nosem w kanapce. Przy okazji życzę więc głębokiego przeżycia Wielkiego Postu.

Dorota Łosiewicz

Turcja

Koniec przyjaźni?

Relacje między Rosją a Turcją są na granicy wybuchu. Bezpośrednią przyczyną jest trwająca ofensywa syryjskich wojsk rządowych w prowincji Idlib, będącej ostatnią strefą deeskalacji kontrolowaną przez Ankarę. Według różnych ocen naloty syryjskiej armii wspieranej przez rosyjskich instruktorów doprowadziły już do śmierci co najmniej kilku, jeśli nie kilkunastu tureckich żołnierzy i w efekcie do akcji odwetowych skierowanych przeciw siłom Asada. O temperaturze wzajemnych pretensji świadczy też oficjalna prośba Turcji do Stanów Zjednoczonych o przysłanie dwóch baterii systemów antyrakietowych Patriot po to, aby chronić tureckich sojuszników przed atakami syryjskiego i rosyjskiego lotnictwa, oraz deklaracje Ankary, że w razie potrzeby użyje w tym celu zakupione w Rosji systemy S 400. Zaostrza się też retoryka wzajemnych oskarżeń. Z jednej strony Turcja zarzuca Rosji łamanie wzajemnych porozumień, z drugiej zaś rzecznik Kremla oskarżył Ankarę o wspieranie organizacji terrorystycznych.

Mamy też do czynienia z pierwszymi krokami natury wojskowej. Po nieudanych rozmowach w Moskwie w sprawie uspokojenia sytuacji w Idlibie Turcja zamknęła swoją przestrzeń powietrzną dla rosyjskich samolotów wojskowych, a w Moskwie się spekuluje, że Ankara pod byle pretekstem może utrudniać ruch rosyjskich statków przez tureckie cieśniny, co jest kluczowe dla zaopatrzenia rosyjskiego kontyngentu w Syrii i wojsk Asada. Turcja niepokoi się też zwiększeniem rosyjskich sił wojskowych w Abchazji i Osetii Południowej, a także niedawno ogłoszonymi zamiarami powiększenia rosyjskiej bazy w armeńskim Giurmi, gdzie obecnie stacjonuje 6 tys. Rosjan, a docelowo miałoby ich tam być 10 tys. Daleka od rozstrzygnięcia jest też sytuacja w Libii, gdzie Rosja i Turcja wspierają dwie różne strony konfliktu.

Prezydent Turcji Recep Erdoğan, występując na wiecu w Izmirze, zaznaczył, że Turcja „będzie działać bardziej stanowczo" i „nie podporządkuje się dyktatowi mocarstw". Ostatnie doniesienia z Syrii mówią o intensywnych walkach, jakie armia turecka toczy z wojskami Asada. Siły rosyjskie na razie nie są stroną starć, ale ryzyko nawet przypadkowego wybuchu jest bardzo duże. Po serii negocjacji między Moskwą a Ankarą, które zakończyły się fiaskiem, teraz, na początku marca, ma się odbyć szczyt, w którym będą uczestniczyć również przywódcy Niemiec i Francji. Jednak wiele wskazuje na to, że zagrożony kolejnym przewrotem wojskowym Erdoğan – a o ewentualności takiego rozwoju wydarzeń w Turcji informował niedawno amerykański think tank RAND – nie będzie skłonny do ustępstw. Ryzyko eskalacji konfliktu jest więc ogromne.

Marek Budzisz

Hiszpania

Czas na benedyktynów

24 października ub.r. na polecenie socjalistycznych władz Hiszpanii z grobowca w benedyktyńskim sanktuarium w Valle de los Caídos (Dolinie Poległych) ekshumowano spoczywające tam 44 lata ciało gen. Francisco Franco, aby przenieść je na mały cmentarz w Pardo pod Madrytem. Wydawało się wówczas, że rządząca lewica pozostawi pierwotne miejsce pochówku „caudillo" w spokoju. Nic bardziej mylnego. Obecnie chce ona usunąć stamtąd również benedyktynów. Powodem jest postawa ich opata o. Santiago Cantery.

Wspomniany mnich był bodaj jedynym duchownym Kościoła, który do końca walczył o pozostawienie szczątków generała w Valle de los Caídos. Biskupi jakby zapomnieli o zasługach Franco dla ratowania katolicyzmu w ich kraju. A przecież podczas wojny domowej w Hiszpanii (1936–1939) z rąk republikanów zginęło 13 biskupów, 4184 księży i seminarzystów, 2365 zakonników, 283 zakonnice oraz około 4 tys. osób świeckich, które udzielały pomocy osobom duchownym. Zniszczono ok. 20 tys. świątyń, czyli niemal połowę istniejących w kraju. Gdyby nie Franco, Kościół w Hiszpanii czekałby taki sam los jak w Związku Sowieckim. Dziś zamiast wdzięczności dawny wybawca spotyka się z obojętnością hierarchów. Jako jedyny w jego obronie stanął właśnie o. Cantera, lecz jego samotny opór nie wystarczył. To ściągnęło na niego zemstę lewicy.

Usunięcie benedyktynów nie będzie łatwe, ponieważ ich obecność w Valle de los Caídos opiera się na umowie rządu w Madrycie ze Stolicą Apostolską z 1957 r. W myśl zawartego wówczas porozumienia mnisi mają przebywać w tym miejscu po to, by modlić się do Boga za dusze wszystkich poległych w czasie wojny domowej, prosić o pojednanie narodowe oraz o błogosławieństwo dla Hiszpanii. Próba wyrugowania stamtąd zakonników jest więc de facto wymierzona w cele, które im przyświecają. Wyrzucenie benedyktynów jest możliwe tylko za zgodą Watykanu. Mnisi mają nadzieję, że tym razem Rzym nie pójdzie na takie ustępstwa wobec lewicy, na jakie poszedł w przypadku usunięcia ciała gen. Franco.

Grzegorz Górny



Sanktuarium w Valle de los Caídos

eprasa.pl 0a



USA

Prezent dla Trumpa

78-letni Bernie Sanders, który wygrał prawybory w Nevadzie (47 proc. głosów), niespodziewanie wysunął się na prowadzenie w prawyborach Partii Demokratycznej. Cieszy to prezydenta Donalda Trumpa, dla którego nominacja socjalistycznego senatora z Vermont byłaby bardzo na rękę.

„Wygląda na to, że szalony Bernie radzi sobie dobrze we wspaniałym stanie Nevada. Biden i reszta wypadają słabo, a Mini Mike (tak Trump nazywa Bloomberga) nie ma szans na restart swojej kampanii po najgorszym występie w historii debat prezydenckich. Gratuluję Bernie, nie pozwól, aby zabrano ci zwycięstwo" – napisał na Twitterze Trump. Prezydent nawiązał tym samym do teorii spiskowych głoszonych zarówno przez skrajną lewicę, jak i wielu zwolenników Trumpa, że Sandersowi ukradziono w 2016 r. zwycięstwo na rzecz przedstawicielki establishmentu Hillary Clinton.

Ta teoria ma pewne racjonalne przesłanki, w tym sensie, że Bernie Sanders rzeczywiście może przerażać centrowych i establishmentowych demokratów. Jego publiczne wypowiedzi chętnie wykorzystuje Trump, aby straszyć „zwykłych Amerykanów", że Sanders zamierza wprowadzić komunizm w Ameryce. Komentatorzy mającej największą oglądalność prawicowej stacji informacyjnej Fox News całkiem na poważnie porównują gospodarcze pomysły Sandersa do czasów stalinizmu.

Taka narracja wypada wiarygodnie, skoro Sanders nie dość, że sam nazywa się socjalistą, co jest w amerykańskiej polityce aberracją, to jeszcze się podkłada przeciwnikom, opowiadając na przykład, że nie można potępiać w całości Fidela Castro. W rozmowie z popularnym programem „60 minut" na CBS pochwalił pomoc społeczną na Kubie. „Sprzeciwiamy się autorytaryzmowi na Kubie, ale nie jest w porządku mówić, że wszystko jest tam złe" – powiedział w programie.

Konserwatywne media natychmiast przypomniały jego wypowiedź z lat 80., w której zachwycał się Związkiem Radzieckim: „To zabawne, gdy amerykańscy dziennikarze mówią, że to zły kraj, bo ludzie stoją tam w kolejkach po jedzenie. Kolejki to dobra rzecz. W innych krajach ludzie nie stoją w kolejkach. Bogaci kupują sobie jedzenie, podczas gdy biedni dosłownie umierają z głodu".

Demokraci zaczynają się więc obawiać, że może się powtórzyć rok 1972, gdy znienawidzony przez lewicę i liberałów Richard Nixon zmiażdżył progresywnego senatora George'a McGoverna, który tak jak Sanders był czczony na studenckich kampusach i w mediach. Bo choć młodzi Amerykanie z dużych miast na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu skręcają dziś mocno w lewo, to aby zostać prezydentem USA, trzeba jeszcze zdobyć głosy tzw. pasa biblijnego i środkowych stanów, gdzie w ostatnich wyborach nawet robotnicy popierający zwykle demokratów zagłosowali na Trumpa. Dlatego prezydent otwarcie dziś wspiera najbardziej radykalnego ze swoich potencjalnych rywali. Będzie mu o wiele łatwiej straszyć Amerykanów „szalonym Berniem" niż centrowym Bidenem czy miliarderem Bloombergiem.

Łukasz Adamski

Egipt

Śmierć Mubaraka

Były prezydent Egiptu Hosni Mubarak, który rządził Egiptem przez trzy dekady i został obalony w trakcie arabskiej wiosny 2011 r., zmarł 25 lutego w wieku 91 lat. Ostatni raz wystąpił publicznie w październiku 2019 r., gdy w wideo opublikowanym na YouTube wspominał wojnę Egiptu z Izraelem w 1973 r. – dowodził wtedy siłami powietrznymi. Było to jego jedyne publiczne wystąpienie po utracie władzy. Mubarak został pochowany z wojskowymi honorami po trzydniowej żałobie narodowej. Jego spuścizna dzieli Egipcjan. Dla jednych jest bohaterem narodowym i wielkim dowódcą, dla innych dyktatorem.

Prezydentem został raczej przypadkowo, po tym jak podczas parady wojskowej 6 października 1981 r. członkowie islamskiej organizacji Dżihad, sprzeciwiający się negocjacjom pokojowym z Izraelem, zastrzelili jego poprzednika Anwara as-Sadata. Krajem rządził 29 lat, przeżył w tym czasie sześć zamachów i zapewnił Egiptowi stabilność oraz bezpieczeństwo dzięki sojuszowi z USA, rządom twardej ręki oraz podtrzymaniu układu pokojowego z Izraelem. Stan wyjątkowy, wprowadzony po zabójstwie Sadata, został utrzymany przez cały okres rządów Mubaraka. W tym czasie ograniczano podstawowe swobody obywatelskie, szerzyła się korupcja, a pozbawiona reform gospodarka pogrążyła się w kryzysie. To doprowadziło ostatecznie do jego upadku. Mubarak ustąpił w lutym 2011 r. po fali protestów, a kilka miesięcy później został aresztowany i osądzony w dwóch wielkich procesach. Oskarżano go o podżeganie do zabijania demonstrantów w trakcie arabskiej wiosny, w krwawych starciach z policją zginęło wówczas ok. 850 osób. W 2012 r. został skazany na dożywocie, ale w kolejnych instancjach został ostatecznie uniewinniony. W drugim procesie w styczniu 2016 r. sąd apelacyjny potwierdził kary trzech lat więzienia oraz wielomilionowej grzywny dla Mubaraka i jego dwóch synów, Aalaa i Gamala, za zdefraudowanie 10 mln euro przeznaczonych na utrzymanie pałacu prezydenckiego. W tej sprawie Mubarak odbył karę więzienia.

Były prezydent, już mocno schorowany, chciał spędzić swoje ostatnie dni w willi w kurorcie Szarm el-Szejk nad Morzem Czerwonym, ale pojawiły się oskarżenia, że jego pierwszy proces w sprawie śmierci demonstrantów był zaaranżowany, a sędzia skorumpowany. W 2017 r. umieszczono Mubaraka w szpitalu wojskowym w Kairze, gdzie miał oczekiwać na kolejną rozprawę.

Już do niej nie dojdzie. Mubarak nie żyje, a Egipt znalazł się poniekąd w punkcie wyjścia. W 2013 r. wojsko obaliło następcę Mubaraka, wybranego w wolnych wyborach lidera Bractwa Muzułmańskiego Mohammeda Mursiego. Krajem znów rządzą wojskowi.

Aleksandra Rybińska

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0aa079c0ec

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Siła złego na jednego



Jan Pietrzak

Wybory prezydenckie nadciągają nieubłaganie, niezależnie od porywistych huraganów i chińskich wirusów. Doraźne klęski żywiołowe narobią szkody, ale przelecą. A prezydent zostanie na pięć lat. Ma być dla nas oparciem, „ochroniarzem" wspólnego dobra, strażnikiem godła, barwy i hymnu. Musimy być uważni przez ten czas. Nie stać nas na lekkomyślność.

Tymczasem niektórzy kandydaci mają problem nawet z hasłem wyborczym. Hasło: „Bosak na prezydenta", natychmiast zostało przekręcone: „Prezydent na bosaka". Slogan: „Prawdziwy prezydent – pewna przyszłość", wręcz rodzi lęk o niepewną przyszłość, bo z prawdziwością kandydatki są kłopoty. Sama przyznała, że jedynie Jarosławowi Kaczyńskiemu „zależy na Polsce". A jej nie za bardzo. Potwierdzają tę niemiłą prawdę odkryte w archiwach protokoły z sejmowych głosowań. Wiele razy głosowała przeciwko żywotnym potrzebom Polaków.

Inni kandydaci nie mogą się jeszcze zdecydować. Hołownia proponuje „sztafetę Szymona". Co z tego ma wynikać? Kto komu będzie przekazywać pałeczkę i po co? Kosiniak zwany Kamyszem rzuca słowa: „Nadzieja dla Polski", a my musimy zgadywać, czy on osobiście jest tą nadzieją, czy ma zamiar załatwić wyborcom kilogram nadziei na głowę? Biedroń chętnie odwołuje się do hasła Baracka Obamy: „Yes, we can". Sugeruje, że on też może. Pewnie tak. Po retorycznych popisach w PE, w których nikczemne kłamstwa mieszały się z ignorancją, wiemy, że potrafi szkodzić.

Takich to konkurentów ma obecny prezydent ubiegający się o reelekcję. Łatwo ich obśmiać i wyszydzić. Nie wolno jednak lekceważyć tego towarzystwa. Suma złych emocji, wrogich zamiarów, paskudnych intryg też jest siłą. Jak mówili starzy Polacy: siła złego na jednego! Ale mówili też: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! I śpiewali z zapałem:

Niech żyje Polska niepodległa, biało-czerwona
Niech żyje Polska solidarna, nieustraszona!
Niech żyje Polska naszych marzeń, pragnień i dążeń!
Niech żyje Polska, nasza duma i obowiązek!

Serce mi dobrze podpowiedziało

Z Marcinem Maciejczakiem, zwycięzcą 3. edycji „The Voice Kids", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Jan Bogacz TVP

Niełatwo się do ciebie przebić przez tłum ekip i dzieci proszących o autografy. Jesteś gotowy na taką formę popularności?

Marcin Maciejczak: Na razie wciąż trudno mi ogarnąć to, co stało się podczas finału. To była naprawdę bardzo mocna edycja. I tyle się podczas niej działo.

Przypomnij, ile masz lat?

14. Poszedłem rok wcześniej do szkoły, więc teraz chodzę do ósmej klasy, chociaż powinienem być w siódmej.

Pochodzisz z niewielkiej miejscowości. Jak się nazywa?

Bartochów. Leży koło Sieradza, w województwie łódzkim.

Cały Bartochów ci kibicował?

Myślę, że tak. I bardzo im za to dziękuję.

Ktoś szczególnie cię wspierał? Coś miłego wydarzyło się przed wyjazdem na finał?

Był kopniak na szczęście od mojej ulubionej sąsiadki. I cały czas wspierali mnie rodzice. I był obok Dawid Kwiatkowski. Jestem szczęśliwy, że został moim trenerem. Serce mi dobrze podpowiedziało, żeby iść w jego stronę.

Podczas finału wykonałeś piosenkę „Jak gdyby nic" (w ciągu tygodnia teledysk na YouTube miał blisko 2 mln odsłon). Opowiedz o niej.

Początkowo mieliśmy inny pomysł, ale kiedy usłyszałem ten utwór, wiedziałem, że to jest to. Idealnie mnie opisuje.

Nim trafiłeś do „The Voice Kids", nagrywałeś w domu piosenki i montowałeś teledyski. Co będzie teraz?

Wygrałem kontrakt z profesjonalną wytwórnią. Chciałbym spróbować tworzyć coś innego, nowego. Na przykład w stylu dark pop.

eprasa.pl 0aa079c0ec

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pułapki demokracji bezpośredniej



Soliści show-biznesu, którym wydaje się, że istnieją proste formuły oczyszczenia polityki i zbawienia świata, szybko zderzają się z komplikacjami realnego życia

Niefortunny finał politycznej przygody Pawła Kukiza był łatwy do przewidzenia. We współczesnej polityce co jakiś czas pojawiają się meteory kultury masowej, które potrafią zrobić dużo szumu, szybko zabłysnąć, aby równie szybko zgasnąć. Polityka to jednak bardzo specyficzny i trudny zawód (powinien być powołaniem), który wymaga sporych kompetencji. Wprawdzie dziś kariery rozmaitych polityków – niektórzy kandydują właśnie do prezydenckiej godności – przeczą temu, ale należy postrzegać je jako funkcję zespołowych układów i ich patologii. Soliści show-biznesu, którym wydaje się, że istnieją proste formuły oczyszczenia polityki i zbawienia świata, szybko zderzają się z komplikacjami realnego życia.

W poprzednich wyborach prezydenckich Kukiz zdobył trzecie miejsce i 20 proc. głosów, co uznać należało za wielki sukces i co posłużyło stworzeniu ugrupowania, które zdobyło blisko 9 proc. w wyborach parlamentarnych.

Można powiedzieć, że Kukiz potencjał ten roztrwonił wzorcowo. W 2015 r. deklarował: „Przysięgam, że nigdy was nie zdradzę, że nikt nie jest w stanie mnie kupić". Do następnych wyborów szedł z PSL, na rzecz którego w obecnej kadencji utracił jakąkolwiek tożsamość. O partii tej cztery lata wcześniej mówił, że jest grupą przestępczą. Wszystko wskazuje na to, że zaraził się bakcylem polityki, której nie potrafi porzucić, choć niczego się z niej nie nauczył.

Dla Kukiza ratunkiem na przypadłości III RP było przybliżenie demokracji do ludzi, wprowadzenie do niej jej bezpośrednich form, przede wszystkim jednomandatowych okręgów wyborczych oraz upowszechnienie referendum. Z czasem postulować zaczął powołanie mechanizmów odwoływania posłów przez wyborców w trakcie kadencji. O ile pierwsze z tych postulatów są co najmniej wątpliwe jako uniwersalne remedium, o tyle ostatni jest katastrofalny. Wezwanie do urealnienia demokracji w oligarchicznym modelu III RP brzmi atrakcyjnie, warto jednak zastanowić się, czy proponowane środki nie okażą się przeciwskuteczne.

W latach 60. i 70. ubiegłego wieku w USA pojawił się ruch, który dążył w tym kierunku. To na jego fali rozszerzono instytucję prawyborów, która do końca lat 60. decydowała o wyłanianiu stosunkowo nielicznej grupy kongresmenów. Powszechna praktyka w tej mierze spowodowała, że wygrywają dobrze zorganizowane grupy, w tym radykałowie, których determinacja przeważa nad umiarkowaniem zwykłych obywateli. Ów triumf silniejszych mniejszości prezentowany jest jako głos narodu.

Ideał urealnienia demokracji spowodował, że kongresmeni zostali zobligowani do bezpośrednich i stałych relacji ze swoimi wyborcami. Wcześniej uznawano, że obywatele delegują im władzę na cztery lata, aby rozliczyć ich dopiero po tym czasie. Reprezentować mieli naród i odpowiadali przed nim, Bogiem i historią. Paradoks nowych, na pozór bardziej demokratycznych obyczajów, żądania, aby kongresmeni natychmiastowo reagowali na oczekiwania wyborców, powodował, że presję na nich wywierały lepiej zorganizowane, bogatsze i sprawniejsze grupy biznesowe, które potrafiły organizować szerokie poparcie dla swoich partykularnych interesów, co skutkowało dominacją silnych mniejszości ze szkodą dla większości, a dodatkowo uniemożliwiało realizację bardziej długofalowych projektów.

Szczególnie jaskrawo mechanizm ten ujawnia się w rozszerzającej się praktyce referendów. Skomplikowane zjawiska społeczne sprowadzone zostały do głosowania tak albo nie dla konkretnego rozwiązania. Kierowane interesem silne zespoły jego rzeczników potrafią mobilizować duże grupy społeczne nieświadome konsekwencji tych rozwiązań, co powoduje, że niezorganizowana większość ulega presji zwartej i świadomej swojego interesu mniejszości, mimo że na tym traci. Kolejne żądania zorganizowanych lobby prowadziły do powstania wielkiej liczby rozmaitych, często sprzecznych ze sobą regulacji, bez wcześniejszej pogłębionej dyskusji, refleksji i kompromisu, które są niezbędne przy powoływaniu sensownego prawa. Jednoznaczność odpowiedzi tak/nie w referendum uniemożliwia dostosowanie prawa do złożonej rzeczywistości. To z tymi problemami, pomimo swojej tradycji i zasobności, zmaga się współczesna Ameryka. Zaaplikowanie ich Polsce to recepta na katastrofę. O pomyśle na odwoływanie posłów, który nigdzie nie funkcjonuje, lepiej nie mówić.

Tego wszystkiego Kukiz wydaje się nie wiedzieć ani nad tym nie zastanawiać. Do politycznej refleksji zaprasza Jerzego Owsiaka. Postuluje edukację polityczną.

Lekarzu, lecz się sam – trzeba zawołać.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0aa079c0ec

OGNIEM NA WPROST

Zemsta nietoperza



Wytwórnia filmów dla dzieci Walt Disney Company ogłosiła na 6 marca premierę filmu „Naprzód" („Onward" – prod. Disney Pixar). Jedna z bohaterek określa siebie jako lesbijkę. Oficer Specter – tak nazywa się policjantka jednorożec – jest w wersji oryginalnej dubbingowana przez homoseksualną scenarzystkę i aktorkę Lenę Waithe. Lesbijska policjantka jednorożec Specter pojawia się w pewnej scenie i mówi np.: „Rwę sobie włosy z głowy z powodu córki mojej dziewczyny". Ale to nie koniec. Disney się rozkręca. Po zorganizowaniu pierwszej oficjalnej parady „gejowskiej dumy" w Disneylandzie w Paryżu, największym europejskim parku rozrywki dla dzieci, należąca do niego firma Marvel przedstawi w jednym z kolejnych filmów pierwszą postać transseksualną. W „Krainie Lodu 3" ma się pojawić lesbijska partnerka dla Elsy, a pierwszą „chłopięcą księżniczkę" wraz z gejowskim pocałunkiem można sobie już obejrzeć w internecie. Promocja ideologii LGBT w centrach rozrywki dla najmłodszych i filmach wzbudziła już liczne protesty. Kierownictwo wytwórni z jednej strony obawia się bojkotu, ale z drugiej bardziej boi się utraty poparcia środowisk LGBT. Pojawiła się jednak szansa, żeby zatrzymać to szaleństwo. Należy tylko zdążyć ze zbieraniem jak największej liczby podpisów przed najbliższym walnym zgromadzeniem akcjonariuszy Disneya, które rozstrzygnie o dalszej polityce wytwórni i odbędzie się 11 marca w Raleigh (petycja dostępna m.in. na stronach organizacji CitizenGO). „Homofobi" wszystkich krajów, łączcie się! Presja ma sens!

Popisy przedstawicieli rodzimej opozycji na forum europarlamentu bulwersują nie tylko nastawionych patriotycznie rodaków, lecz nawet samych sąsiadów zza Odry. Ten niedościgły wzór, obiekt westchnień, podziwu i zazdrości „totalsów" – polityk niemiecki wzgardził nimi. Niemiecki polityk Maximilian Krah, były działacz CDU, od 2016 r. członek Alternatywy dla Niemiec (AfD), wiceprzewodniczący tej partii w Saksonii i poseł do PE, oświadczył: „Jestem zdumiony, jak polscy eurodeputowani z lewej strony czy ze środka sali odnoszą się do swojej własnej ojczyzny". Ich ataki na rzekomo demolującą polski system prawny nową KRS są zdaniem Kraha bezpodstawne. „Jeżeli ktoś się wczyta w orzeczenie Trybunału [TSUE] z 2019 r., to sądzi, że sędziowie sami się nie mianują, tylko przez Ministerstwo Sprawiedliwości czy parlament. Nie jest to najważniejsze, bo nie jest to sprawa nadzwyczajna ani w Niemczech, ani w Stanach Zjednoczonych. Bo przecież to, że sędziowie się sami mianowali, to byłby polski wyjątek". Na szczęście dla komfortu psychicznego eurodeputowanych z polskiej opozycji liczba niemieckich polityków poklepujących ich po plecach jest zdecydowanie większa niż takich jak Krah.

Niemka Naomi Seibt to youtuberka. Taka Greta Thunberg tylko à rebours. Naomi po prostu nie wierzy w teorie klimatyczne. Choć jej kanał na YouTube odwiedziło dopiero 50 tys. subskrybentów, już zainteresowały się nią „Der Spiegel" oraz „The Washington Post". Seibt, powołując się na źródła, systematycznie śmie przekonywać bowiem, że nie ma żadnego związku pomiędzy emisją CO_2 a ociepleniem klimatu. Mówi też o wychowywaniu młodych ludzi w poczuciu winy, poniżenia i wmawianiu, że dla młodych nie ma dzisiaj przyszłości. Stanowczo się temu przeciwstawia. Nagrała już kilkanaście filmików i mówi: „Nie chcę, żebyście mi wierzyli. Chcę, żebyście myśleli". Ponieważ zdaniem aktywistów klimatycznych ludzie nie są od myślenia, tylko od słuchania i wierzenia w to, co przekazuje im lewacka propaganda, organizacja Antifa nie dość, że szkaluje Niemkę, to jeszcze wysłała pod jej dom karawan pogrzebowy. Taka to prawda, jakie metody jej wdrażania.

Opozycja czeka ataku koronawirusa niczym kania dżdżu. Wreszcie będzie można robić to, co najlepiej jej wychodzi, a mianowicie straszenie Polaków. Już się powoli „nakręcają", krytykując wszystko i wszystkich, mających coś wspólnego z rządem i jego przygotowaniami do odparcia epidemii. Celem jest wykazanie społeczeństwu, że winę za pojawienie się zarazy na terenie naszego kraju ponoszą prezydent Duda, ale przede wszystkim prezes PiS, który ma na niego przemożny wpływ. Tymczasem jedyną skuteczną obroną przed skutkami „zemsty nietoperza" (ponoć wirus wziął się z gustu kulinarnego Chińczyków, którzy gacki uważają za przysmak) jest oprócz profilaktyki zachowanie spokoju i nieuleganie panice. Na Podlasiu np. tamtejsi internauci odkryli słaby punkt koronawirusa i swoją wiedzą podzielili się na portalu eska.pl/Białystok: „Jak podał GIS, jedną z substancji, która skutecznie go zwalcza, jest alkohol. I właśnie po tej informacji Polacy, Czesi, Rosjanie i Słowacy odetchnęli z ulgą. Nie ma się czego bać! Szczególnie na Podlasiu". Tylko z umiarem, bo Wielki Post.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0aa079c0ec

Przedszkole marzeń istnieje



Marta Kaczyńska-Zielińska

Budynek przedszkola z oddziałami integracyjnymi i żłobkiem w Lądku-Zdroju został uznany przez przedstawicieli Komisji Europejskiej za jeden z kilku wzorcowych projektów przeznaczonych dla wczesnej edukacji obowiązujących na terenie całej Unii Europejskiej. Autorami wytypowanego obiektu są polscy architekci: Dominik Górecki i Szczepan Dejnek.

Wyróżniony budynek, który może pomieścić 180 dzieci, charakteryzuje przede wszystkim oszczędność użytkowania i przyjazność środowisku dzięki wykorzystaniu podziemnych złóż wód geotermalnych, które zimą dostarczają ciepło, a w okresie letnim chłodzą jego wnętrza. Przedszkole jest parterowe, co poprawia bezpieczeństwo wszystkich dzieci i zapewnia im łatwy dostęp do ogrodu. Przemyślany niemal w każdym detalu projekt zagospodarowania obiektu doskonale uwzględnia jego położenie względem stron świata, tak by zapewnić jak najlepszy dostęp do naturalnego światła. W części południowej z ogrodem i placem zabaw znajdują się sale, w których podopieczni spędzają większość czasu. W razie opadów mogą pozostać na świeżym powietrzu – na odpowiednio zadaszonych tarasach. Wejście do budynku, przestronny hol, szatnie, kuchnia, jadalnia stanowiąca również salę gier i zabaw oraz pokoje dla administracji zlokalizowano w części północnej, doświetlonej dodatkowo za pomocą świetlików dachowych i nierównomiernie rozmieszczonych lamp. Projektanci przewidzieli także możliwość korzystania z budynku przez mieszkańców gminy poza godzinami pracy przedszkola i dlatego sala wielofunkcyjna została wyposażona w dodatkowe wejście umożliwiające dostęp bezpośrednio z ulicy. Wnętrza przedszkola są ascetyczne, pozbawione trwałych, charakterystycznych dla wielu placówek adresowanych do dzieci elementów graficznych, które nierzadko zamiast rozweselać, wzbudzają wątpliwości natury estetycznej. Przestrzeń ścian pozostaje otwarta na aranżacje stwarzane przez podopiecznych i wychowawców w miarę zmieniających się pór roku, obchodzonych świąt i innych ważnych wydarzeń w życiu przedszkolnej społeczności.

Według danych opublikowanych przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pod koniec 2018 r. istniało w Polsce 5 tys. placówek dysponujących miejscami dla dzieci poniżej 3. roku życia. Cztery lata wcześniej funkcjonowało zaledwie około 3 tys. przedszkoli z 84 tys. miejscami dla najmłodszych. Zgodnie z prognozami do końca ubiegłego roku w całym kraju miało być zapewnionych 169,9 tys. miejsc dla dzieci, które nie ukończyły 3 lat, czyli o ponad 27 tys. więcej niż rok wcześniej. Miejsc w żłobkach dla najmłodszych wciąż brakuje. Problem dotyczy zarówno obszarów wiejskich, jak i największych aglomeracji miejskich. Przykładem jest Gdańsk, w którym zdarza się, że dzieci urodzone w 2019 r. bezskutecznie oczekują na miejsca w kilkusetosobowych (!) kolejkach.

W lutym tego roku w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej przekazała włodarzom dziewięciu pomorskich gmin promesy dofinansowania w ramach kolejnej edycji rządowego programu Maluch+, dzięki któremu to samorządowcy i prywatni inwestorzy otrzymają łącznie 33,1 mln zł przeznaczonych na powstanie na Pomorzu prawie 3 tys. nowych miejsc opieki nad najmłodszymi dziećmi. Internet jest pełen informacji o wsparciu przez ministerstwo w ten sam sposób wielu jednostek samorządu terytorialnego na terenie całego kraju. W projekcie ustawy budżetowej na 2020 r. wydatki na zadania w zakresie rodziny i polityki społecznej zaplanowano na gigantyczną kwotę 70,2 mld zł, czyli o ponad 20 mld więcej niż rok wcześniej. Budżet programu Maluch+ przeznaczony na rozbudowę sieci żłobków i innych placówek opieki nad dziećmi wynosi 450 mln zł.

REKLAMA



67/0220/F

eprasa.pl 0aa079c0ec



Walizka Jacka Pawłowicza

dyretora Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie

Moje podróże są związane przeważnie ze sprawami służbowymi. Albo to są zajęcia, wykłady, otwieranie wystaw, albo wyjazdy po eksponaty dla muzeum. Wyjeżdżam w zasadzie z pustą walizką. Zabieram tylko jeansowe spodnie, koszulę, kamizelkę, muchy, które uwielbiam, i czerwone buty. Gdy wracam, jest wypchana po brzegi muzealnymi zdobyczami. Oczywiście zdarzają się eksponaty, które się nie mieszczą, takie jak niedawno zdobyte meble Łupaszki.



FAJKI

Każdy fajczarz powinien mieć ich kilka, żeby po paleniu fajka mogła „odpocząć" i ostygnąć. Poza tym każdy gatunek drewna, z którego jest wykonana, daje inne wrażenia smakowe. Dlatego gdy chcę zapalić ponownie, sięgam do kieszeni po kolejną. W podróż najczęściej zabieram trzy sztuki, każda z innego drewna, co ma wpływ na wrażenia smakowe, tytoń najbardziej lubię cherry.

NÓŻ



Nagrodzony na konkursie! Zawsze go wożę ze sobą. Czasami się przydaje w hotelu, zwłaszcza wieczorami podczas robienia kolacji. Otrzymałem go od mojego przyjaciela, a zarazem wybitnego producenta noży z Budapesztu – Levente Vargi.



LUPA

Jest niezbędna przy mojej pracy. Gdy dostaję jakiś eksponat lub ktoś mi po prostu pokazuje ciekawą pamiątkę, to dobrze jest obejrzeć ją pod lupą. Podczas takiego przeglądu można odkryć napis, rysunek, jakiś istotny detal.

MUCHY



Po prostu lubię ten atrybut dżentelmena. Uważam je za oryginalne i wyjątkowe, a jednocześnie delikatne i subtelne. Są ponadczasowe.



BUTY

Czerwone. Moja czysto estetyczna fanaberia.

eprasa.pl 0aa079c0ec





SKARPETY

W okresie bolszewickim za noszenie takich skarpetek, które były formą buntu i manifestu, ORMO czy milicja ganiały młodych chłopaków. No i u mnie tak zostało. Najchętniej zakładam czerwone, ale w kolekcji mam też wzorzyste.

PAMIĄTKA

Mój pierwszy garbusik, wykonany z zastygłej lawy z Etny. Zdobycz z mojej najdłuższej podróży samochodowej.





UBIÓR

Mój podstawowy pakiet: jeansy, biała koszula, kamizelka itp. No i na wszystko zakładam parkę. Oczywiście podczas oficjalnych zajęć tradycyjny garnitur.

KSIĄŻKA

Lektury tylko historyczne. Tomasza à Kempis „O naśladowaniu Chrystusa" jeździ ze mną zawsze.



MAŚĆ DO WĄSÓW



Prezent od syna. Zestaw do konserwacji i pielęgnacji wąsów: sztyft do usztywniania włosów, mały grzebyczek. Na upartego można uczesać fryzurę na głowie.

EKSPONATY



Ja jeżdżę po całej Polsce. Gdy tylko mam informację, że ktoś posiada ciekawy eksponat lub zbiór pamiątek z okresu stanu wojennego lub wcześniejszych lat, to jadę tam, żeby pozyskać go do muzeum. Bez względu jak daleko. Dlatego dziś mamy 12,5 tys. eksponatów.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Strach zakaszleć



Dominik Zdort

W żadnym razie nie chciałbym się odnosić lekceważąco do epidemii koronawirusa czy do zaniepokojenia, jakie w związku z tym zaczęło ogarniać świat. Gdy pojawiają się tego typu zjawiska ludzie mają – całkiem uzasadnioną – tendencję do histeryzowania. Oraz do podejmowania radykalnych działań, co jest uzasadnione – przynajmniej tak twierdzą epidemiolodzy.

Chciałbym jednak zachęcić do pewnej racjonalności. Przeczytałem parę dni temu, że „do szpitala w Jaśle trafił pacjent, który miał kontakt z Chińczykami". Skoro już zamykają do izolatek za sam kontakt, to co będzie dalej? Czy po tym, jak zobaczyłem Azjatę na ulicy lub w tramwaju, powinienem się zgłosić do przychodni? A może jestem zagrożony także wtedy, gdy zobaczę takiego w telewizji?

W sumie biedni ci Chińczycy, teraz na całym świecie ludzie trzymają się od nich z daleka, a najpewniej ta sama niedogodność dotyczy także wielu innych skośnookich i żółtoskórych Azjatów, bo trzeba być specjalistą, aby rozróżnić tamtejsze nacje. A nawet jeśli ktoś rozróżni, to nie zagwarantuje, że akurat Koreańczyk nie jest zarażony wirusem.

Kolejną grupą społecznie wykluczoną stali się ludzie kaszlący. Austria na przykład odmówiła wpuszczenia pociągu, gdy ktoś zgłosił, że dwie osoby kaszlały w podróży. W USA awaryjnie lądował samolot, gdy pojawiło się podejrzenie, że na pokładzie jest osoba chora na chińską zarazę. Renomowane linie lotnicze zapewniają więc teraz w samolotach maseczki, które rozdają pasażerom w sytuacji, gdy jeden z nich zakaszle. A naukowcy z amerykańskiej uczelni stworzyli nawet matematyczny model wskazujący, gdzie należy usiąść w samolocie, aby być najmniej narażonym na zakażenie (przy oknie i nie ruszać się z miejsca w czasie lotu).

Jeszcze raz napiszę: wszystko to rozumiem. Natomiast nie jestem w stanie pojąć, po co Stella Kyriakides, komisarz Unii Europejskiej do spraw zdrowia, leci do Włoch. Nawet jeśli usiadła przy oknie, to cóż takiego polityk Unii Europejskiej może w Rzymie uczynić dla powstrzymania epidemii, czego nie dałoby się zrobić z Brukseli?

Racjonalne wyjaśnienie może być tylko jedno. Pani Stella leci z osobistą pomocą humanitarną. Jest z zawodu psychologiem klinicznym, chce więc ukoić nerwy premiera Contego. Położy go na kozetce, potrzyma jego dłoń (uprzednio założywszy lateksowe rękawiczki oraz maseczkę) i czule powie: „Giuseppe, wszystko będzie dobrze".

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 0aa079c0ec

RZECZY POSPOLITE

Włoskie doświadczenie



Tomasz Łysiak

Dobrze się uczyć na błędach cudzych, a nie własnych. Wysłuchanie cudzego doświadczenia w sposób uważny (w trybie „usłyszeć", a nie „słuchać") zawsze wzmacnia i ubogaca. No niby tak, ale zazwyczaj młodzież i tak puszcza mimo uszu napomnienia starszego pokolenia w stylu „posłuchaj, to nie popełnisz moich błędów".

Piszę to wszystko w kontekście koronawirusa, wiedząc bowiem, że we Włoszech doszło do eskalacji wykrywanych przypadków zachorowania na COVID-19, możemy w Polsce wyciągać wnioski, i to zarówno z tego, co dobre, jak i z tego, co się Włochom nie udało. Zwłaszcza że tutaj błędy kosztują drogo na każdej płaszczyźnie: od tej związanej ze zdrowiem obywateli, przez stan ekonomiczny państwa, aż po burze polityczne związane z epidemią. Jak pokazuje właśnie przykład Italii – temat koronawirusa staje się z miejsca polem batalii politycznej.

Piszę te słowa, gdy jeszcze przypadki koronawirusa w Polsce nie zostały oficjalne potwierdzone, ale z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że gdy państwo będą czytać ten felieton, sytuacja może być już diametralnie inna.

Natomiast warto podkreślić, że we Włoszech pojawiły się rozwiązania zarówno znakomite, jak i nietrafione, popełniono liczne błędy.

Praktyka włoska pokazała, że najbezpieczniejszą formą zgłaszania możliwego zachorowania jest jedynie droga telefoniczna. Przez telefon udziela się choremu lub potencjalnie zarażonemu niezbędnych informacji dotyczących dalszego postępowania. Przyjeżdża do niego specjalnie przygotowany zespół medyczny. Unika się dzięki temu samodzielnego przemieszczania się chorego do szpitala zakaźnego. A z drugiej strony – gdy zarażony ma jedynie lekkie objawy – w ogóle nie musi wychodzić z domu, po prostu podlega dalszemu leczeniu u siebie, nie narażając innych.

Popełniono też błędy, np. w protokołach dotyczących wykonywania testów niedostosowanych do sytuacji, kiedy wirus już krążył między Włochami, u osób, które nigdy w Chinach nie były ani nie miały styczności z Chińczykami.

Obyśmy u nas z doświadczeń włoskich wyciągnęli dobre wnioski. Czego sobie i państwu życzę.

Karawan dla Naomi



Piotr Cywiński

Kim jest Greta Thunberg? – wiadomo. Może nie wszyscy wiedzą, co jej dolega, kto ją lansuje i do czego wykorzystuje, ale ogólnie rzecz biorąc, imię tego dziewczęcia znane jest od bieguna do bieguna. Nieco mniejszy rozgłos zdobyła dotychczas Izabella Nillson, też ze Szwecji, wszystko jednak jeszcze przed nią. Różnica między tymi rówieśniczkami jest diametralna: tę pierwszą prawica ma za „narzędzie lewactwa i ekofanatyków", o drugiej lewica zaś rozprawia, że to „anty-Greta prawicy".

Jak zwał, tak zwał, w każdym razie, w przeciwieństwie do tej pierwszej, ta druga nie cierpi na żaden zespół, nie uchylała się od obowiązku szkolnego, ponoć jest bardziej sympatyczna i bardziej od wizji katastrofy klimatycznej martwi ją polityka imigracyjna UE. Co nie bez znaczenia, Iza jest córką Szwedki i imigranta z Iranu; rozumie konieczność pomagania wojennym uchodźcom, ale nie podoba się jej masowy napływ przybyszów obcych kulturowo, zacieranie tożsamości narodowej, obłuda politycznej poprawności i przemilczanie problemów stwarzanych przez imigrantów: gangi, strzelaniny, rozboje, gwałty i przemoc. Jeśli do tego dodać, że anty-Greta opowiada się za ochroną wartości rodziny, krytykuje feminizm, genderyzm, propagandę LGBT i nie tylko, trudno się dziwić, że – jak twierdzi – jest blokowana na Twitterze i Instagramie. „Nigdy nie będę uciszona i nigdy nie wybaczę politykom wszystkich krzywd", grzmi Izabella.

Coraz większą sławę zdobywa też anty-Greta z Niemiec – Naomi Seibt. To już cięższy kaliber od obu nieopierzonych pierwowzorów: w wieku 13 lat wygrywała konkursy z zakresu fizyki i matematyki, maturę zdała z wyprzedzeniem i wyróżnieniem, wkrótce skończy 20 lat i podjęła drugie studia, więc nikt nie może powiedzieć, że naiwna i wykorzystywana. I ona krytykuje klimatyczną paranoję, „socjalistyczną dyktaturę", „wrednie antyludzką" ideologię, różne „izmy" i „yzmy", politykę imigracyjną itd. Robi to na tyle umiejętnie – co ułatwia jej świetna znajomość angielskiego – że pojawiła się już na łamach prasy za oceanem. Naomi nie lubi nazywania jej anty-Gretą, bo nie jest „czyjąś wykreowaną, zindoktrynowaną kukiełką". W przeciwieństwie do Grety złorzeczącej w Davos: „Chcę, żebyście wpadli w panikę, odczuwali taki strach, jak ja odczuwam codziennie", apeluje: „Nie chcę, żebyście wpadali w panikę, chcę, żebyście myśleli".

Z tym ostatnim akurat największy problem. Nie tylko za Odrą, gdzie wolne inaczej media już odziewają Naomi w mundur nacjonalistki, a lewacy zamawiają pod jej dom karawan. W imię poszanowania, ma się rozumieć...

eprasa.pl 0aa079c0ec

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

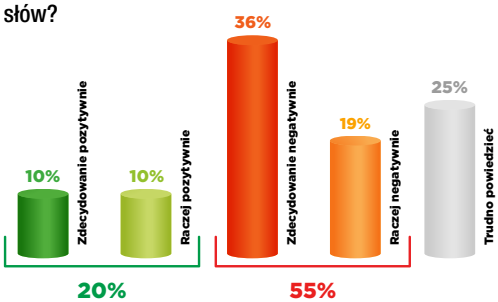
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, OLDRICH / SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK.COM

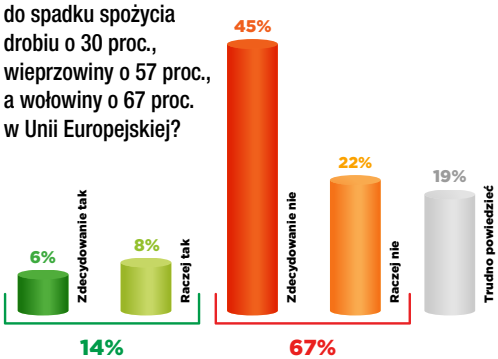
nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

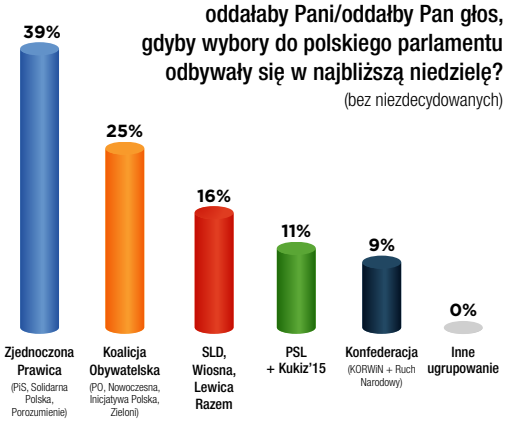
Jak ocenia Pani/Pan zachowanie działaczy opozycji, którzy zakłócili wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy w Pucku, używając wobec niego wulgarnych słów?



Czy popiera Pani/Pan pomysł wprowadzenia podatku od mięsa, który miałby w ciągu 10 lat doprowadzić do spadku spożycia drobiu o 30 proc., wieprzowiny o 57 proc., a wołowiny o 67 proc. w Unii Europejskiej?



Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1003.

Zakres czasowy badania 14–18 lutego 2020 r.

eprasa.pl 0aa079c0ec



Co ukrywa sztab Kidawy-Błońskiej



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Ludzie odpowiedzialni za SokzBuraka znów mają namieszać w kampanii. Dotarliśmy do informacji o zatrudnieniu twórcy tego hejterskiego profilu w komitecie wyborczym Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Nadal pracuje też dla Platformy Obywatelskiej oraz warszawskiego ratusza. W tle jest jeszcze zionący nienawiścią do PiS Roman Giertych, współpracujący z SzB. Taka mieszanka może oznaczać, że dopiero zobaczymy, jak podła może być rywalizacja o Pałac Prezydencki

eprasa.pl 0aa079c0ec



Fot. Zbyszek Kaczmarek/REPORTER

W tej kampanii wyborczej już nieraz przekroczono granice czystej walki politycznej. Czy to w Pucku, gdzie Andrzeja Dudę w czasie oficjalnych uroczystości państwowych wulgarnie wyzywali zwolennicy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej (a ta się po chwili z nimi ściskała), czy w innych miastach, do których za głową państwa jeździ grupka opozycyjnych bojówkarzy. Skoro w pierwszych tygodniach jest aż tak źle, sięga się po wyjątkowo brudne metody, to co będzie dalej, na finiszu prezydenckiego wyścigu, a zwłaszcza przed drugą turą, jeśli do niej dojdzie?

Jednym z najpodlejszych ataków na prezydenta był wpis profilu SokuzBuraka: „Pytanie do @pisorgpl i @AndrzejDuda2020 czy to prawda ze w 2015 państwo Duda byli w trakcie rozwodu który został przerwany ze względu na kampanię wyborczą? I czy to prawda że @AndrzejDuda miał intymne relacje ze swoimi studentkami będąc wykładowcą na UJ?" (pisownia oryginalna – przyp. red.). Oficjalnie to bezeceństwo nie ma nic wspólnego z którymkolwiek z kontrkandydatów prezydenta. A w rzeczywistości? Jest zupełnie inaczej.

12 lutego były europoseł PO Krzysztof Lisek poinformował na Twitterze, że szefem sztabu Kidawy-Błońskiej na Belgię będzie Marcin Mycielski. „Marcin, witamy na pokładzie! Razem góry będziemy przenosić a wybory wygramy na pewno" – pisał Lisek o jednym z najważniejszych działaczy Fundacji Otwarty Dialog Ludmiły Kozłowskiej, w przeszłości również założycielu międzynarodowego KOD i byłym korespondencie „Gazety Wyborczej" w Belgii. Wpis Liska na swoim profilu udostępnił sam Mycielski. A zatem fakty musiały się zgadzać.

> Oficjalny sztab Kidawy-Błońskiej nieco różni się od tego rzeczywistego. Formalnie kieruje nim Bartosz Arłukowicz, który jeszcze kilka lat temu nie zostawiał na PO suchej nitki. Jednak decyzje podejmowane są gdzie indziej

Jednak po kilku godzinach Lisek post usunął, a Adam Szłapka, rzecznik sztabu wicemarszałek Sejmu, dementował te doniesienia, nazywając je fake newsem. Skąd to wycofanie się? Zdecydowała zapewne styczniowa awaria Facebooka, dzięki której przez kilka godzin jawne były informacje, kto w rzeczywistości administruje profilami na tym portalu. Wtedy wyszło na jaw, że Mycielski jest jednym z zarządzających SokiemzBuraka, od którego Platforma chce się odciąć.

Pytany o usunięcie wpisu Krzysztof Lisek przyznał, że skasował informację, bo... „okazała się przedwczesna". Czyżby więc w niedalekiej przyszłości Mycielski miał jednak stanąć na czele belgijskiego sztabu Kidawy-Błońskiej?

To dopiero początek związków PO z SokiemzBuraka. Dalej jest dużo gorzej.

ZAWODOWY HEJTER W SZTABIE

Skoro zaczęła się kampania wyborcza PO, to w grze musi pojawić się on – tajna broń partii. Człowiek do zadań specjalnych. Sowicie opłacany siewca internetowej agresji. Mowa o Mariuszu Kozaku-Zagozdzie, twórcy hejterskiego antypisowskiego profilu SokzBuraka, którego związki z Platformą opisaliśmy w tygodniku „Sieci" we wrześniu ub.r. Okazuje się, że są one jeszcze bliższe, niż nam się wydawało.

Po naszej publikacji jest już jasne, że to on stoi za SzB, a PO się mu odwdzięcza, zatrudniając, gdzie tylko się da i płacąc publicznymi pieniędzmi.

Jak się dowiedzieliśmy, Mariusz Kozak-Zagozda w lutym został pracownikiem komitetu wyborczego kandydata na prezydenta RP Małgorzaty Kidawy-Błońskiej jako „osoba wykonująca umowę agencyjną, umowę zlecenia lub umowę o świadczenie usług". Albo sztabowcy pani marszałek naiwnie liczyli na to, że ta informacja nie ujrzy światła dziennego, albo puścili wszystkie hamulce i niespecjalnie będą się kryć z brudnymi metodami politycznej walki, byle tylko pokonać Andrzeja Dudę.

Sam Kozak-Zagozda w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" zaprzecza, by był zatrudniony w komitecie wyborczym wicemarszałek. Ale my się upieramy, że w tej sprawie – tak jak w innych – nie mówi prawdy. Nie zdążyliśmy zadać kolejnych pytań, gdyż szybko rzucił słuchawką.

Komitet wyborczy to niejedyne miejsce, w którym Mariusz Kozak-Zagozda zarabia dzięki wspieraniu polityków

eprasa.pl 0aa079c0ec

opozycji. Drugi etat ma w partii Platforma Obywatelska RP. W styczniu zarobił tu ponad 17 tys. zł brutto. Na tym nie koniec. Mimo że wybory parlamentarne odbyły się w październiku, jeszcze w listopadzie i grudniu Kozak-Zagozda miał umowę zlecenie z KKW Koalicja Obywatelska PO-.N (z zarobkami 3 tys. zł za listopad i blisko 6 tys. zł za grudzień). No i jest jeszcze stołeczny ratusz. Rafał Trzaskowski, wdzięczny za kampanię, jaką robił dla niego szef SokuzBuraka, wciąż zatrudnia go w Urzędzie m.st. Warszawy na etacie z zarobkami 8 tys. zł miesięcznie, w styczniu dostał drobną podwyżkę – 200 zł. Jego praca przy stołecznym pl. Bankowym miała być „tylko na pewien czas", ale widać, że politycy PO nie są w stanie zrezygnować z jego usług. Jak donosił portal TVP Info, po wygranych wyborach Trzaskowski na zamkniętej imprezie nazywał Kozaka-Zagozdę „królem internetu". A my wiemy, że szef SzB tym komplementem lubi się chwalić wśród znajomych.



JAK ORGANIZOWANO SPACER Z DONALDEM

Dotarliśmy do osób, które chętnie mówią o Mariuszu Kozaku-Zagoździe i jego metodach pracy. Zastrzegają anonimowość, bo są rozpoznawalne w środowisku obecnej opozycji i ją wspierają, ale nie wszystkie sposoby walki z PiS są według nich dopuszczalne.

– Wiem, że SokzBuraka robi nam dobrą robotę i niesamowicie mobilizuje wyborców, ale myślę, że czułbym się fatalnie, gdyby ktoś wrzucił do sieci fejka, jakoby moja córka poddała się aborcji – zżyma się nasz rozmówca. – Partactwa PiS są tak ewidentne, że wystarczy je po prostu pokazywać, nie trzeba się uciekać do metod nierycerskich – dodaje. – O jakiego rodzaju mobilizację chodzi? – dopytujemy. – Pamiętacie przemarsz z Tuskiem z Dworca Centralnego do prokuratury? To przecież robota SzB, ale pomysł wyszedł od Romana Giertycha.

Donald Tusk, ówczesny przewodniczący Rady Europejskiej, został wezwany do prokuratury w Warszawie na przesłuchanie w postępowaniu dotyczącym niedopełnienia obowiązków służbowych przez funkcjonariuszy, którzy w kwietniu 2010 r. nie uczestniczyli w Rosji w sekcji zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej. Informację tę podał 27 czerwca 2017 r. Roman Giertych, pełnomocnik byłego premiera i innych pierwszoligowych polityków PO, na co dzień otwarcie wspierający tę partię. Z naszych informacji wynika, że mecenas skontaktował się wówczas także z Mariuszem Kozakiem-Zagozdą, by ten, używając administrowanych przez siebie mediów społecznościowych, zorganizował „wielki spacer z Tuskiem". Giertych płacił administratorowi SzB za reklamę na Facebooku i powiększanie zasięgów już wcześniej, a teraz postanowił sprawdzić, czy ten kanał wpływania na opinię publiczną jest skuteczny. W tym czasie na profilu SokuzBuraka widać ogromne wzmożenie w temacie Tuska i „represji", którymi „nęka go opresyjne państwo PiS". Dzięki opłatom zasięg strony to nawet 4 mln odbiorców, dla każdej osoby minimalnie nawet obeznanej z internetową rzeczywistością jest jasne, że to potężne narzędzie.

> Do rzecznika sztabu Kidawy-Błońskiej Adama Szłapki skierowaliśmy pytanie o pracę twórcy SokuzBuraka w komitecie wyborczym kandydatki PO na prezydenta. Poseł zdecydowanie zaprzeczył. A my zdecydowanie twierdzimy, że nie mówi prawdy

Powstaje więc wydarzenie na FB #WielkiSpacer (to sposób na skrzyknięcie fanów), w które oprócz SzB angażują się też inne strony związane z opozycją i Komitetem Obrony Demokracji: RacjonalnaPolska, NieLubiePiSu, ObywateleRP, PrawicowaRP. Potem zaprasza także oficjalna strona Platformy Obywatelskiej. W noc poprzedzającą event na profilu SzB co 20–30 minut pojawia się nowy post ze zdjęciami i cytatami z Tuska, każdy jest zaproszeniem na marsz. Zainteresowanie akcją podgrzewa zresztą sam Tusk, pisząc na Twitterze: „Dzięki za wsparcie, ale #WielkiSpacer będzie długi. Zachowajcie siły. Jesteście przyszłością – nie bierzcie na siebie ciężarów przeszłości". Wydarzenie zapoczątkowane przez SzB staje się frekwencyjnym sukcesem, byłemu premierowi w dwuipółkilometrowej drodze towarzyszy tłum zwolenników i dziennikarzy. Na żywo transmituje to TVN24.

Inna osoba, która zna Kozaka-Zagozdę, opowiada nam o jego politycznych wyborach. – Nie wiedziałem, że spacer to jego sprawka, ale wsparcie dla „króla Europy" wcale mnie nie dziwi. Wielokrotnie powtarzał, że oprócz

eprasa.pl 0aa079c0ec

Tuska nie bardzo widzi kogoś, kto mógłby pokonać Dudę i PiS. W SzB zaangażował się bez reszty, pracował po kilkanaście godzin, odreagowywał w ten sposób kolejne przegrane opozycji – słyszymy.

MECENAS POMAGA

SokzBuraka z jednoosobowego przedsięwzięcia staje się kolektywem. Dzieje się to w czasie, gdy profilem zaczynają interesować się policja i prokuratura. Funkcjonariusze najpierw pytają o Kozaka-Zagozdę i SzB w poznańskiej firmie prowadzącej sklep internetowy SzB, potem przesłuchiwany jest Dariusz Szymańczyk, sąsiad Kozaka-Zagozdy, który pomaga mu w przyciągnięciu do inwestorów. To on zarejestrował znak towarowy SokzBuraka. Giertych podpowiada mężczyznom, jak mają się zachowywać. Czy to on przypomina im, że czasem w trakcie przesłuchania można czegoś „nie wiedzieć" albo jeszcze lepiej „nie pamiętać"? Sprawa dotyczy obrzydliwych memów sugerujących, że Małgorzata Wassermann i Małgorzata Terlikowska miały w młodości aborcje. Szymańczyk przyznaje, że zna Kozaka-Zagozdę, ale nie wie, kto stoi za SzB. Chciał pomóc, bo jest fanem profilu. Wysyłał oferty do potencjalnych kontrahentów, nic z tego nie wyszło.

Kolejny rozmówca mówi nam, że jesienią 2017 r., bo wtedy sytuacja wokół SzB zaczyna się robić gęsta, Kozak-Zagozda wybiera kilka osób spośród zaprzyjaźnionych dziennikarzy z mediów opozycyjnych i nadaje im uprawnienia administratorskie. Ma wtedy opowiadać, że „mogą po niego przyjść o szóstej rano", szuka biura na mieście, by wynieść z domu komputery i twarde dyski. Wtedy z pomocą przychodzi Andrzej Szuliński z londyńskiego Wolnego Radia Opornik. 6 marca 2018 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" wyznaje, że to on stoi za fabryką hejterskich memów: „(...) nad Sokiem siedzą cztery osoby, co wieczór mamy kolegium i decydujemy, co będziemy publikować".

Wśród powiększającego się grona znajomych Mariusza Kozaka-Zagozdy coraz głośniej mówi się o tym, że co prawda SzB idzie nieźle, ale jego twórca nie radzi sobie finansowo. On sam często robi dobrą minę do złej gry, najbardziej zaufanym opowiada, że „jest na krótkim łączu z dużym mecenasem" (chodzi o Romana Giertycha), który pomaga mu od czasu do czasu także finansowo, ale kokosów z tego nie ma, bo żeby strona rosła, Facebookowi trzeba płacić co miesiąc.

Kozak-Zagozda odwdzięcza się mecenasowi. Widać, że SzB hołubi Giertycha, często pojawiają się grafiki z jego cytatami lub linki do artykułów z jego wypowiedziami. Opinia byłego polityka jest czytelnikom przedstawiana jako ważna i wartościowa. Na podobne osobiste wsparcie mogą liczyć tylko Radosław Sikorski i oczywiście Donald Tusk (dodatkowo w kampanii samorządowej Rafał Trzaskowski). 27 listopada 2017 r. na spotkaniu autorskim Romana Giertycha w Empiku przy Nowym Świecie w Warszawie pojawiają się tłumy, to efekt promocji na profilu SzB, który do znudzenia przypominał, że tego dnia odbędzie się premiera książki „Kronika dobrej zmiany". Efekty pracy SzB dla Giertycha widać też w rocznych zestawieniach ruchu internetowego, zasięgi profili mecenasa zwiększają się o kilkanaście procent, bez opłat to w zasadzie niemożliwe.

Poprosiliśmy Romana Giertycha o komentarz do tej sprawy. Mecenas zarzeka się, że nigdy nie zlecał publikacji jakichkolwiek treści na SzB. Na pytanie, czy zna Mariusza Kozaka-Zagozdę, odparł: „Kogo znam, a kogo nie znam, to jest moja prywatna sprawa". Zaprzeczył, by kiedykolwiek płacił temu mężczyźnie. Gdy próbowaliśmy doprecyzować kwestię jego związków z hejterskim profilem, stwierdził, że już wszystko powiedział, serdecznie pozdrowił i odłożył słuchawkę.

NIE MA ZA DARMO

Jest wielu polityków PO, którzy uważają działalność SzB za niegodną, ale siedzą cicho, bo przede wszystkim liczy się skuteczność, a tę hejterski profil zapewnia. – Kampania samorządowa pokazała, że można kogoś za pomocą niewinnych internetowych obrazków dosłownie rozłożyć na łopatki – mówi nam jedna z osób, które były blisko sztabu Rafała Trzaskowskiego. Dodaje, że z rozbawieniem patrzyły, jak Patryk Jaki musi się tłumaczyć z oczywistych nieprawd podawanych w memach SzB. – Problem – dla Jakiego, a nie dla nas – polegał na tym, że taka obrazkowa forma rozchodzi się błyskawicznie. To jest nie do zatrzymania, chociaż za darmo się to nie dzieje.

Jeszcze jedna osoba, która zna Kozaka-Zagozdę: – Gdyby nie Giertych, to SzB w zasadzie by nie było. Przecież trzeba za to płacić regularnie, a Mariusz ma rodzinę, wydatki na życie, nie stać go na to.

– To zaskakujące, że osoby blisko Platformy do pewnego momentu traktowały SzB tylko jako zabawkę. Bawi się chłopak, sprzyja nam, to fajnie. Nie każdy czuł, że to potężne narzędzie. Ale po wyborach samorządowych chyba do wszystkich dotarło, że to działa i trzeba tę perełkę pielęgnować – mówi osoba, która działała przy jednej z ostatnich kampanii internetowych PO.

Jak ujawniliśmy w tygodniku „Sieci", związek Kozaka-Zagozdy i Platformy Obywatelskiej został w końcu zalegalizowany.

KOZAK NA WIELU ETATACH

W zeznaniach przed policją Kozak-Zagozda twierdził, że od dawna nie ma z SzB nic wspólnego. Bronił się, że domenę internetową sprzedał w 2017 r. Jednak jesienią 2019 r. ustaliliśmy, że do logowania się na profile SzB w mediach społecznościowych służą użytkowane przez naszego bohatera adres e-mail oraz numer telefonu. Zresztą ten ostatni zarejestrowany był na firmę Domizz, do której formalnie należy domena sokzburaka.pl, powiązana z profilami Soku w mediach społecznościowych. Po naszej publikacji loginy SzB zostały zmienione.

Podkreślmy więc: Kozak-Zagozda wciąż ma wpływ na to, co dzieje się na SzB. Dlatego tak oburzające jest, że zatrudnia go jedna z największych polskich partii politycznych. Podane na wstępie dane o miejscach jego zarobkowania to tylko aktualizacja tego, co odkryliśmy przed kilkoma miesiącami.

Przypomnijmy, jaki był stan na wrzesień 2019 r. Od kwietnia 2019 r.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Kozak-Zagozda był zatrudniony w wydziale promocji stołecznego ratusza w biurze marketingu. Jego pensja do sierpnia co miesiąc była inna i wahała się pomiędzy 5,5 a 7,4 tys. zł. Jak więc widać, dostał podwyżkę, skoro dziś zarabia ponad 8,2 tys. zł. Rzecznik Urzędu m.st. Warszawy Kamil Dąbrowa nie chciał z nami rozmawiać przed publikacją, a po ukazaniu się artykułu potwierdził zawarte w nim informacje: „Od kwietnia br. zajmuje stanowisko pomocnicze, pomaga w zastępstwie administrować kilkunastoma miejskimi stronami, m.in. »Zieloną Warszawą« i innymi. Prowadzi też usługi analityczne na rzecz ratusza". Dodawał, że we wrześniu jego współpraca z urzędem ma się skończyć. Jak już wiemy, tak się nie stało.

Ujawniliśmy również, że Kozaka-Zagozdę od lutego 2018 r. jako etatowego pracownika zatrudnia Platforma Obywatelska, z wynagrodzeniem od 6,1 tys. do 15 tys. zł (w sumie do września ub.r. zarobił w tej partii ok. 150 tys. zł). Dodatkowo w tym samym okresie pracował dla klubu parlamentarnego PO-KO ze stałym wynagrodzeniem blisko 6 tys. zł.

Jakby tego było mało, we wrześniu, październiku i listopadzie 2018 r. wykonywał zlecenia dla KKW Platforma Nowoczesna Koalicja Obywatelska (przed wyborami samorządowymi), w kwietniu i maju 2019 r. dla KKW Koalicja Europejska PO-PSL (przed wyborami do Parlamentu Europejskiego). Brał za to od kilku do nawet ponad 20 tys. zł miesięcznie.

Gdy we wrześniu próbowaliśmy wyjaśnić te związki w rozmowach z kilkoma ważnymi politykami PO, żaden nie przyznał się do współpracy z Kozakiem-Zagozdą. Skarbnik partii Mariusz Witczak twierdził nawet, że nie kojarzy takiego człowieka (choć przecież co miesiąc mu płaci).

W TBS TEŻ POTRZEBNY

Już po ukazaniu się naszego tekstu dotarliśmy do informacji o kolejnym miejscu zatrudnienia Kozaka-Zagozdy za publiczne pieniądze, którymi dysponuje PO. Opisaliśmy sprawę na portalu wPolityce.pl. Chodzi o spółkę TBS Warszawa Południe podległą stołecznemu ratuszowi, w której pomiędzy kwietniem a grudniem 2018 r. Kozak-Zagozda zarabiał (na etacie) od 6,5 do 7,5 tys. zł. Zapytaliśmy władze tego Towarzystwa Budownictwa Społecznego m.in. o to, na jakim stanowisku był zatrudniony ten pan i jaki był zakres jego obowiązków. Po ustawowych dwóch tygodniach powiadomiono nas, że odpowiedzi zostaną udzielone po kolejnych dwóch tygodniach ze względu na konieczność „przeprowadzenia analiz prawnych".

Ostatecznie dopiero po dwóch miesiącach od skierowania przez nas pytań otrzymaliśmy odpowiedź: „Pan Mariusz Kozak-Zagozda nie był zatrudniony w spółce na stanowisku związanym z pełnieniem funkcji publicznych. Osoby zatrudnione na stanowiskach, które nie wiążą się z pełnieniem funkcji publicznych, nie należą do kategorii osób, których dane podlegałyby udostępnieniu. W związku z tym dane takich pracowników nie są informacją publiczną". A przecież chcieliśmy się tylko dowiedzieć, czym ten wybitny specjalista od reklamy i hejtu w internecie zajmuje się w miejskiej spółce budującej tanie mieszkania, która nie korzysta nawet z mediów społecznościowych. Na marginesie dodajmy, że odmowę udzielenia informacji podpisali obaj członkowie zarządu TBS Warszawa Południe Adam Godusławski i Waldemar Wardziński. Ten pierwszy to do 2018 r. radny warszawskiej dzielnicy Wawer (z ramienia PO), a do 2015 r. zastępca burmistrza tej dzielnicy. Drugi zaś to były prezydent Ciechanowa (w latach 2002–2014), członek PO.

Przewodniczącym rady nadzorczej TBS Warszawa Południe jest Michał Olszewski, wiceprezydent Warszawy, a razem z nim zasiadają w niej m.in. Adam Chwieduk (do 2015 r. w zarządzie stołecznego MPWiK, a do 2018 r. w zarządzie MPO), Bohdan Szułczyński (do 2017 r. wspólnie z Olszewskim w radzie nadzorczej Metra Warszawskiego, b. zastępca burmistrza Bemowa), Wojciech Zbrożek (b. wiceprezes Agencji Nieruchomości Rolnych) i Adam Chwalisz (b. członek rady nadzorczej Miejskiego Przedsiębiorstwa Realizacji Inwestycji sp. z o.o.). Sami swoi perfekcyjnie opłatający miejskie spółki.

TO KIDAWA NIE MA SZCZĘŚCIA

Oficjalny sztab Kidawy-Błońskiej nieco różni się od tego rzeczywistego. Formalnie kieruje nim Bartosz Arłukowicz, który jeszcze kilka lat temu nie zostawiał na PO suchej nitki. Jednak decyzje podejmowane są gdzie indziej. Jak donosił niedawno tygodnik „Wprost", to kompetencja ludzi związanych z Donaldem Tuskiem: specjalisty od kreowania wizerunku byłego premiera Igora Ostachowicza i byłego szefa jego kancelarii Sławomira Nowaka. Oni odpowiadają za strategię. I to oni mieli zdecydować, że przed pierwszą turą najważniejsza jest mobilizacja twardego elektoratu, stąd ostre tony w wypowiedziach wicemarszałek. Czas na „politykę miłości" ma przyjść przed wyborczą dogrywką. To lubujący się w drogich zegarkach były minister infrastruktury ma być autorem hasła „Prawdziwa prezydent". Ostachowicz zaś ma pisać całe wypowiedzi dla Kidawy-Błońskiej. Pracując z Tuskiem, suflował mu tylko kierunek wystąpień, a szczegóły pozostawiał premierowi, w przypadku kandydatki na prezydenta takiego komfortu nie ma.

Ciekawostką jest to, że rzecznikiem sztabu mianowano człowieka spoza Platformy, a mianowicie szefa Nowoczesnej, Adama Szłapkę. Również do niego skierowaliśmy więc pytanie o pracę Mariusza Kozaka-Zagozdy w komitecie wyborczym Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Poseł zdecydowanie zaprzeczył. A my zdecydowanie twierdzimy, że nie mówi prawdy, bo mamy dowody na to, że twórca SzB jest w tej strukturze zatrudniony.

Przed tygodniem Kidawę-Błońską poproszono o komentarz do zamieszania po publikacji „Gazety Wyborczej" atakującej szefową sztabu prezydenta mecenas Jolantę Turczynowicz-Kieryłło. Pani wicemarszałek odpowiedziała, że Andrzej Duda „nie ma szczęścia do współpracowników w sztabie": „Muszą sprawdzać, z kim pracują, z jakimi ludźmi, bo nasi współpracownicy świadczą o nas".

Święte słowa, chciałoby się powiedzieć. Tylko jak o Kidawie-Błońskiej świadczy zatrudnienie w jej komitecie wyborczym pierwszego hejtera polskiego internetu?

Reklama | 57/0220/F

eprasa.pl 0aa079c0ec



Bank Pekao

BIERZ ŻYCIE ZA ROGI

Sebastian Kawa
15-krotny mistrz świata
w szybownictwie

PREMIUJEMY TWÓJ BIZNES

do **600 zł**
z Kontem Przekorzystnym Biznes[1]

0 zł

- za konto, kartę, przelewy
- za wpłaty PeoPay w Euronet i Planet Cash

[1] Na premię w wysokości 600 zł składają się: 200 zł za otwarcie Konta Przekorzystnego Biznes, 200 zł za umowę o terminal płatniczy oraz 200 zł za zawarcie umowy o pierwszy produkt kredytowy – kredyt, pożyczkę lub kartę kredytową Mastercard. Warunki konieczne do spełnienia przez uczestników promocji oraz szczegółowe zasady przyznania nagrody w promocji „600 zł premii i 0 zł za wpłaty PeoPay – III edycja" znajdują się w regulaminie promocji dostępnym na pekao.com.pl/przedsiebiorcy/aktualne-promocje i w oddziałach banku. Promocja trwa do 31.03.2020 r.

Szczegóły dotyczące Konta Przekorzystnego Biznes, w tym warunki darmowego prowadzenia konta, obsługi karty debetowej, a także inne opłaty i prowizje, znajdziesz na pekao.com.pl/przedsiebiorcy i w oddziałach banku. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego. I **Bank Pekao S.A.**

eprasa.pl 0aa079c0ec

Nie wygramy, jeśli zostaniecie w domach



Wielu ludzi uznało, że pewne pozytywne zmiany są oczywiste, że to, co było, nie może wrócić. A to błąd

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **Elżbietą Witek**, marszałkiem Sejmu, politykiem Prawa i Sprawiedliwości*

Pani marszałek, kto wygra wybory prezydenckie?

Elżbieta Witek: Jestem głęboko przekonana, że wygra je prezydent Andrzej Duda. Oczywiście wszyscy wiemy, że nie będzie łatwo. Przed nim i przed wszystkimi, którzy go popierają, ciężka kampania. Prezydent ma jednak mocne atuty, a najważniejszym z nich jest konsekwentne realizowanie programu, z którym Andrzej Duda i nasza formacja szli do wyborów. Ludzie dostrzegają to, jak pozytywnie zmieniła się Polska i życie wielu Polaków w czasie ostatnich pięciu lat. To symboliczne, że początek kampanii zbiegł się z podpisaniem przez pana prezydenta ustawy o kolejnej 13. emeryturze, która była zapowiadana już wcześniej. To przykład wiarygodności prezydenta. Jest obietnica i jest jej realizacja. Ale trzeba pamiętać, że to wszystko, co wypracowano w ostatnich latach, nie jest oczywiste na przyszłość. O ile Andrzej Duda, jako prezydent w następnej kadencji, jest gwarantem kontynuacji dobrych zmian, o tyle nasi poprzednicy nie kryją się z tym, że większość naszych reform cofną, jeśli dojdą do władzy.

Małgorzatę Kidawę-Błońską też pani w to wpisuje?

Odpowiedzią na to pytanie niech będą wypowiedzi pani Kidawy-Błońskiej oraz polityków PO, przede wszystkim te z ostatniego czasu. Wyraźnie w nich słychać zapowiedzi zmian i cofnięcia naszych programów prorodzinnych i prospołecznych. Jeśli zostałaby prezydentem, to można założyć, że żadnej ustawy prospołecznej, np. o 13. emeryturze, nie podpisze. Politycy PO posuwają się wręcz do nagonki na kobiety, które poświęciły pracę zawodową wychowaniu dzieci, ciężko pracując dla swoich rodzin. Niektórzy z nich nazywają taką sytuację „patologią". Twierdzi się, że to jest nicnierobienie. Zarzucają Polakom, że „zgubili szacunek do pracy". Widać brak znajomości życia, tego, jak ciężko Polacy pracują. Jestem również przekonana, że plany podwyższenia wieku emerytalnego powrócą.

Program 500+ też może być zagrożony?

Oczywiście, że tak. Odnoszę wrażenie, że ten program chyba najbardziej drażni naszych oponentów politycznych, ponieważ się udał. Pamiętamy wszyscy, jak totalna opozycja grzmiała, że pieniędzy na ten program nie ma i nie będzie. Mogą go zmienić w program socjalny dla najuboższych, a nam nie o to chodziło. My bardzo mocno postawiliśmy na rodzinę i jej bezpieczeństwo rozumiane bardzo szeroko. Co ciekawe, krytycy naszych programów społecznych nie mają oporów do korzystania z nich – pobierają 500+, 13. emeryturę też biorą. Dziwię się, bo

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0aa079c0ec

jeśli ktoś uważa, że to złe programy – szkodliwe społecznie, niepotrzebnie obciążające budżet – to powinien z tego zrezygnować, jest przecież taka możliwość. Można po porostu nie wystąpić o 500 zł – na tym polega uczciwość wewnętrzna. Najważniejsze, że nasze rządy zwalczyły niekontrolowany wypływ wielu miliardów złotych. Wzmocniły rodziny i przyniosły lepsze życie milionom Polaków.

Zwycięstwo w wyborach parlamentarnych, druga kadencja dla obozu Jarosława Kaczyńskiego to bez wątpienia wielki sukces. Jednak czuć było niedosyt. Niektórzy twierdzili, że przy tej skali transferów do grup dotychczas pokrzywdzonych przy podziale majątku narodowego wynik powinien być lepszy. Pani się z tym zgadza?

Jak każdy polityk Prawa i Sprawiedliwości też się nad tym zastanawiałam. Uważam, że przyczyną pewnego niedosytu była zbyt słaba mobilizacja w regionach, w których zawsze mogliśmy liczyć na najwyższe poparcie. To wynika też z niektórych analiz powyborczych.

Co zdecydowało?

Wielu ludzi uznało, że pewne pozytywne zmiany są oczywiste, że to, co było, nie może wrócić. A to błąd. Widocznie zabrakło umiejętności zmobilizowania wszystkich, którzy nas popierają. Teraz, w kampanii prezydenckiej, tego błędu popełnić nie można. W tych miejscach, w których wystąpiło takie zjawisko, przed majowymi wyborami musi się pojawić prezydent albo ktoś w jego imieniu, kto powie to wprost: „Nie wygram, jeśli zostaniecie w domach".

Podczas konwencji PiS otwierającej kampanię prezydenta Rafał Bochenek kilkakrotnie powtórzył sformułowanie o konieczności „wielkiej narodowej mobilizacji Polaków". To możliwe? Jakich metod trzeba w takiej akcji użyć?

Jest możliwe, a potrzebne metody nie są szczególnie nadzwyczajne, polegają na aktywnej kampanii, która dociera do każdego wyborcy. Mamy też wielki atut, jakim jest prezes Jarosław Kaczyński. Polityk, bez którego nasz obóz nigdy nie przejąłby władzy, który w chwilach najtrudniejszych i najważniejszych umie wykrzesać z ludzi energię, zapał, wolę walki. W tej kampanii to też jest niezbędne, też potrzeba mobilizacji, by każdy dał z siebie wszystko. Na dziś jestem optymistką: jest wola zwycięstwa, tysiące ludzi na spotkaniach z prezydentem.

Tuż po starcie kampanii zdarzyła się jednak sytuacja wokół gestu posłanki Lichockiej w Sejmie. Jak pani marszałek ją ocenia? I dlaczego, co podnosiła opozycja, nie zareagowała pani w czasie posiedzenia Sejmu?

Zacznę od drugiego pytania. Każdy, kto siedział na miejscu marszałka Sejmu, na górze sali sejmowej, wie, że ekran zasłania tę część sali, te rzędy, gdzie to się zdarzyło. Widać lewą stronę, środek i kawałek prawej. Opozycja wie o tym, przyznają mi rację w bezpośredniej rozmowie, ale do mediów mówią co innego. Dlatego samego momentu nie widziałam. Później doszły do mnie informacje, że tam się coś stało. Każdy poseł, każdy klub, jeśli uważa, iż doszło do naruszenia powagi Sejmu, może złożyć wniosek do komisji etyki poselskiej.

A jak pani ocenia sam gest?

Wszędzie trafiają się zachowania, których ludzie czasami nie przemyśleli, zrobili w chwili emocji. Trzeba tego unikać. Sama zawsze unikam działań pochopnych, pod wpływem emocji. Nie wiem dokładnie, co tam się wydarzyło, relacje były przeróżne.

W tym także opisy wyzwisk, jakie politycy PO kierowali w stronę posłanki Lichockiej.

Na pewno warto pamiętać o proporcjach. Każde pojedyncze niewłaściwe zachowanie polityka naszego obozu jest przekazywane w sensacyjnym tonie na całą Polskę, jest powielane tysiące razy w mediach, jest komentowane przez wszystkich jako potężny problem. A co się dzieje, jak świadome działania pełne agresji podejmuje druga strona? Zwykle nic. A każdy pamięta przemysł pogardy skierowany wobec śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wystąpienia Donalda Tuska o „moherowych beretach", ostatnio wydarzenia w Pucku, gdzie aktyw PO, przytulony potem przez panią Kidawę-Błońską, wulgarnie wyzywał pana prezydenta? Widzę tu wielką różnicę w podejściu mediów i wielu komentatorów.

Paulina Matysiak z lewicy, świeżo wybrana posłanka, opisała w listopadzie ubiegłego roku bulwersujące zachowanie posłów PO podczas sejmowych obrad. Matysiak zwróciła uwagę na ich ciągłe „buczenie, krzyki i dogadywanie". Ale chyba szybko ją przywołano do porządku, bo tematu nie kontynuowała.

Na jednym z posiedzeń prezydium Sejmu zwróciłam się do wicemarszałków i szefów klubów z prośbą, by w moim imieniu zaapelowali do swoich posłów o zaniechanie takich działań, jak wyciąganie transparentów, krzyczenie, jakieś pozaregulaminowe manifestacje. I zapowiedziałam, że bez specjalnego nagłaśniania, ale będę za takie zachowania konsekwentnie karała.

Ma pani wrażenie, że posłuchali?

Część tak. Jeden z wicemarszałków obiecał mi, że swoich posłów zdyscyplinuje, i, o dziwo, słowa na razie dotrzymuje. Nie uprawiają palikociarstwa, nie ma z tamtych ław pohukiwań, okrzyków.

Czy pod względem standardów ten Sejm jest gorszy od poprzedniego?

Trudno po czterech miesiącach pracy nowej izby jednoznacznie to stwierdzić, mam wrażenie, że przynajmniej niektórzy wyciągnęli wnioski z poprzedniej kadencji, z tych nieudanych, ośmieszających autorów puczów i nocnych śpiewów.

Jak pani ocenia sytuację w klubie i całym obozie Zjednoczonej Prawicy? Media związane z obozem III RP, politycy opozycji ciągle prorokują rozpad, donoszą o rzekomych konfliktach.

A cóż innego mogą mówić? Brakuje im sensownych propozycji programowych, nie mogą mierzyć się na

eprasa.pl 0aa079c0ec

dorobek rządów, to produkują takie sensacje. Chodzi o to, by w wyborcach prawicy zasiać niepewność, niewiarę w jedność obozu, skłonić do poparcia innego kandydata na prezydenta. Obóz jest spójny, działa sprawnie, choć jak w każdej społeczności również u nas jest wiele indywidualności, które powodują różnice. Umiemy je jednak łagodzić i trzymać w ryzach.

Donald Tusk twierdzi, że „PiS już wie, że przegrał".

To nie jest opis wydarzeń, to próba wywołania zjawiska. Metoda stosowana wobec prawicy od kilkunastu lat, nawet książki zapowiadające „koniec PiS" wydawano. Nic takiego się nie dzieje – jesteśmy zjednoczeni, wspólnie pracujemy na rzecz reelekcji prezydenta Andrzeja Dudy. Dla mnie to kolejny dowód na to, że pan Tusk stracił słuch społeczny, pewne wyczucie aktualnych realiów. Mam wrażenie, że to jego czas mija – coraz mniej się go komentuje, coraz mniej ktokolwiek przejmuje się tym, co on powie.

Nie udało się utrzymać w ryzach sprawy prezesa Najwyższej Izby Kontroli Mariana Banasia. Pomimo wątpliwości co do jego sytuacji majątkowo-podatkowej i próśb kierownictwa PiS prezes nie zrezygnował ze stanowiska. Podczas ubiegłotygodniowego spotkania powiedziała mu pani, że „w PiS zasada Neumanna nie obowiązuje". Jak pani to rozumie?

W prosty sposób: nie ma taryfy ulgowej dla nikogo z obozu Prawa i Sprawiedliwości. Prawo jest takie samo dla każdego. O propozycji spotkania złożonej przez prezesa Banasia dowiedziałam się z mediów. Nie chciałam też, by ktoś pomyślał, że to jest element jakichś negocjacji, jakiegoś dogadywania się. Nie ma tu miejsca na coś takiego. Dlatego spotkanie nie odbyło się w cztery oczy, ale ze wszystkimi wiceprezesami Izby. Także temat spotkania dotyczył tylko tego, o czym mam prawo się wypowiadać, a więc zakresu immunitetu prezesa NIK. Prosiłam prezesa Banasia, by nie łączył swoich osobistych problemów z działaniem NIK, bo te dwie sprawy nie mają nic wspólnego. To wszystko dotyczy obywatela Mariana Banasia, a nie prezesa Mariana Banasia. Do pracy Izby nikt nie zgłasza żadnych zastrzeżeń, to nie jest żaden atak na NIK. Zwróciłam też uwagę, że wszystkie postępowania toczą się nie przeciwko komuś, ale w sprawie. Zarówno prezes Banaś, jak i wiceprezesi Izby zgodzili się z tym spojrzeniem.

> Plan mojej wizyty w USA zakłada spotkania nie tylko z Nancy Pelosi, która jest politykiem Partii Demokratycznej, lecz i z politykami Partii Republikańskiej. Program jest bogaty

Służby w sprawie prezesa Banasia, przeszukując należące do niego nieruchomości, nie przekroczyły uprawnień?

Oceniam, że nie. Immunitet prezesa NIK obejmuje jego osobistą wolność, a nie członków jego rodziny, nie nieruchomości do nich czy do niego należące. W sprawie posła Jana Burego potwierdził to w 2014 r. Sąd Rejonowy w Warszawie, orzekając, iż immunitetowi podlega wyłącznie osoba, a nie pomieszczenia, w których przebywa i które mogą być poddane sprawdzeniu.

Mamy dziś wojnę NIK kierowanej przez prezesa Banasia z prokuraturą? Wzajemne kontrole, wejścia do biur – to nie wygląda dobrze.

Ale to nie jest żadna wojna. Obie instytucje powinny normalnie funkcjonować i podejmować działania według swoich kompetencji.

A czy jest jakaś wojna pomiędzy Sejmem a Senatem? Można żartobliwie powiedzieć, że kilkadziesiąt metrów od gabinetu, w którym rozmawiamy, przebiega granica między IV a III RP.

Nie jest tak źle. Pan marszałek Tomasz Grodzki złożył mi na początku urzędowania kurtuazyjną wizytę. Powiedziałam, że wszystko rozumiem, apelowałam, aby w przypadku ustaw ważnych dla ludzi, pilnych, Senat zajmował stanowisko szybciej niż w miesiąc, który regulaminowo przysługuje. Obiecał mi to wtedy i jak na razie rzeczywiście tak jest, z wyjątkiem budżetu i ustaw sądowych. Były też u mnie wszystkie delegacje, które były u niego. U mnie były koncyliacyjne spotkania, merytoryczne rozmowy, a po wizytach u marszałka Senatu niektórzy wchodzili w bardzo polityczne komentarze. Przyznam, że dla mnie to jest niezrozumiałe, niepojęte – jak można z takim uporem uderzać we własny kraj? Ostatnio nawet niemiecki poseł do Parlamentu Europejskiego upomniał naszych opozycyjnych polityków. Nie dziwię się, bo na świecie to budzi coraz większe zdziwienie. A w sercach Polaków znających historię budzą się niedobre skojarzenia z Targowicą.

Opozycja twierdzi, że broni konstytucji.

Kłopot w tym, że nikt nie potrafi wskazać, w którym dokładnie momencie nasza konstytucja miałaby zostać złamana. Jest to zatem sformułowanie z języka politycznej propagandy, a nie faktów. Polacy mają prawo reformować swoje państwo, mają prawo naprawiać wymiar sprawiedliwości.

Skoro wspomnieliśmy o praworządności, to w pani opinii marszałek Tomasz Grodzki powinien wyjaśnić doniesienia medialne o tym, że jako dyrektor szpitala mógł brać łapówki, że mógł akceptować takie działania w kierowanym przez siebie szpitalu?

Uważam, że powinien. To nie żaden zamach na Senat, ale sprawy osobiste z przeszłości, które należy wyjaśnić.

eprasa.pl 0aa079c0ec



Fot. Andrzej Wiktor

Pan Grodzki wystąpił z pozwami, w których domaga się uznania publikacji dziennikarzy za próbę obalenia organu konstytucyjnego, jakim jest Senat.

Nie ma to uzasadnienia, każdy inny polityk zostałby za takie twierdzenia wyśmiany. Każdy inny dziennikarz byłby wzięty w obronę, i słusznie. Zastanawiałam się, co ja bym zrobiła na miejscu pana marszałka Grodzkiego po tej całej już serii dochodzących ze Szczecina świadectw. I doszłam do wniosku, że najuczciwszym rozwiązaniem byłaby rezygnacja z funkcji. Z dwóch powodów. Po pierwsze, bo narażam dobre imię instytucji, którą kieruję. A po drugie, bo takie rzeczy najlepiej wyjaśniać nie z pozycji wpływowego polityka, ale zwykłego człowieka, który może dochodzić prawdy na drodze pozwów cywilnych. Sprawa jest poważna. Mówi się o świadectwach kilkudziesięciu zwykłych ludzi, niemających politycznego interesu, by kłamać.

Czy marszałek Grodzki zrozumiał już, że nie zbuduje alternatywnego państwa polskiego w Senacie?

Myślę, że to dobrze, że nie wygłasza już co tydzień orędzia. Żartowałam nawet, że komuś może przyjść do głowy, że ja również powinnam się uaktywnić w ten sposób. Ale na szczęście ktoś tam może podpowiedział panu marszałkowi, że to nie najlepiej jemu i jego obozowi służy. Bliższa mi jest pracowitość i normalność. Jak się chce coś dziennikarzom powiedzieć, to wystarczy wyjść do reporterów, którzy w Sejmie pracują, i to zrobić.

Pani otworzyła korytarz sejmowy dla dziennikarzy, zrezygnowała z prób przeniesienia ich do centrum prasowego. Świadomie inny styl niż poprzednika?

Zupełnie nie o to chodzi. Każdy z nas ma swój własny styl pracy, zarządzania, swoją wrażliwość i swoje doświadczenia. Rozumiem pracę dziennikarzy, może dlatego, że pełniałam kiedyś funkcję rzecznika PiS. Dziennikarze spędzają w Sejmie całe dnie. Doceniam ich pracę. Odrzucili propozycję komfortowych warunków w centrum prasowym, szanuję to. Staram się być otwarta na dziennikarzy, choć mam zasady – musimy się wzajemnie szanować, jak ktoś chce zadać pytanie, to wie, że może przyjść i porozmawiać.

> Jeśli pani Kidawa-Błońska zostałaby prezydentem, to można założyć, że żadnej ustawy prospołecznej, np. o 13. emeryturze, nie podpisze

Co do centrum prasowego to kłopot z nim był jeden – było poza miejscem realnego życia politycznego. Wygodne zesłanie.

Powtarzam – te argumenty zostały wysłuchane. Swoją drogą, kiedy panią dyrektor gabinetu pana marszałka uderzył niechcący w głowę operator kamery, pan marszałek Grodzki napisał do mnie pismo z żądaniem odebrania mu akredytacji. Odpisałam, zadając jednocześnie pytanie, czy proponuje jakieś zmiany w zakresie organizacji pracy dziennikarzy w Sejmie. Ale nie odpowiedział jak na razie.

W jednym kontynuuje pani linię marszałka Marka Kuchcińskiego – aktywności w relacjach międzynarodowych. W tym tygodniu wyrusza pani do Stanów Zjednoczonych na spotkanie ze swoim odpowiednikiem w Izbie Reprezentantów Nancy Pelosi. Co ciekawe, to wspólna wizyta marszałków parlamentu Polski, Litwy, Łotwy i Estonii. Jaki jest jej cel? Dlaczego w takim formacie?

To efekt spotkania z panią Pelosi w przeddzień obchodów rocznicy wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz, a także zabiegów Litwy, Łotwy i Estonii, by do takiej wizyty w USA doszło. Państwa bałtyckie mają poczucie niepokoju związane ze swoim bezpieczeństwem, a Polska jest przez nie postrzegana jako lider regionu, coraz silniejsze państwo. Nawet przez prezydenta Francji Emmanuela Macrona, który usytuował w ścisłym gronie przywódczym Unii Europejskiej, obok Francji i Niemiec, właśnie Polskę. Plan wizyty zakłada spotkania nie tylko z panią Pelosi, która jest politykiem Partii Demokratycznej, lecz i z politykami Partii Republikańskiej. Program jest bogaty.

Prowadzi pani sejmową politykę zagraniczną tak, jak marszałek Grodzki próbował z senacką?

Nie. Marszałek Sejmu czy Senatu nie może prowadzić swojej polityki zagranicznej. W moich aktywnościach międzynarodowych zawsze działam w ramach uzgodnień z prezydentem i rządem. Dyplomacja parlamentarna to świetny sposób wzmacniania pozycji naszego kraju. Ale nie może być to polityka sprzeczna z ogólną linią rządu i prezydenta, a już na pewno nie powinna być używana do atakowania Polski. Tym bardziej że jest to nieuprawnione i szkodzi naszemu państwu.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Wejście smoczka

Donald Tusk jest balastem kampanii prezydenckiej po stronie opozycji. Dlaczego? Bo w milionach Polaków budzi wyłącznie złe emocje i kojarzy się z negatywną dla nich polityką



STANISŁAW JANECKI

Występując na Festiwalu Dyplomatycznym w Białymstoku (24 lutego br.), Donald Tusk wszedł do prezydenckiej kampanii wyborczej. Jego wykład nie był ani przez moment dyplomatyczny, chyba że za dyplomację uznać insynuacje, impertynencje i obrażanie w stylu „odór przestępstwa, gangu i mafii unosi się każdego dnia nad instytucjami w Polsce". Chodziło jednak o to, żeby wejście do kampanii w roli mentora Małgorzaty Kidawy-Błońskiej (przynajmniej w pierwszej turze) przykryło to, że stchórzył, rezygnując z kandydowania na prezydenta, oraz podkreśliło, że już jest mędrcem sytuującym się daleko poza bieżącymi politycznymi nawalankami, późnym wnukiem i depozytariuszem oświecenia, wielkim nauczycielem i równie wielkim przewodnikiem. Przy tym odwołującym się nie do ponowoczesności, lecz do nowoczesnego modernizmu.



Oczywiście w wykładzie nie było nawet śladu odwołania do procesów, lektur czy mistrzów takiego modernizmu, lecz tylko dlatego, by nie przykrywać mistrzowskiego statusu samego wykładowcy. Donald Tusk niczego nie robi przypadkiem, a wszystkie jego działania są czymś innym, niż deklaruje.

Po co zatem Tusk włączył się w kampanię prezydencką, i to z pozycji dyplomaty oraz nauczyciela (mistrza)?

KOMPLEKS KACZYŃSKIEGO

Donald Tusk jako polityk nie byłby wartością dodaną i wzorem w żadnej kampanii w Polsce, polityk powinien się bowiem sprawdzić w wyborach. A Donald Tusk sprawdzić się nie zdecydował, gdyż nie chciał przegrać. Musiał się więc przesunąć piętro wyżej, czyli na pozycję kreatora polityków, którym zresztą nigdy wcześniej nie był. W przeciwieństwie do Jarosława Kaczyńskiego, kreatora prezydentów i premierów. I to jest jeden z najważniejszych kompleksów Tuska. Przesunął się piętro wyżej także dlatego, że Jarosław Kaczyński wciąż jest politykiem czynnym i sprawczym, liderem rządzącego obozu. A Tusk jest politycznym emerytem bądź rentierem, i to mimo że jest od Kaczyńskiego osiem lat młodszy. To kolejny kompleks byłego przewodniczącego Rady Europejskiej, który wciąż z Kaczyńskim rywalizuje, nie zaś odwrotnie. Przecież prezes PiS nigdy kariery w stylu Tuska nie chciał robić, natomiast Tusk w stylu Kaczyńskiego jak najbardziej.

Problemem jest to, że o ile opozycyjni kandydaci na prezydenta (może z wyjątkiem Krzysztofa Bosaka) akceptują Donalda Tuska jako mentora, mistrza i nauczyciela (choć niekoniecznie jako depozytariusza oświecenia), o tyle wcale nie jest to oczywiste w ich elektoratach. Dla wyborców opozycyjnych kandydatów i partii, zwłaszcza tych młodszych, Tusk jest człowiekiem przeszłości, mimo całego modernistycznego sztafażu. Jest politykiem (postpolitykiem) z innej epoki. I to epoki wielu grupom społecznym, szczególnie młodym, odbierającej szanse oraz możliwości awansu (wszystkie dobre miejsca zajęte przez kolegów) bądź kojarzącej się z władzą niedzielącą się ze społeczeństwem (poza kolegami) owocami wzrostu i rozwoju.

Na tle socjalnych benefitów osiągniętych po listopadzie 2015 r. Donald Tusk kojarzy się z władzą dla elit i ze społecznymi niesprawiedliwościami oraz nierównymi szansami, co jest szczególnie ważne dla młodych. Tusk, reprezentujący przeszłość i darwinowski model społeczny, nie może być wzorem ani dla prekariatu, ani dla ludzi ambitnych, zwłaszcza tych, którzy za pracą wyjeż-

Fot. M. Czutko

eprasa.pl 0aa079c0ec

dżali za granicę. Były premier musi sobie z tego zdawać sprawę, skoro przeniósł się na poziom mistrza i mentora, żeby nie być rozliczanym za siedem lat swoich rządów (choćby za „zniknięte" 250 mld zł, afery i imposybilizm jako filozofię władzy) modernizacyjnych tylko z nazwy albo z pozycji „betonu i asfaltu" (inwestycji infrastrukturalnych), a nie ludzi. Jako mistrz i mentor Tusk mógłby być wzorem dla młodych wyborców, niekojarzących go z rządzeniem w latach 2007–2014, tyle że dla nich nie jest ani osobą znaną, ani punktem odniesienia, reprezentując raczej „zgredów", a nie „ziomali" czy „spoko" ludzi.

Wejście Tuska do kampanii było pomyślane jako ponowne zmobilizowanie armii, która dała wygraną w latach 2007 i 2011 oraz sposób na pozyskanie młodych, urzeczonych wizerunkiem Europejczyka, guru i „nowocześniaka" w jednym. Tyle tylko, że w pierwszym wypadku Tusk jest Napoleonem z czasów zesłania na Wyspę Świętej Heleny, a nie z czasów cesarstwa, w drugim zaś nie jest autorytetem, tylko świetnie urządzonym „zgredem", beneficjantem układów, które dla młodych czy prekariatu są kompletnie niedostępne.

EMERYT CZY KINGMAKER

Donald Tusk, mimo wszelkich zastrzeżeń i ograniczeń, może być użyteczny dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej w pierwszej turze. Może wzmocnić jej zasięgi w stosunku do Władysława Kosiniaka-Kamysza, Szymona Hołowni czy Roberta Biedronia, przywracając na łono Platformy Obywatelskiej (KO) zwolenników, którzy w ostatnich latach się rozpierzchli pod różne polityczne sztandary. Ale to się odbędzie wyłącznie kosztem konkurentów, nie mając żadnego znaczenia w konfrontacji z prezydentem Andrzejem Dudą. Dlatego Tusk tak ochoczo korzysta z mobilizujących narzędzi totalnej opozycji. Na festiwalu w Białymstoku mówił: „Ja mam swoje poglądy, ja wiem, dlaczego od zawsze nie lubię tych, którzy dzisiaj rządzą w Polsce i uważam, że mam dobre powody, żeby ich szczerze nie znosić".

Jako katalizator odnowionej fali antypis Tusk się w miarę sprawdza, choć ta strategia jest już bardzo wyeksploatowana. A rozszerzanie zwykłej nienawiści do PiS na przypisywanie tej partii „ucieczki do przeszłości, a więc nacjonalistyczne rojenia, antyoświeceniowy nurt" na nikim już nie robi wrażenia. To jest zresztą sprzeczne z ideą mędrca, mentora i nauczyciela, który nie powinien schodzić na poziom prymitywnych obelg i insynuacji.

Donald Tusk pomaga zatem nie tyle Małgorzacie Kidawie-Błońskiej, ile samemu sobie. Pozwala to uzasadnić sympatykom, dlaczego miejsce, w którym się znalazł, jest świetne, zaprzeczyć statusowi politycznego emeryta (rentiera), sytuować się na równi z Jarosławem Kaczyńskim jako kingmakerem i sugerować, że wciąż ma potencjał do powrotu do czynnej polityki i zwycięstwa, np. w wyborach prezydenckich w 2025 r., czyli że może być gamechangerem.

> Donald Tusk niczego nie robi przypadkiem, a wszystkie jego działania są czymś innym, niż deklaruje. W kampanii Małgorzaty Kidawy-Błońskiej będzie grać przede wszystkim na siebie

W ewentualnej drugiej turze wyborów prezydenckich Donald Tusk może używać jeszcze więcej inwektyw i tworzyć konstrukcje z „odorem przestępstwa, gangu i mafii", lecz to jest doskonale znane, a poza tym nie przebije Sławomira Nitrasa czy obwoźnych bojówek. Tusk chciałby być w wyborach gamechangerem, lecz nie ma po temu ani narzędzi, ani niezbędnej świeżości. Mógłby być oczywiście liderem, gdy chodzi o donoszenie na Polskę, wykorzystując swoje znajomości w świecie, tyle że to raczej przeciwskuteczne narzędzie w kampanii prezydenckiej, wskazujące na to, że bez „bratniej pomocy" z zewnątrz obóz, który Tusk wspiera, nie jest w stanie niczego wygrać ani nawet istnieć. A prezydent powinien przecież być uosobieniem dążenia do suwerenności i rzecznikiem załatwiania polskich spraw w Polsce. Atuty Donalda Tuska na tym polu są zatem albo nie do wykorzystania, albo mogą przynieść wymierne straty. Tusk już zresztą używał tego narzędzia jako przewodniczący Rady Europejskiej i nic to nie dało ani w wyborach europejskich, ani w parlamentarnych.

Trzy ważne próby Tuska wpływania na polską politykę, poparte autorytetem i możliwościami jego europejskiej funkcji, podjęte 3 maja („wykład" na Uniwersytecie Warszawskim), 18 maja („Marsz dla Europy") oraz 4 czerwca 2019 r. (30. rocznica kontraktowych wyborów) zakończyły się fiaskiem. I to też wpłynęło na jego decyzję, by zdezerterować z wyborów prezydenckich. Nie osłabiły jednak dążenia do istnienia w obecnej polskiej polityce na równi z Jarosławem Kaczyńskim.

CZŁOWIEK PRZESZŁOŚCI

Były premier i przewodniczący Rady Europejskiej, wchodząc do kampanii prezydenckiej, rozwiązuje problemy nie tyle opozycji i opozycyjnych kandydatów, szczególnie PO i Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, ile własne. Nie chce przyjąć do wiadomości, że jest przeszłością, ale przede wszystkim tego, że w milionach (tak, to nie przesada) Polaków budzi wyłącznie złe emocje i kojarzy się z negatywną dla nich polityką. W pierwszej turze nie będzie to miało większego znaczenia, ale w drugiej wielu wyborców, nawet niesympatyzujących z Andrzejem Dudą i PiS, może głosować przeciw Małgorzacie Kidawie-Błońskiej czy innemu kandydatowi wspartemu przez Tuska, uważając, że to także głos przeciw niemu. A inaczej nie mogą miarodajnie i efektywnie swojej niechęci do niego zademonstrować. Z wielu powodów Donald Tusk jest więc balastem kampanii po stronie opozycji, tyle że bardzo trudno będzie ten balast zrzucić. A jego wejście w kampanię nie było wejściem smoka, lecz smoczka.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Naszym asem w rękawie jest Andrzej Duda



Pierwsze dni kampanii pokazują niestety, że oponenci prezydenta Andrzeja Dudy nie cofną się przed niczym. To efekt frustracji po trzech kolejnych przegranych wyborach w połączeniu z nadzieją, że uda się odbić prezydenturę

Z Adamem Bielanem, rzecznikiem prasowym sztabu wyborczego prezydenta Andrzeja Dudy, europarlamentarzystą Porozumienia, rozmawia Edyta Hołdyńska

Start kampanii wyborczej dla Zjednoczonej Prawicy był raczej defensywny. Nie ma pan wrażenia, że to opozycja narzuca tematy podejmowane w mediach?

Adam Bielan: Żyjemy w takiej przyspieszonej rzeczywistości medialnej przez media społecznościowe. Wystarczy brak reakcji na dany temat przez dwie godziny i już powstaje wrażenie defensywy. W kampanii często się zdarza, że wydarzenia zewnętrzne, na które sztab nie ma wpływu, dominują przekaz i kradną uwagę wyborców. Za granicą to np. koronawirus. Mamy jednak dobrze zaplanowane działania na co najmniej trzy miesiące, w razie gdyby była potrzebna druga tura – to na dłużej. Wiemy, jaki ma być przekaz tej kampanii. Mamy zaplanowaną większość wydarzeń w niej. Bierzemy pod uwagę, że nasz kandydat jest w sytuacji wyjątkowej, bo jest urzędującą głową państwa. Ma wiele obowiązków w kraju. Jestem spokojny o przebieg tej kampanii.

Koronawirus za granicą, a w kraju uwagę skradła szefowa sztabu wyborczego Jolanta Turczynowicz-Kieryłło. Może właśnie dlatego, że pani mecenas nie była wcześniej szerzej znaną osobą w polityce, na jaw wyszły wydarzenia z Milanówka. „Gazeta Wyborcza" pisała o tym, że złamała ciszę wyborczą i pogryzła mieszkańca, który próbował ją zatrzymać. Szefowa sztabu musiała się tłumaczyć?

Jeżeli zapada decyzja – a to była decyzja pana prezydenta – by na tak ważne stanowisko w kampanii powoływać osoby spoza polityki, naturalne, jak znam świat mediów, a pewnie pani zna go nawet lepiej, jest to, że media rzucają się, by sprawdzić tę osobę. To nie było zaskoczenie. O sprawie z Milanówka wiedzieliśmy wcześniej. Byliśmy na to przygotowani. Zaskoczyła mnie natomiast, a jestem w polityce długo, skala hejtu ze strony, która bardzo często ma na sztandarach feministyczne postulaty. Kreuje się na obrońcę kobiet, a staje w obronie damskiego boksera. Nikt nie uwierzy, by w starciu z potężnym mężczyzną to kobieta była agresorem. My tę sprawę i jej odbiór społeczny oczywiście regularnie badamy. I na podstawie tych badań mogę stwierdzić, że tym całym zamieszaniem żyła grupa dziennikarzy i polityków w bańce polityczno-medialnej. Do większości wyborców szczegóły tych zajść nie dotarły. Oczywiście zasada jest taka, że członkowie sztabu nie mogą odwracać uwagi od kandydata, od prezydenta Andrzeja Dudy. Ale ta sprawa szybko się wypaliła. Trzeba jednak kontrować fake

eprasa.pl 0aa079c0ec



Fot. Andrzej Wiktor

newsy. Pani mecenas nie złamała ciszy wyborczej. My oczywiście będziemy dbać o to, by tego rodzaju wrzutki opozycji nie odwróciły uwagi od pana prezydenta.

A czy gest Joanny Lichockiej, który potępił prezydent Andrzej Duda, był falstartem tej kampanii? Może utrącić kilka punktów procentowych w wyborach?

To jest sytuacja, na którą mamy bardzo ograniczony wpływ. Na sali obrad w polskim parlamencie często obserwujemy duże emocje. Posłowie opozycji bardzo często w wulgarny sposób nas obrażają. Oczywiście politycy powinni trzymać nerwy na wodzy. Ale jesteśmy ludźmi i popełniamy błędy. Pani poseł Lichocka za swoje zachowanie przeprosiła. I to ją różni od wielu posłów PO, którzy pozwalali sobie na dużo gorsze zachowanie, np. pokazywanie gestu podrzynania gardła pod adresem naszych wyborców. Nigdy za to nie przeprosili. Nie ma zgody na to, żeby partia, która wprowadziła do polskiej polityki Palikota czy Jachirę, stroiła się w piórka obrońcy jakości debaty publicznej. To szczyt hipokryzji! Emocjonalne sceny w Sejmie działy się kilka dni po tym, jak na chłodno i z rozmysłem zorganizowano akcję wulgarnego hejtu na prezydenta w Pucku. Prezydent nie występował tam na wiecu wyborczym, tylko na stuleciu zaślubin Polski z Bałtykiem. To dla Kaszubów świętość. Ludzie zwiezieni tam z Polski po to, by obrazić głowę państwa, później ściskają się z kandydatką PO na prezydenta i otrzymują podziękowania za tę akcję oraz uznanie, że było ich słychać. Mamy tu nierównowagę i dysproporcję pomiędzy oczekiwaniami wobec nas a standardami naszych konkurentów. Ale ja się nie obrażam na obecną rzeczywistość medialną. Wiem, że wciąż nam wolno mniej. Musimy być jeszcze bardziej zdyscyplinowani.

Dlaczego Zjednoczonej Prawicy wolno mniej? I jaki jest przekaz kampanii wyborczej? Czy brak akceptacji dla hejtu to hasło przewodnie kampanii?

Mniej nam wolno z tego względu, że media głównego nurtu, które między kampaniami mogą być nieco bardziej sprawiedliwe, gdy tylko zaczyna się kampania wyborcza, zaczynają nas mocno atakować. Niektóre z nich zmieniają się nawet w minisztaby wyborcze naszej konkurencji. Każda sprawa z naszym udziałem nabiera rangi gigantycznej afery. Zaczynają się pojawiać żółte paski. Gdy wybuchają większe afery związane z naszymi oponentami, te media szybko starają się te

eprasa.pl 0aa079c0ec

sprawy rozwodnić. Nie jesteśmy w stanie w ciągu trzech miesięcy tej sytuacji w mediach zmienić, więc musimy się dostosować i zdyscyplinować.

Czyli nie będzie teraz radykalnych ruchów, mocnych działań, choćby w kwestii reformy wymiaru sprawiedliwości?

Kwestia reformy wymiaru sprawiedliwości była mocnym elementem naszego programu. Myślę, że m.in. ze względu na to, że obiecywaliśmy reformę wymiaru sprawiedliwości, sprawujemy dziś władzę. Nie możemy jej porzucić. Ale jeżeli pyta mnie pani, czy z naszej strony są planowane jakieś ofensywne działania, to nie ma takich planów. Ministerstwo Sprawiedliwości nie planuje konkretnych ruchów legislacyjnych w najbliższym czasie. Ostatnia ustawa była raczej reakcją na zachowanie niewielkiej, ale głośnej i wpływowej, upolitycznionej części wymiaru sprawiedliwości.

Ale przed nami jeszcze działania Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Czy sztab przygotował się na różne scenariusze?

Bierzemy to pod uwagę.

Jarosław Gowin, szef pańskiej formacji, nie popiera mocnych posunięć w kwestii reformy wymiaru sprawiedliwości.

Nie ma w całym obozie Zjednoczonej Prawicy różnicy co do tego, że reforma wymiaru sprawiedliwości jest potrzebna. Możemy się natomiast różnić co do metod. Ale to naturalne, jesteśmy w końcu bardzo szerokim obozem politycznym.

Ale to nie zaszkodzi w kampanii wyborczej Andrzeja Dudy?

Jarosław Gowin jako klasyczny konserwatysta jest za bardziej ewolucyjnym modelem zmian. Choćby takim, jaki zaproponował w kwestii reformy nauki. Zbigniew Ziobro, lider Solidarnej Polski, preferuje radykalną politykę. Ale o spójności naszego obozu świadczą głosowania w parlamencie. Wbrew spekulacjom naszej konkurencji, jak to nasz klub się szybko rozpadnie po wyborach w 2015 r., nic takiego się nie wydarzyło. Jesteśmy i wierzę, że będziemy spójni przez całą kadencję. Zdajemy sobie sprawę z tego, że mamy bardzo silny mandat demokratyczny. Żadna inna lista nie otrzymała takiego poparcia przy bardzo wysokiej frekwencji. Wiążą się z tym oczywiście bardzo duże oczekiwania społeczne. Te wybory, poza kwestiami politycznymi, rozstrzygną, czy ten parlament i rząd, które na pewno będą kontynuować swoją misję do jesieni 2023 r., będą mieć w prezydencie wybranym w maju partnera czy oponenta, który będzie toczyć z nimi wojnę na każdym polu i za wszelką cenę. Ta brutalna wojna domowa na górze, biorąc pod uwagę skomplikowaną sytuację zarówno za naszą wschodnią granicą, jak i w Unii Europejskiej, to ostatnia rzecz, na którą możemy sobie teraz pozwolić.

> O sprawie z Milanówka wiedzieliśmy wcześniej. Zaskoczyła mnie natomiast skala hejtu ze strony, która często ma na sztandarach feministyczne postulaty. Kreuje się na obrońcę kobiet, a staje w obronie damskiego boksera

Prezydent ma prawo weta.

Oczywiście. I dlatego ważne jest, jak tego prawa używa. Przypominam, że prezydent Andrzej Duda ma na swoim koncie więcej wet wobec swojego obozu politycznego niż Bronisław Komorowski. I to są weta ważne, nie tylko w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości, ale też np. ordynacji do wyborów do Parlamentu Europejskiego. Jednak jest to prezydent, który nie wyznaje zasady: im gorzej dla Polski, tym lepiej dla niego, patrzy z życzliwością na działania rządu. W przeciwieństwie do polityków totalnej opozycji, którzy są gotowi na wszystko, aby zaszkodzić rządowi. Widać to choćby w działaniach Senatu, który do końca próbował zastopować uchwalenie 13. emerytury. Pamiętajmy, że prezydent ma znacznie większe kompetencje niż Senat. Prezydent z opozycji, który będzie toczył walkę z rządem, będzie w stanie rządowi, a tym samym krajowi, zaszkodzić dużo bardziej niż marszałek Senatu.

Będzie weto urzędującego prezydenta dla niecałych 2 mld zł dla mediów publicznych?

Nie wiem, jaka będzie decyzja prezydenta. Ma na nią 21 dni. Po to jest tak długi termin, by móc przeanalizować wszystkie aspekty.

Jest scenariusz, który mówi, że jeżeli wybory prezydenckie wygra kandydat opozycji, może dojść do paraliżu działań rządu, bo i Senat, i prezydent będą w rękach opozycji. Prezydent teoretycznie może zawetować wszystko. Może dojść do rozpisania wcześniejszych wyborów?

Mówię twardo: nie będzie żadnych przyspieszonych wyborów. Mamy najmocniejszy mandat demokratyczny od lat i stabilną większość w Sejmie. Zdaję sobie sprawę, że większość Polaków jest już zmęczona kolejnymi kampaniami i negatywnymi emocjami, które one wytwarzają. Ale po wyborach prezydenckich możemy mieć trzy i pół roku względnego spokoju politycznego. Wszystko w rękach Polaków.

A Porozumienie po wyborach nie przejdzie do opozycji? Słychać również takie pogłoski.

Absolutna bzdura. Tego rodzaju plotki były rozpuszczane od początku powstania Zjednoczonej Prawicy, jeszcze przed wyborami w 2015 r. Coś podobnego miało się wydarzyć już po tamtych wyborach. Tymczasem mamy najbardziej udany projekt nie tylko na prawicy, ale w ogóle w polskiej polityce. To zjednoczenie rozmaitych

eprasa.pl 0aa079c0ec

środowisk – od konserwatywnych liberałów przez chadeków, związkowców po narodowców. I to jest projekt, który od momentu powstania w 2014 r. wygrywa wszystkie wybory. Ktoś, kto chciałby rozbić Zjednoczoną Prawicę, musiałby być niespełna rozumu. Oczywiście są różnice programowe, personalne. W tak szerokim obozie, z wieloma silnymi osobowościami, nie jest możliwe, żeby wszyscy się kochali. Ale mamy świadomość wielkiej odpowiedzialności za Polskę, która na nas w tej chwili spoczywa.

Czy konflikt z szefem NIK Marianem Banasiem jest dla was problemem w kampanii? Czy jego dymisja pomogłaby wygrać Andrzejowi Dudzie?

Nie ma możliwości prawnej usunięcia szefa NIK ze stanowiska. Ćwiczyliśmy to dokładnie w przypadku jego poprzednika, który był w sensie procesowym w dużo trudniejszej sytuacji, bo miał już postawione zarzuty karne. Mimo to urzędował z zarzutami karnymi ponad trzy lata. Konstytucja zacementowała kadencję prezesa NIK tak, żeby był niezależny od wpływów politycznych. Problem jest wtedy, kiedy pojawiają się zarzuty, także medialne, potwierdzone przez służby specjalne, ale niepotwierdzone jeszcze prawomocnym wyrokiem sądu.

Żeby dotrzeć do szerokiego grona wyborców, trzeba zdobyć ten mityczny elektorat centrum i wyciszyć twardy trzon PiS? Jest już pewność, że tzw. twardy elektorat zagłosuje na urzędującego prezydenta?

Wyzwaniem kampanii prezydenckiej jest konieczność zdobycia ponad 50 proc. głosów. To wymaga dotarcia do różnych środowisk. Z jednej strony musimy mieć po swojej stronie naszych lojalnych wyborców, którzy są z nami w każdych kolejnych wyborach od wielu lat. Oni nie mogą poczuć się zdemobilizowani czy zaniedbani. Mieliśmy sygnały o możliwej demobilizacji w ostatnich wyborach parlamentarnych i musimy wyciągnąć z tego wnioski. Z drugiej strony – ze względu na to, że poprzeczka jest zawieszona bardzo wysoko – musimy wyjść poza tradycyjny elektorat Zjednoczonej Prawicy. Sięgnąć po zwolenników innych partii bądź tych, którzy nie brali udziału w wyborach parlamentarnych. Dotąd wybory prezydenckie zawsze miały wyższą frekwencję niż parlamentarne.

Kto może być „transferem głosów" w drugiej turze, jeśli do niej dojdzie? Władysław Kosiniak-Kamysz?

Zobaczymy, czy dojdzie do drugiej tury i kto się w niej znajdzie. Zapewne pani Małgorzata Kidawa-Błońska, bo jest kandydatem największej partii opozycyjnej. Ma najsilniejszą organizację, finanse, wsparcie dużej części mediów. Zobaczymy, jak wtedy będą zachowywać się kandydaci, którzy z pierwszej tury odpadną. Trzeba jednak pamiętać, że rola kandydata w przekazaniu głosów jest ograniczona. On może zaapelować o to, żeby jego wyborcy zachowali się w określony sposób, ale – jak wskazują badania – wyborcy nie zawsze słuchają.

> Mówię twardo: nie będzie żadnych przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Mamy najmocniejszy mandat demokratyczny od lat i stabilną większość w Sejmie

Jakiego asa w rękawie pokaże sztab, by wygrać z opozycją?

Asem w rękawie jest Andrzej Duda. Mamy naprawdę kandydata marzeń, jak powiedział Jarosław Kaczyński. To jest polityk, który bardzo dużo osiągnął w ciągu pierwszej kadencji. To dzięki niemu udało się obniżyć wiek emerytalny oraz zrealizować wielkie programy społeczne, jak choćby 500+. Pamiętajmy, że prezydent jest w Polsce również zwierzchnikiem sił zbrojnych, a nasza pozycja w NATO jest dziś nieporównywalnie silniejsza niż pięć lat temu, gdy Andrzej Duda obejmował stanowisko. Mamy przyjęte i zaktualizowane plany na wypadek ataku na nas ze Wschodu. Mamy obecność bardzo dużych sił amerykańskich na naszym terytorium. Mamy w tym roku największe manewry wojskowe na kontynencie europejskim od czasu zakończenia zimnej wojny. To wszystko to w olbrzymiej mierze efekt pracy pana prezydenta. Poza tym Andrzej Duda jest doskonałym kandydatem w samej kampanii. Ma świetny kontakt z ludźmi. Brałem aktywny udział w trzech ostatnich kampaniach: samorządowej, europejskiej, parlamentarnej, ale nie widziałem jeszcze tak emocjonalnych reakcji ludzi, jak teraz podczas wyjazdów dudabusa. Andrzej Duda dosłownie wyciska z ludzi łzy. Widzieliśmy to zresztą na filmikach, które były wrzucane do sieci. Choć proszę wierzyć, że one nie oddają wszystkiego. Jest niewątpliwie świetnym mówcą, potrafi rozgrzewać tłumy. I bardzo ciężko pracuje, więc jestem optymistą, jeśli chodzi o przebieg tej kampanii.

To będzie brutalna kampania?

Pierwsze dni pokazują niestety, że oponenci prezydenta nie cofną się przed niczym. Widzimy absurdalne fake newsy kolportowane choćby po wizycie w Łowiczu, gdzie ojciec pięciorga dzieci dziękował prezydentowi za program 500+ pozwalający mu wykształcić córkę. Próbowano podmienić go z radnym Zjednoczonej Prawicy, twierdząc, że to była ustawka. Musieliśmy publikować zdjęcia, żeby to obalać. Były brutalne ataki na rodzinę pana prezydenta. Rozsiewanie najgorszych plotek czy wulgarne wyzwiska pod jego adresem podawane dalej w mediach przez opozycję. To pokazuje, jaka jest skala emocji po drugiej stronie. To mieszanka frustracji po trzech kolejnych przegranych wyborach w połączeniu z nadzieją, że uda im się odbić prezydenturę. Mam nadzieję, że podobna mobilizacja, ale już bez hejtu, będzie po naszej stronie.

eprasa.pl 0aa079c0ec



Towarzysz od dyplomacji

Powrót 82-letniego Stanisława Cioska na scenę polityczną można uznać za symboliczną zapowiedź zmian, jakie mogą czekać polską dyplomację w wypadku przejęcia władzy przez opozycję. O wyciągnięciu Cioska z politycznej emerytury zadecydowało jego doświadczenie z czasów ambasadorowania w Moskwie, co wskazuje nam, w jakim – także geograficznie – kierunku mogłaby zmierzać polityka zagraniczna lewicy

Kandydat lewicy na prezydenta Robert Biedroń mianował Stanisława Cioska swoim doradcą w sprawach polityki zagranicznej. Ciosek to były funkcjonariusz PZPR oraz ambasador w Moskwie wysłany na tę placówkę jeszcze przez Wojciecha Jaruzelskiego.

Powrót 82-letniego Cioska na scenę polityczną można uznać za symboliczną zapowiedź zmian, jakie mogą czekać polską dyplomację w wypadku przejęcia władzy przez opozycję. I nie chodzi tu nawet o samego Cioska, który przecież nie obejmie sterów w MSZ, lecz o środowisko, które on biograficznie reprezentuje i którego wpływy wykraczają znacznie poza obóz Roberta Biedronia: dawnych wyg po moskiewskich akademiach dyplomatycznych i cynicznych karierowiczów z PZPR mających na-



KONRAD KOŁODZIEJSKI

eprasa.pl 0aa079c0ec

dzieję na powrót do dawnych synekur w dyplomacji.

Oczywiście szansa, że Robert Biedroń zostanie kolejnym prezydentem RP jest – jeśli wierzyć sondażom – niewielka, ale to charakterystyczne, że sięgnięcie po Cioska nie wywołało żadnego absmaku wśród pozostałych formacji opozycyjnych. Przeciwnie, przyjęto tę nominację jako zupełnie naturalną. Stanisław Ciosek, jeden z twórców „okrągłego stołu", budowniczy mostów pomiędzy ówczesną władzą a opozycją, jest człowiekiem płynnie łączącym w sobie PRL i III RP.

Zresztą Platforma Obywatelska też ma swoich Ciosków – żeby wymienić tu przykładowo Włodzimierza Cimoszewicza – ale nie aspiruje on raczej do roli jedynego guru od polityki międzynarodowej. Wokół Platformy kręci się przecież jeszcze cały tabun ludzi z późniejszego zaciągu, już z czasów III RP, choć często uformowanych przez stare kadry wywodzące się z PRL. Oni także nie ukrywają, że chcieliby wrócić i przeorientować polską politykę zagraniczną. Choć skala tej reorientacji byłaby zapewne nieco mniejsza niż w przypadku, gdyby zwyciężył Biedroń i do polskiej dyplomacji znów wzięliby się dawni towarzysze z PZPR.

PODWAŻANIE FUNDAMENTÓW

W tej chwili polityka zagraniczna realizowana przez rząd PiS opiera się na eliminowaniu zagrożeń dla bezpieczeństwa państwa. To właśnie temu celowi podporządkowane są wszystkie inne: budowa strategicznego partnerstwa ze Stanami Zjednoczonymi, dywersyfikacja źródeł energii oraz wzmocnienie politycznej i gospodarczej podmiotowości Polski w ramach Unii Europejskiej (a nie poza nią – jak próbuje twierdzić opozycja).

Tym, co różni dzisiejszą ekipę rządzącą od poprzednich, jest znacznie większa zdolność dostrzegania zmian zachodzących w Polsce i wokół Polski oraz wyciągania z tego wniosków. Rosnący potencjał Polski wymaga bowiem korekty dotychczasowej polityki, która opierała się wcześniej na dopasowaniu własnego interesu (albo wręcz jego podporządkowaniu) interesom państw tzw. starej Europy. Wystarczy przypomnieć tu słynne przemówienie Radosława Sikorskiego sprzed ponad ośmiu lat w Berlinie, w którym domagał się on silnych Niemiec zdolnych przewodzić innym państwom Unii.

Nic zatem dziwnego, że w odróżnieniu od polityki zagranicznej realizowanej przez Radosława Sikorskiego i rząd PO-PSL obecna strategia PiS musi budzić opór zewnętrzny. Unia Europejska często sprzeciwia się jej z powodów ideologicznych (kwestionowanie przez PiS niektórych instytucji liberalnego państwa) i ekonomicznych (tu niepokój wywołuje wzrost samodzielności gospodarczej Polski). Rosja z kolei widzi w obecnej polityce PiS poważną przeszkodę w realizacji własnych planów geopolitycznych.

> Zza pleców „nowoczesnego" Biedronia coraz odważniej wyłaniają się dawni pezetpeerowscy wyjadacze widzący w swoim kandydacie dźwignię, która z powrotem wyniesie ich w górę

Jednocześnie jednak polityka międzynarodowa PiS spotyka się z zaciekłym sprzeciwem wewnątrz kraju. I nie chodzi tu o naturalną w każdej demokracji krytykę poszczególnych posunięć rządu, lecz o podważanie fundamentów całej polityki i odmawianie jej prawomocności. Jest to oczywiście pokłosie ostrego konfliktu politycznego w Polsce oraz zaangażowania w ten konflikt instytucji unijnych. Jednak nie tylko.

Kiedyś przyjmowało się w Polsce, że polityka zagraniczna jest wyłączona spod bieżących sporów. Mniej więcej od połowy lat 90. takie kwestie jak dążenie do integracji ze strukturami zachodnimi oraz daleko posunięta ostrożność w relacjach z Rosją nie podlegały żadnej dyskusji. Zgadzały się co do tego wszystkie główne siły na polskiej scenie politycznej – od postkomunistycznej wówczas lewicy aż po prawicę. Porozumienie to utrzymało się nawet wtedy, gdy najważniejsze cele, takie jak członkostwo Polski w NATO i Unii Europejskiej, zostały już osiągnięte. Jednomyślność skończyła się jednak ostatecznie wraz z objęciem rządów przez PiS, nie tylko z tego powodu, że prawica po 2015 r. weszła na bardziej podmiotowy kurs w polityce międzynarodowej i napotkała opór liberalnego mainstreamu w Europie, lecz również – a może przede wszystkim – dlatego, że zdołała wyrwać stery dyplomacji z rąk starej ekipy królującej w MSZ od zarania III RP. Problem więc nie polegał wyłącznie na krytycznej ocenie tych lub innych posunięć PiS na arenie międzynarodowej, lecz także na tym, że politykę zagraniczną realizowali „niewłaściwi" ludzie.

BUDOWNICZY MOSTÓW

I tak wracamy do Stanisława Cioska i jego nominacji przez Roberta Biedronia. Biedroń wyjaśnia, że wybrał Cioska na swojego doradcę, bo chce skorzystać z jego ogromnej wiedzy. Ciosek z pewnością wiedzę ma, choć jej wartość – gdyby zechciał się tą zakulisową wiedzą podzielić – mogliby chyba najbardziej docenić historycy transformacji w Polsce. Były członek Biura Politycznego KC PZPR wypowiadał się w ostatnim czasie niewiele, a jeśli już, to dzielił się raczej anegdotami z czasów, gdy pełnił wysokie funkcje w komunistycznej Polsce i organizował „okrągły stół" w 1989 r. Swój niespodziewany powrót do polityki Ciosek zawdzięcza zapewne Włodzimierzowi Czarzastemu, z którym wspólnie zasiadał w Stowarzyszeniu Ordynacka skupiającym byłych działaczy aparatu młodzieżowego PZPR.

Należy jednak założyć, że to nie znajomość kulis transformacji i nie sama zażyłość z Czarzastym zdecydowały

Fot. Tomasz Jastrzebowski/REPORTER/East News

eprasa.pl 0aa079c0ec

o tym, że Stanisław Ciosek został wyciągnięty z politycznej emerytury. Chodzi raczej o jego doświadczenie z czasów ambasadorowania w Moskwie w latach 1989–1996, a to z kolei wskazuje nam, w jakim – także geograficznie – kierunku mogłyby zmierzać zmiany w polityce zagranicznej realizowanej przez lewicę.

Jeśli przyjrzymy się ostatnim wypowiedziom Roberta Biedronia, to dostrzeżemy w nich echo poglądów Cioska. Np. podczas niedawnej wizyty w Hajnówce Robert Biedroń oddał hołd ofiarom pacyfikacji białoruskich wsi przez oddział Rajmunda Rajsa „Burego". Przy tej okazji wezwał do wielkiego pojednania narodów Polski, Rosji, Białorusi i Litwy. „Chciałbym doprowadzić do tego, że nie będziemy więcej budowali zasieków, przejść granicznych, wielkich murów, ale będziemy budowali mosty, które będą łączyły nasze narody i nasze społeczeństwa" – mówił Biedroń, obwiniając za złe relacje „nieodpowiedzialnych polityków".

Robert Biedroń uważa, że gdyby nie Putin, to Rosja byłaby przyjazna Polsce i vice versa. Dlatego nawołuje do „budowy mostów". Gdy prześledzić wypowiedzi Stanisława Cioska na temat relacji z Rosją, to właśnie ten wątek przebija się w nich najczęściej. Ciosek jest ewidentnym wielbicielem Rosji, przy czym ta fascynacja wyraźnie przesłania mu rzeczywistość. Twierdzi, że Rosja tak naprawdę czuje się częścią wielkiej Europy od Lizbony do Władywostoku (w rozmowie z Cezarym Michalskim dla „Krytyki Politycznej"), ale trzeba jej pomóc w umocnieniu europejskiej tożsamości. Jak pomóc? No właśnie budując mosty, czyli mówiąc językiem konkretów – iść na różne ustępstwa, ponieważ w przeciwnym razie Rosja stanie się groźna, azjatycka. Skoro więc nie ma w tej chwili szans na odejście Putina, to – jak można wnioskować z wypowiedzi Cioska – trzeba się będzie z nim jakoś uładzić.

W tej dziwacznej orkiestrze nawołującej do porozumienia z Rosją w imię obrony jej „europejskiego oblicza" gra również Włodzimierz Czarzasty, który w apogeum sporu polsko-rosyjskiego wokół II wojny światowej uznał za stosowne wypowiedzieć się na temat wyzwolenia Polski przez Armię Czerwoną, oraz Jerzy Urban – skądinąd stary dobry znajomy Stanisława Cioska – krytykujący co jakiś czas politykę zagraniczną Polski na łamach kremlowskiego propagandowego portalu Sputnik.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że zza pleców „postępowego" i „nowoczesnego" Biedronia coraz odważniej wyłaniają się dawni pezetpeerowscy wyjadacze widzący w swoim kandydacie dźwignię, która z powrotem wyniesie ich w górę.

> Robert Biedroń uważa, że gdyby nie Putin, to Rosja byłaby przyjazna Polsce i vice versa. Skoro jednak nie ma w tej chwili szans na odejście Putina, to trzeba się będzie z Rosją jakoś uładzić

PRECZ Z AMERYKĄ

Różne odłamy lewicy – od postkomunistów Czarzastego i Cioska po liberała Biedronia i marksistę Zandberga – łączy silny antyamerykanizm. W przypadku Biedronia i Zandberga jest to raczej kwestia antytrumpowskiej mody, u Czarzastego i Cioska to bardziej resentyment z czasów PRL. Niezależnie od przyczyn i intencji spycha to obecną polską lewicę na pozycje korzystne dla Rosji.

Adrian Zandberg mocno krytykował w Sejmie rządową politykę obronną, twierdząc, że setki milionów złotych wydawanych na amerykańską broń powinny pójść na cele socjalne. Polska – zdaniem Zandberga – powinna oprzeć swoje bezpieczeństwo na Unii Europejskiej. I choć nie należy z pewnością lekceważyć wielkich potrzeb w służbie zdrowia, edukacji czy usługach publicznych, to przekonanie, że Polska ze swoim potencjałem oraz szczególnym położeniem geograficznym może prowadzić taką samą politykę jak – przykładowo – Słowenia czy Luksemburg, grzeszy dużą naiwnością. A szukanie gwarancji bezpieczeństwa w nieistniejących strukturach obronnych Unii Europejskiej oznacza w rzeczywistości zdanie się na zrządzenie losu. Nikt odpowiedzialny na coś podobnego się nie zdecyduje.

Zresztą można być pewnym, że w przypadku – na szczęście dziś mało prawdopodobnej – utraty suwerenności nikt nie będzie dbał o warunki życia Polaków. Socjalne bezpieczeństwo, które skądinąd słusznie postuluje Zandberg, jest bowiem w naszej sytuacji nierozerwalnie związane z bezpieczeństwem militarnym. A to może nam zapewnić, przynajmniej dziś, tylko dobre wyposażenie armii oraz bliska współpraca ze Stanami Zjednoczonymi.

Utopijne poglądy Zandberga w kwestii bezpieczeństwa stają się jednak niebezpieczne, gdy zaczynają je głosić cynicy w rodzaju Czarzastego. Trudno bowiem zrozumieć, jakie korzyści mogłaby odnieść Polska z rozluźnienia sojuszu z Ameryką. Łatwo natomiast dostrzec zyski, jakie taka polityka może przynieść przeciwnikom Polski. Nawet Platforma Obywatelska, która przecież także wiąże bezpieczeństwo Polski z roztopieniem się naszego państwa w Unii Europejskiej, nie domaga się osłabiania zdolności obronnych na wschodniej flance NATO i budowania w to miejsce „mostów" z Rosją.

Wiele wskazuje na to, że za zasłoną pacyfizmu reprezentowanego przez Biedronia i Zandberga ukrywają się rozmaici ludzie, być może z nieciekawą przeszłością, którzy chcą mieć dziś wpływ na politykę zagraniczną. I gdyby nie zadziwiająca nominacja dla Stanisława Cioska, nikt pewnie nie zwróciłby na to uwagi.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Polskę powiatową rozumieją tylko Duda i Kosiniak-Kamysz

Prawdziwa Polska nie jest krajem ani pokazywanym w TVP, ani krajem z TVN – mówi ***Piotr Zgorzelski***, wicemarszałek Sejmu, polityk Polskiego Stronnictwa Ludowego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Jak to jest z tym PSL? Nadal jesteście młodszym bratem Platformy Obywatelskiej, a w tej kampanii wasalami Małgorzaty Kidawy-Błońskiej?

Piotr Zgorzelski: W życiu! Panie redaktorze, stronnictwo ze 125-letnią historią młodszym bratem partii, która dziś jest, a jutro może jej nie być? Mamy własnego, świetnego kompetentnego kandydata na prezydenta. Prezes Władysław Kosiniak-Kamysz będzie ciężko walczył o prezydenturę. My, jako ci bardziej doświadczeni, musimy lepiej się pilnować, żeby nie dać się sprowokować. Choć niekiedy widać w PO demonstrowanie wyższości wobec nas.

Słucham?

Nie dotyczy to wszystkich polityków Platformy, rozsądni nie odkleili się od rzeczywistości, ale na wielu poziomach wyczułem tego rodzaju podejście do naszej partii.



Na czym ono polega?

Niekiedy wyczuwalne to było jeszcze w koalicji rządowej, odpryski widać w koalicjach w sejmikach wojewódzkich, a także dziś, w kampanii, gdy rywalizujemy ze sobą. Przy okazji wychodzi też podział na miasto i wieś. Ale nie przejmujemy się tym, tylko robimy swoje.

Panie marszałku, nawet jeśli to wywyższenie istnieje, to jeszcze rok temu szliście z tą gardzącą PO na jednej liście wyborczej.

Oczywiste było i wychodziło to nam także z badań, że plan minimum, czyli trzy euromandaty, jest do osiągnięcia wyłącznie w ramach Koalicji Europejskiej. Nie zdiagnozowaliśmy jednak ryzyka, że PiS skutecznie narzuci narrację kampanii wokół praw środowisk LGBT. Nie miało to znaczenia, że przecież w Parlamencie Europejskim nie decyduje się o tych sprawach. Tak czy inaczej eurowybory były najłatwiejsze do wygrania dla szerokiej koalicji opozycji, a je przegraliśmy.

Dlaczego najłatwiejsze?

Partia krytyczna wobec UE, jaką jest PiS, wygrała wybory europejskie. A w kampanii wystawkę, jak w tenisie, politykom PiS dali działacze PO: Trzaskowski, Rabiej, politycy Lewicy. My w PSL swoje osiągnęliśmy, gdy idzie o wynik. I tyle, kropka. To już przeszłość. Nie oglądamy się wstecz, tylko cały nasz wysiłek skupiony jest na kampanii prezesa Kosiniaka-Kamysza.

Powie ktoś: wam w PSL wszystko jedno, co na sztandarach: SLD, LGBT czy logo PO. Byle wyszarpać swoje.

PSL jako partia transakcyjna. Znam te bajki. My zwyczajnie mamy większy potencjał koalicyjny.

Bajki?

Tak. Nasz lider pokazał, że tak nie jest. Kosiniak-Kamysz nie wybrał łatwiejszego startu w formule Koalicji Europejskiej-bis. To my opuściliśmy ten format, wybierając własną ścieżkę. I wybory parlamentarne pokazały, że to była słuszna decyzja.

eprasa.pl 0aa079c0ec

E tam, znowu pewnie z badań wyszło wam, że jest inaczej.
Dostalibyśmy parę biorących miejsc, jedynek, dwójek na listach do Sejmu, po czym bez tytanicznego wysiłku i klejenia list weszlibyśmy do parlamentu i przedłużyli życie. Poszliśmy swoją drogą, biorąc na listy przedsiębiorców, samorządowców, kukizowców, polityków, którym było za ciasno w PO. Wiele środowisk. To mogło się nie udać, wielu komentatorów tak przewidywało, sam pan dobrze o tym wie. To wymagało odwagi naszego lidera i jego ciężkiej pracy.

To prawda, ale moje pytanie dotyczy czegoś innego: tezy, że wasze podziały z PO i Lewicą są czysto teatralne, sztukę odgrywacie do 10 maja. Później, w II turze wyborów prezydenckich, i tak wesprzecie Małgorzatę Kidawę-Błońską.
Ale my zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby w II turze to Władysław Kosiniak-Kamysz rywalizował z Andrzejem Dudą. Zresztą znając prezesa, nie jestem pewny, czy w ogóle zwracałby się do swoich wyborców o poparcie dla jednego czy innego kandydata. On szanuje wyborców i ich poglądy, a nie traktuje ich jak masę do ugniatania. Nasz elektorat jest najmniej emocjonalny, a najbardziej pragmatyczny.

> Nie chcemy walczyć z Małgorzatą Kidawą-Błońską, chcemy z nią wygrać. Tak jak wyborców Andrzeja Dudy nie chcemy pokonać, ale przekonać

Pragmatyczny?
Tak. To najczęściej przedsiębiorcy albo rolnicy, którzy mocno stąpają po ziemi i nie ulegają emocjom. Ale planem jest wejście naszego lidera do II tury i wygrana w maju. Nasz lider podjął decyzję suwerenną: nie ma nad sobą prezesa, nie jest podwykonawcą ani dublerem. To lider, który w kampanii parlamentarnej wziął na siebie ciężar walki o wejście PSL do Sejmu, choć wielu skazywało nas na porażkę. Kosiniak-Kamysz to polityk, który potrafi budować, a nie niszczyć, łączyć, a nie dzielić. Takiego prezydenta Polacy potrzebują. Prezydent musi być liderem wspólnoty, nie może mieć nad sobą przewodniczącego. I tak jak Andrzej Duda nie wyzwolił się spod wpływu Jarosława Kaczyńskiego, tak Małgorzata Kidawa-Błońska słuchałaby Donalda Tuska i Borysa Budki.

Z ręką na sercu: naprawdę myśli pan, że Kosiniak-Kamysz ma większe szanse wygrać z prezydentem Dudą niż kandydatka Koalicji Obywatelskiej?
Tak! Skoro z ręką na sercu, to powiem panu wprost: spośród kandydatów dobrze z prowincją komunikują się tylko Duda i Kosiniak-Kamysz. Kraj za wielkim miastem jest zrozumiały tylko dla lidera PSL i obecnego prezydenta. A bez poparcia mniejszych miast oraz wsi trudno myśleć o zwycięstwie.

Co mówią w kraju za wielkim miastem?
Większość Polaków wcale nie ulega tak łatwo schematom, które często możemy zobaczyć w TVP czy TVN. Na jednym kanale widać, że ludzie z wdzięczności całują władzę po rękach, na drugim, że drożyzna jest tak duża, że nikomu na nic nie wystarcza. Prawdziwa Polska nie jest krajem pokazywanym w TVP ani w TVN.

Ciekawie się dzisiaj pozycjonujecie na scenie politycznej, ale prowincja szybko nie zapomni Kosiniakowi-Kamyszowi, że był twarzą podwyższenia wieku emerytalnego.
Polacy zanegowali tamtą decyzję, zabrakło wtedy rozmowy oraz dialogu i w pewien sposób ponieśliśmy tego konsekwencje.

Wrócicie do tematu podwyższenia wieku emerytalnego?
Nie. Polacy tego nie zaakceptowali, nie ma powrotu do tamtej decyzji. W przyszłości pewnie pojawi się dyskusja, co zrobić, żeby Polacy nie byli skazani na głodowe emerytury. Ale powrotu do przymusowego podniesienia wieku emerytalnego nie będzie.

Co jeszcze będzie tematem tej kampanii?
Na pewno wróci sprawa zmian w wymiarze sprawiedliwości, służbie zdrowia, edukacji, kwestia zapewnienia Polakom prawa do życia w czystym środowisku. To tematy, którymi Polacy się interesują.

Przy sądach też próbujecie iść swoją drogą: jedni mówią o kaście, inni o końcu demokracji. Wy robicie okrągły stół. Po co?
Na prowincji sędziowie są bardzo często źle oceniani. Trochę odpowiada za to propaganda obozu rządowego, ale trochę winni są sami sobie. Na posiedzeniu zespołu ds. ustroju sądów sędziowie sami mówili, że do stanu sprzed reform Ziobry powrotu nie ma i że uspołecznienie wymiaru sprawiedliwości jest konieczne. Z naszego spotkania w Sejmie w pewnym momencie zrobił się swoisty kongres pokrzywdzonych; tam było tyle ludzkiej krzywdy zgromadzonej na tak małej powierzchni, że wieczorem nie mogłem zasnąć. Ci ludzie są wkurzeni na kastę, ale i na prokuraturę, a także na administrację skarbową. Na poprzedni układ sądowy, ale i na ministra Ziobrę. Musimy szukać innej drogi.

Szukacie innej drogi, ale w wyborach to PiS i PO zgarniają wszystko.
Spróbujmy rozbić ten duopol. Jedyną szansą na to jest prezydent spoza tych dwóch partii. Inaczej znów będzie prezydent albo dla wyborców PO, albo PiS.

Czy na pewno prezydent Kosiniak-Kamysz będzie prezydentem spoza tych dwóch partii? Z PO jesteście w Europejskiej Partii Ludowej, prezes PSL dzwoni do Donalda Tuska po prośbie w sprawie debaty.
Co do Donalda Tuska, to jego zaangażowanie trzeba mierzyć odpowiedzią na pytanie, dlaczego nie wystartował w tych wyborach. A nie zrobił tego, bo nie miał szans – sam przyznał, że ma zbyt duży elektorat negatywny. Jego wsparcie, jeśli

eprasa.pl 0aa079c0ec



miało się przydać, to gdzie jak nie w wyborach do Parlamentu Europejskiego? Tymczasem jego poparcie nie przełożyło się na wynik. Teraz jego poparcie dla Kidawy-Błońskiej też może się odbić czkawką. Odpowiem dyplomatycznie, że cieszę się, że Tusk jako szef EPP poparł w I turze kandydatkę Platformy.

Czuje pan presję na PSL, że trzeba dziś ruki pa szwam i nie szkodzić Kidawie-Błońskiej?

Nie chcemy z nią walczyć, chcemy z nią wygrać. Tak jak wyborców Andrzeja Dudy nie chcemy pokonać, ale przekonać. Presja jest wyczuwalna, ale nie damy się wciągnąć do teatru jednego czy drugiego sztabu.

Powiedzmy, że panu wierzę. A potem dogadacie się z Platformą.

Dobrze pan wie, że w polityce – np. w Niemczech – pojawiają się naprawdę egzotyczne koalicje, by stworzyć większość. Mogę stanowczo powiedzieć, że ani my w PSL, ani nasi wyborcy nie jesteśmy dziś po lewej stronie. Nasze miejsce jest w centrum, w roli nowoczesnej chadecji ze 125-letnią historią ruchu ludowego. Jesteśmy partią, która szanuje tradycyjne wartości, popiera wolność w gospodarce, ale równocześnie jest wrażliwa społecznie. Jesteśmy gotowi do wspólnej pracy z innymi ugrupowaniami, aby przygotować Polskę do wyzwań przyszłości – stabilnej gospodarki, ochrony zdrowia w starzejącym się społeczeństwie, kwestii klimatycznych i aktywnej Polski w Unii Europejskiej.

PiS też nazywa się chadecją. Może z nim się dogadacie, przy okazji mielibyście kilka sejmików wojewódzkich gratis.

Moja wyobraźnia nie obejmuje takiego scenariusza, bo przecież PiS otwarcie przyznawało, że jego celem jest to, żebyśmy zniknęli ze sceny politycznej.

To co dalej z tym PSL?

Miało, ma i będzie się miało dobrze, także po wyborach prezydenckich. Dzisiejsze wybory są personalne, bo głosujemy na osobę, a my mamy świetnie przygotowanego kandydata. Co najważniejsze, samodzielnego w swoich decyzjach i nieuwikłanego w ostre spory. Z jednej strony szkoda go będzie tracić, ale z drugiej takiego prezydenta Polacy potrzebują. Prezydenta rozsądnego, samodzielnego, przewidywalnego, który będzie zasypywał podziały społeczne, a nie je pogłębiał. Takim prezydentem będzie Władysław Kosiniak-Kamysz, jeśli Polacy powierzą mu ten zaszczytny urząd.

A jak pracuje się w gabinecie wicemarszałka Sejmu?

Może pana zaskoczę, ale tutaj wiele rzeczy przyjmowanych jest w konsensie. Nie mogę powiedzieć złego słowa na organizację pracy przez marszałek Elżbietę Witek. Pełen Wersal.

Kiedy patrzę na obrady Sejmu, to trudno mi mówić o Wersalu.

Awanturników w PiS i PO nie brakuje. Niesławna posłanka Jachira zaczęła i mi robić awanturę.

O co poszło?

Wpadła tu z pretensjami, że w moim gabinecie siedzi Grzegorz Braun.

Siedział?

Siedział. Jest posłem, wybranym przez Polaków, reprezentującym grono wyborców, poprosił o rozmowę, to się zgodziłem. Nic nadzwyczajnego. Ale tego typu sytuacje pokazują, że emocje są olbrzymie. I wiem, że dziś potrzebne są rowy nienawiści do budowania emocji. Czytałem ostatnio „Tożsamość" Fukuyamy – opisuje on USA, ale ocena pasuje i do naszej rzeczywistości.

W Polsce też widzi pan te duże emocjonalne podziały?

Podam panu przykład. Mam dwie kuzynki. Jedna to, wybaczy pan, pisowski radykał – gdy Andrzej Duda zawetował ustawy sądowe, mówiła mi przejęta o tym, że zdradził, że to Bolek 2.0. Druga należy do KOD – gdy nie wziąłem udziału w tym głosowaniu co do porządku obrad, zadzwoniła z wielką awanturą. Przeszła ze mną na pan. Emocje są duże. Najwyższy czas zejść poziom niżej, a my w PSL szukamy furtek do tego. Zachęcam czytelników „Sieci", by wzięli w tym udział.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0aa079c0ec



Tajemnicza baza danych

Dziennikarze związanego z trójmiejską elitą lokalnego portalu zbierają prywatne informacje na temat topowych polityków, robiących miliardowe interesy przedsiębiorców, ludzi kultury i mediów. Te wrażliwe dane znajdują się w specjalnej, liczącej setki rekordów bazie, z której korzysta właściciel portalu



ARTUR CEYROWSKI



PIOTR FILIPCZYK

Niektóre z informacji przechowywanych przez portal Trojmiasto.pl zawierają wrażliwe dane prywatne, które nigdy nie trafią do tekstów dziennikarskich i nie będą opublikowane. Co więcej, do części najbardziej wrażliwych danych dostęp ma jedynie spiritus movens całego przedsięwzięcia, czyli Michał Kaczorowski, właściciel portalu. To on widzi „tajne notatki", w których – według naszych informatorów – pojawiały się np. informacje o tym, który z dziennikarzy był na tej czy innej imprezie pod wpływem alkoholu. Jedna z trójmiejskich dziennikarek odkryła taką informację na swój temat przypadkiem, wówczas kiedy została zatrudniona do pracy w portalu.

Do bazy informacji uzupełnianej przez dziennikarzy portalu dostęp mają także pracownicy innych działów. W notatkach widać dane kontaktowe, biogramy, powiązania, ale także to, kto i ile zapłacił za reklamy w portalu. Dziennikarze, choć nie tylko oni, na bieżąco dopisują kolejne rewelacje na temat polityków, przedsiębiorców, ludzi mediów czy kultury. Wiele informacji ma charakter prywatnych danych wrażliwych, pojawiają się np. uwagi o poglądach politycznych, posiadanych nieruchomościach, miejscach zakupów.

Czy redakcja Trojmiasto.pl stanowi jedynie dodatek do modelu biznesowego, który wymyślił sobie Michał Kaczorowski, właściciel i redaktor naczelny?

Szef portalu nie ukrywa istnienia bazy, choć o jej szczegółach nie mówi wprost. Odpowiada dość zdawkowo na przesłane przez nas pytania i dodaje, że „[...] zaprzecza, jakoby w ramach redakcji istniała celowo wydzielona baza notatek dotyczących specyficznych osób". Przyznaje jednak, iż: „[...] jak każda normalnie działająca redakcja posiadamy bazę swoich kontaktów, która obejmuje między innymi dane dotyczące osób publicznych (np. polityków czy biznesmenów) oraz ewentualnie związane z przygotowywanymi publikacjami". Jednocześnie dodaje,

eprasa.pl 0aa079c0ec



Fot. Shutterstock

że „[...] wszystkie informacje zbierane przez redakcję Trojmiasto.pl wykorzystywane są wyłącznie w celach związanych z działalnością prasową i są objęte tajemnicą dziennikarską".

BAZA, KTÓRA NIE ISTNIEJE

„Był na spotkaniu z prezesem po artykułach informujących, że jego ziemia będzie wykorzystywana na zlot harcerzy i powstanie na niej za miejskie środki droga" – to fragment notatki zostawionej w bazie portalu Trojmiasto.pl przy osobie Zbigniewa Nowaka.

Kim jest ten biznesmen, wiedzą na Pomorzu wszyscy, ale czytelnikom z innych części Polski wyjaśnijmy, że ten niezwykle wpływowy człowiek, w przeszłości radny PO w powiecie gdańskim, kontroluje kilkadziesiąt spółek w kilku różnych branżach. To do niego należą m.in. Zakłady Mięsne Nowak, a także znajdujący się na Wyspie Spichrzów kompleks apartamentowców i hoteli Deo Plaza. To na jego działce stoi wielkie koło widokowe, które jest letnią atrakcją Gdańska.

Kolejnego dnia, przy tym samym nazwisku, pojawił się nowy wpis, tym razem podpisany takimi inicjałami, jakie ma prezes i redaktor naczelny portalu: „Odwiedził nas wyjaśnić złe opinie przy Wyspie Sobieszewskiej".

„Złe opinie" pod tekstem „Nowa ulica dla skautów na Wyspie Sobieszewskiej" faktycznie się pojawiły na portalu, a internauci zasugerowali w nich coś, co było oczywiste dla większości czytelników. Wnikliwa lektura tekstu nie zostawiała wątpliwości, że na nowej miejskiej inwestycji najbardziej skorzysta właściciel tego terenu, czyli wspomniany wcześniej Zbigniew Nowak.

> Dziennikarze, choć nie tylko oni, na bieżąco dopisują w bazie kolejne rewelacje na temat polityków, przedsiębiorców, ludzi mediów i kultury. Wiele informacji ma charakter prywatnych danych wrażliwych

Kolejny tekst, który napisano na temat Nowaka na łamach portalu Trojmiasto.pl, powstał dopiero po kilku miesiącach i dotyczył zabudowy Wyspy Spichrzów, miejsca położonego w samym centrum gdańskiego Śródmieścia. Nikt w nim nie sugerował, że były radny PO będzie beneficjentem miejskich inwestycji, pojawiło się za to sporo słów o „ambitnych planach", a biznesmen mówił, że także „mieszkańcy będą korzystać z zabudowy" tego prestiżowego terenu, bo powstaną tam „[...] nie tylko hotel i najdroższe w Gdańsku apartamenty, ale także spa i restauracje. A letnie ogródki wystawione na nabrzeże będą miejscem otwartym dla wszystkich". Jednym słowem – laurka.

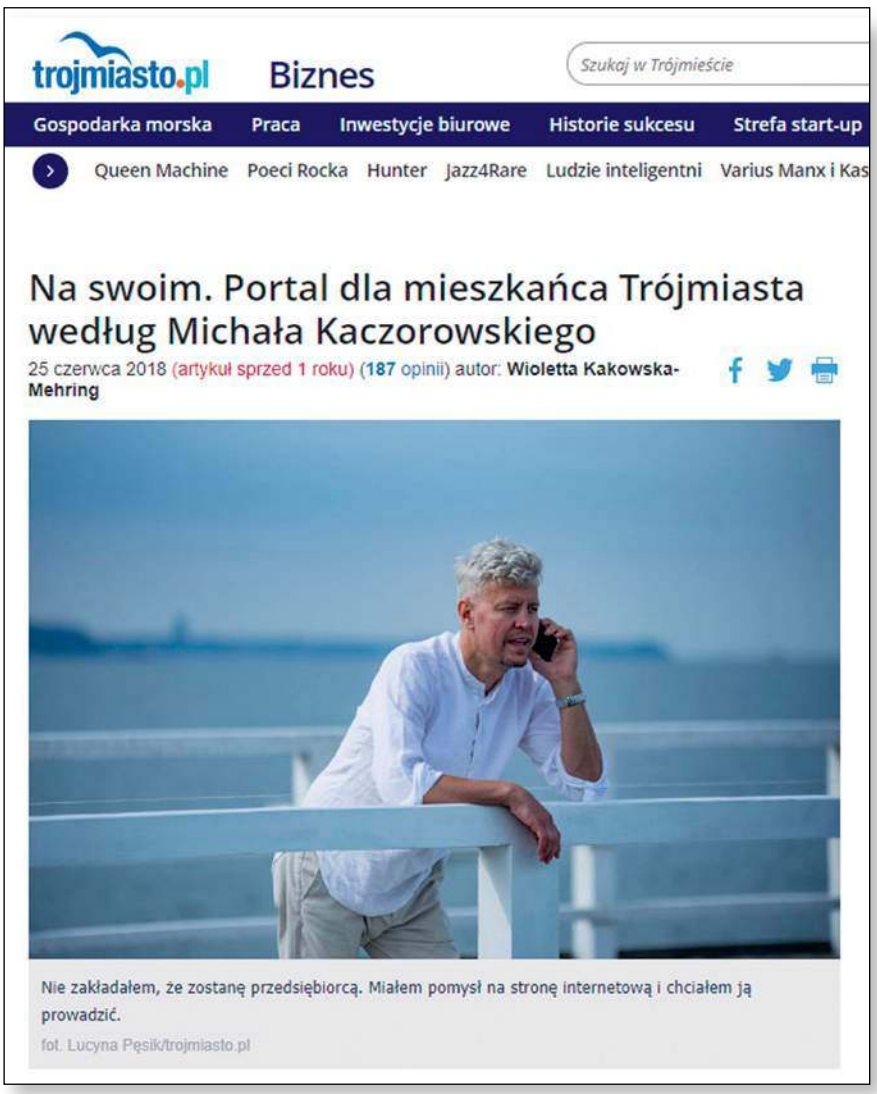
Tekst napisała inna dziennikarka. Autorka tego pierwszego nie pracuje już dla portalu Trojmiasto.pl. Nie wiemy, jakie były okoliczności jej rozstania z pracodawcą, ale wiemy, że opisany przez nią gdański przedsiębiorca, podobnie jak kilkuset biznesmenów, polityków, sportowców i innych trójmiejskich VIP-ów, jest jedną z osób funkcjonujących w potężnej bazie należącej do portalu Trojmiasto.pl. Według naszych informatorów jest tam niemal 100 tys. rekordów, wśród nich lista VIP-ów, na której znajduje się około 500 osób. Notatki są regularnie aktualizowane, m.in. przez dziennikarzy portalu Trojmiasto.pl.

„Był z żoną na otwarciu pracowni fryzjerskiej [tu pada nazwa lokalu]. Nie wspominam o tym w relacji, bo poszła w dzień wyborów samorządowych" – to jedna z wielu informacji o śp. Pawle Adamowiczu i jego żonie Magdalenie. Po co komu ta wiedza, skoro nikt o niej w tekście nie będzie wspominał? Tego nie wiemy. Ale chyba warto wiedzieć, gdzie bywa prezydent ze swoją małżonką, prawda?

Cytujmy dalej, tym razem notatka dotycząca jednego z gdyńskich deweloperów: „Narzekał, że gdy ujawnił swoje plany budowy biurowca na skwerze Plymouth, po tekście o Parku Centralnym w Gdyni, wylała się na niego u nas fala hejtu. Dlatego zrobiłem z nim rozmowę". Jest i kolejna notatka dotycząca tej samej osoby. „Wysłał »zaproszenie« do napisania tekstu o nowej inwestycji w Orłowie" – taką informację ktoś umieścił obok nazwiska dewelopera 3 kwietnia 2018 r.

Już dziewięć dni później na portalu Trojmiasto.pl pojawia się tekst pt. „Duże zapotrzebowanie na małe biurowce.

eprasa.pl 0aa079c0ec



Przegląd nowych inwestycji". „Deweloper [tu nazwa firmy wspomnianego wyżej biznesmena – przyp. red.] ogłosił projekt budowy niewielkiego biurowca w Orłowie. Takie projekty jak ten stanowią przeciwwagę dla dużych parków biurowych, w których powierzchnie wynajmują najczęściej korporacje. Pośrednicy przekonują, że zapotrzebowanie na takie – mniejsze, ale nowoczesne – powierzchnie biurowe rośnie" – czytamy w tekście, który de facto jest reklamą nowych inwestycji biznesmena.

Można? Wszystko można, a w Trójmieście zarabia się dobrze nie tylko w deweloperce. Mała Sycylia to także drogie lokale, piękne kobiety, szybkie samochody i bogaci mężczyźni. A więc imprezy i kluby, które ostro z sobą konkurują. Warto wiedzieć, kto gra przeciwko komu. Zacytujmy więc kolejne informacje. Ocenę tego, na ile są związane z „działalnością prasową", zostawmy czytelnikom.

„Nie chcą na razie tekstu zapowiadającego. Są wkurwieni na »Klub« [tu pada nazwa – przyp. red.]" – czytamy w notatce, którą znaleźć można przy właścicielu jednego z popularnych lokali.

Czy w ramach „działalności prasowej" powstała też kolejna notatka przy tej samej osobie? „Poszła plota, że zamykają [tu pada nazwa lokalu – przyp. red.] od kolesia z klubu [tego, na którego byli „wkurwieni" – przyp. red.], ale on zaprzecza i mówi, że nic takiego nie planują i w 2017 r. [nazwa klubu – przyp. red.] miał jeden z lepszych wyników finansowych od lat".

I kolejna notatka, starsza, o tej samej osobie. Znów w ramach „działalności prasowej"? „Przedłuża za 349". Jak się domyślamy, reklamę.

Wiele notatek utrzymanych jest właśnie w tym tonie. Dla przykładu przy nazwisku właściciela znanej na Pomorzu agencji nieruchomości czytamy: „Jest zaskoczony podwyżką, uważa, że powinna być jakaś informacja wcześniej". „Spotkanie z Ł., M. i D. [imiona skrócone przez nas – przyp. red.] odnośnie ogłoszeń, zgłosili błąd podwójnego wyróżniania, dodaję 1000 punktów w ramach rekompensaty, dostaję wino".

CUD NIEPAMIĘCI

Z bazy notatek, która „nie istnieje", dowiedzieć się można było, kogo „można spotkać u Basi na imprezach". Także to, kto i gdzie „bywa na degustacjach", kto „zaczyna dzień od Trojmiasto.pl" i kto jest „oskarżany przez [tu nazwa firmy – przyp. red.] o niepłacenie za wykonane prace".

Są także pseudonimy, które środowisko nadaje opisywanym postaciom. Dla przykładu Wiesław Bielawski, były wiceprezydent Gdańska, „ma ksywę Walizeczka nawet wśród urzędników". Oczywiście nie trzeba wspominać, iż nie wszystkie informacje trafiają do tekstów.

Jak swój pseudonim komentuje Bielawski? „Nie mam wiedzy na temat takich praktyk i w związku z tym trudno mi je komentować" – napisał w mailu.

Do sprawy nie chciała się w żaden sposób odnieść także Magdalena Adamowicz, żona zamordowanego w styczniu ubiegłego roku prezydenta Gdańska. Na co dzień zaangażowana w walkę o wolne media, tu zdobyła się na jedno zdanie, które dostaliśmy od jej asystenta. „Nie znam sprawy, więc trudno, żebym ją komentowała" – odpowiedziała eurodeputowana.

Sprawy nie chciał komentować także senator Bogdan Borusewicz, który poinformował nas wprost, że nie znajdzie dla nas czasu i nie będzie z nami rozmawiał. Prominentny polityk, który podczas rady krajowej Platformy Obywatelskiej w 2017 r. grzmiał, że

eprasa.pl 0aa079c0ec

zagrożone są „wolne media" uznał, że nie będzie rozmawiał z niektórymi dziennikarzami. Przynajmniej z tymi, których nie lubi, bo innych chętnie zapraszał do siebie, choćby na „śniadania u marszałka".

Po jednej z takich wizyt do bazy Trojmiasto.pl ktoś wrzucił: „Byłam u niego na »śniadaniu u marszałka«, gdzie byli też inni dziennikarze. Rozmowa o polityce bieżącej, międzynarodowej, sondażach".

Dla wielu osób tego typu informacje są cenne, zwłaszcza że później można je uszczegółowić w rozmowach ze swoimi podwładnymi. Tym bardziej że niektóre notatki w bazie są tajne, a dostęp do nich ma wyłącznie redaktor naczelny.

Sprawy komentować nie chciał także poseł Tadeusz Aziewicz, który napisał, że nic nie wie o wspomnianej bazie i zbyt rzadko rozmawia z portalem, żeby tę sprawę komentować. Faktycznie, na jego temat jest trochę mniej notatek. Ale i tak można się sporo dowiedzieć, m.in. tego, na jakich imprezach bywał i ile jego biuro płaciło portalowi za reklamę. Wiadomo także, kto z redakcji zna go dobrze, bo dziennikarze zostawiają w bazie również tego typu informacje.

Do bazy notatek Trojmiasto.pl trafiały nie tylko osoby publiczne. Są w niej również dziennikarze, w tym tacy, którzy starali się o pracę dla Trojmiasto.pl.

– Kiedy się dowiadywaliśmy, że trzeba robić takie notatki, to niektórym to oczywiście nie pasowało. Ale wiadomo, ludzie są różni, niektórzy byli bardzo zaangażowani, zwłaszcza że istniała możliwość zrobienia notatki prywatnej, do której dostęp miał tylko twórca portalu i redaktor naczelny – mówi nam jeden z naszych rozmówców.

Inny z naszych informatorów wspomina, że za brak uzupełnienia bazy po niektórych spotkaniach groziła mu kara finansowa, ale tej informacji nie potwierdza redaktor naczelny portalu Trojmiasto.pl.

„Wewnętrzny system wynagradzania i motywowania pracowników nie jest powiązany z korzystaniem lub uzupełnianiem jakichkolwiek baz danych" – napisał w odpowiedzi na nasze pytanie o ten aspekt funkcjonowania bazy Michał Kaczorowski.

Wszyscy informatorzy zgodnie podkreślali natomiast, iż o stopniu zaangażowania w tworzenie bazy dziennikarze Trojmiasto.pl dowiadywali się na corocznych spotkaniach integracyjnych. – Krytykowano wówczas tych, którzy nie angażowali się w dodawanie takich notatek, i doceniano tych, którzy przyczyniali się do wzrostu bazy – usłyszeliśmy.

Każda z osób opisywana była poprzez mniej lub bardziej formalne powiązania rodzinne i firmowe. – Zaznaczało się także stopień powiązania danej osoby z innymi, partnerów, znajomych, firm, a także informacje dotyczące tego, kto się z kim lubi, a kto z kim niekoniecznie. Tych opcji powiązań było sporo – mówią nasi informatorzy.

„MAŁA SYCYLIA"

„Tam się zatarły granice, ludzie nie mają wyczucia, z kim bywać, a z kim nie. W Trójmieście nikt nie sypie. To jest bardzo hermetyczne środowisko" – mówił, opisując trójmiejskie realia, były redaktor naczelny jednego z tygodników opinii.

Na ile te słowa wpisują się w politykę portalu Trojmiasto.pl, którego redaktor naczelny jest w doskonałych relacjach z politykami i ludźmi biznesu na Pomorzu? W zasadzie możemy mówić o pełnej symbiozie, bo on wie, jak ich docenić, a oni wiedzą, jak odpowiednio uhonorować jego pracę, m.in. licznymi nagrodami i medalami.

Warto wspomnieć choćby nagrodę przyznaną Kaczorowskiemu i portalowi przez Pracodawców Pomorza w 2016 r. Na uroczystej gali, na której świętowano 25-lecie tej organizacji, razem z szefem portalu Trojmiasto.pl złotym medalem uhonorowano kilkunastu prominentnych działaczy Platformy Obywatelskiej i kilku innych przedstawicieli trójmiejskich mediów.

W trakcie naszego dziennikarskiego śledztwa docierały do nas liczne sygnały, że podjęty przez nas temat wywołał popłoch w elicie trójmiejskiej. Z wielu miejsc słyszeliśmy, by o tym wszystkim nie pisać, bo nie jest to nikomu potrzebne i możemy się narazić.

Nasi koledzy dziennikarze pracujący dla portalu Trojmiasto.pl nie chcieli z nami rozmawiać. Kiedy wysłaliśmy im pytania o ich ocenę wywiadowczego procederu i bazy portalu, nie odpowiedzieli na nasze pytania. Bali się wypowiedzieć nawet anonimowo.

JAK TROJMIASTO.PL ROZLICZA DZIENNIKARZY ZAMIAST POLITYKÓW

Głosowanie nad gdańskim budżetem obywatelskim

We wrześniu 2019 r. w portalu Trojmiasto.pl opisano m.in. głosowanie nad gdańskim budżetem obywatelskim. Redaktor portalu pokazał luki w tym systemie i udowodnił, że można oddać głos, podając jedynie numer PESEL, który jest łatwo dostępny. Nie istniała żadna inna metoda weryfikacji, co udowodniono, oddając głosy jako prezydent miasta i kilku jej podwładnych. Okazało się jednocześnie, iż prezydent Aleksandra Dulkiewicz skłamała kilka dni wcześniej, kiedy w mediach społecznościowych poinformowała, że oddała już swój głos. Polityk nie mogła tego zrobić, gdyż jej PESEL nie był jeszcze w bazie głosujących. Po publikacji artykułu urząd miasta wpadł w furię i straszył dziennikarzy Trojmiasto.pl prokuraturą. Co zrobił redaktor naczelny portalu? Bronił honoru i profesjonalizmu swojego pracownika, który dobrze wykonał swoją robotę? Nic z tych rzeczy. Michał Kaczorowski przeprosił Dulkiewicz za posłużenie się jej danymi, a ta zrezygnowała z działań prawnych w tej sprawie.

Wódka prezydent Dulkiewicz

Jeden z dziennikarzy portalu Trojmiasto.pl opublikował w przeszłości nagranie z dyskontu, na którym widać było, jak prezydent Dulkiewicz, w asyście kilku mężczyzn, kupuje butelkę wódki. Dziennikarza, który w ważnym interesie społecznym udostępnił ten film w mediach społecznościowych, odsądzono od czci i wiary. Środowisko go zaszczuło, a redakcja tłumaczyła się wszędzie, gdzie tylko możliwe. Odpowiadano nawet na zaczepki Kamila Durczoka na Twitterze i tłumaczono, że Trojmiasto.pl nie ma z filmem nic wspólnego. Dziennikarz, który nagranie opublikował, bardzo szybko rozstał się z pracodawcą.

eprasa.pl 0aa079c0ec



Na cmentarzu Rakowickim w Krakowie do dziś istnieją dwa nagrobki matki Jana Pawła II: jeden w starej części cmentarza i drugi, na jego wojskowej części, gdzie znajduje się grób Wojtyłów i Kaczorowskich i gdzie ostatecznie spoczęła Emilia Wojtyłowa

Dwa groby matki papieża

Powszechnie uważa się, że Emilia Wojtyłowa spoczywa w grobowcu rodzinnym Wojtyłów i Kaczorowskich na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Zdjęcia tego grobowca wiele razy obiegły Polskę i świat, kiedy podczas pielgrzymek do Polski Jan Paweł II zapalał tam znicze i się modlił. Ale to nie tutaj przywieziono z Wadowic Emilię Wojtyłową po jej śmierci.

MSZA ŻAŁOBNA W WADOWICACH

Najpierw należy przypomnieć, że Emilia Wojtyłowa, z domu Kaczorowska, zmarła 13 kwietnia 1929 r. Miała zaledwie 45 lat. Pozostawiła męża Karola Wojtyłę oraz dwóch synów: starszego Edmunda i młodszego Lolka – przyszłego papieża.

W jej świadectwie zgonu odnotowano przyczynę śmierci: zapalenie mięśnia sercowego i niewydolność nerek (zapis jest po łacinie: myocarditis, nephritis). W ten sposób częściowo wyjaśnia się tajemnica choroby Emilii. Dopiero w tym dokumencie można po raz pierwszy przeczytać diagnozę lekarską. Wynika z niej, że najprawdopodobniej Wojtyłowa miała wadę serca. Później nastąpiły powikłania, niosące inne choroby i dolegliwości. Niedługo przed śmiercią, kiedy jej organizm przestał już normalnie funkcjonować, jako ostatnie przestały pracować nerki. Stąd, jak zapisano, ich niewydolność i w konsekwencji zgon.

Trzy dni po śmierci, 16 kwietnia 1929 r., o 8.30 rano, odbyła się msza żałobna w intencji Emilii. Została odprawiona w jej parafialnym kościele pw. Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny w Wadowicach. Uroczystość była podobno bardzo skromna, z udziałem kilkunastu osób, przy jednej tylko



MILENA KINDZIUK

Udało mi się odkryć nowe fakty na temat Emilii Wojtyłowej. Na cmentarzu Rakowickim w Krakowie odnalazłam dwa grobowce matki św. Jana Pawła II. Jeden pochodzi z 1929 r., a więc z czasu, kiedy umarła, drugi zaś z roku 1934, kiedy została ekshumowana i przeniesiona do nowego grobu. Jak to się stało?

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 0aa079c0ec



zapalonej świecy przy katafalku i dwóch opuszczonych (ręcznie) żyrandolach. Chociaż łacińska liturgia w scenerii półmroku nadawała z pewnością dostojeństwa i powagi chwili.

Trumna jednak nie została odprowadzona na cmentarz bezpośrednio po mszy św., jak zazwyczaj bywa. Emilia nie została bowiem pochowana na cmentarzu w Wadowicach. Jej ciało przewieziono do Krakowa na cmentarz Rakowicki.

Jednakże – trzeba to podkreślić – wielu mieszkańców Wadowic do dziś jest przekonanych, iż Emilia Wojtyłowa spoczęła na cmentarzu parafialnym w Wadowicach, a dopiero po latach jej syn, bp Karol Wojtyła, miałby ją ekshumować i sprowadzić do Krakowa. Nikt nie umie jednak wskazać miejsca na wadowickim cmentarzu, w którym miałaby rzekomo spoczywać matka Jana Pawła II. Jest to zrozumiałe, gdyż jej grób tam po prostu nigdy nie istniał.

Jednak „wadowicka" wersja pochówku Emilii Wojtyłowej utrwaliła się w rodzinnym mieście papieża na tyle mocno, że część mieszkańców nie chce nawet przyjąć do wiadomości, że mogło być inaczej. Trudno określić, skąd wzięło się w ogóle takie przekonanie. Być może stąd, iż rzeczywiście sąsiedzi, którzy uczestniczyli w mszy żałobnej w wadowickiej parafii, mówili później potocznie, że „byli na pogrzebie Emilii", nie precyzując, że chodziło jedynie o samą liturgię w kościele. I taki niepełny przekaz pozostawili kolejnym pokoleniom.

Taką błędną wersję pochówku w Wadowicach można odnaleźć także w publikacjach na temat Jana Pawła II. Na przykład J. Szczypka w książce „Jan Paweł II. Rodowód" pisze: „Zmarłą odprowadzał na cmentarz wadowicki (później jej szczątki przeniesiono do Krakowa) ksiądz Leonard Prochownik, długoletni wikariusz, a od owego 1929 roku proboszcz Wadowic". Autor kilkutomowego opracowania na temat papieża J. Moskwa napisał o Lolku, że „z pogrzebu [matki] na wadowickim cmentarzu niewiele zapamięta". Nawet George Weigel w monumentalnej biografii papieża „Świadek prawdy" podał następującą informację: „Emilia Wojtyłowa, licząca 45 lat, została pochowana 16 kwietnia po mszy świętej pogrzebowej, celebrowanej w kościele parafialnym przez proboszcza, ks. Prochownika".

Było jednak inaczej.

POGRZEB W KRAKOWIE

Otóż po mszy żałobnej w kościele w Wadowicach ciało Emilii zostało przewiezione do Krakowa, na cmentarz Rakowicki, gdzie następnego dnia, czyli 17 kwietnia 1929 r., została ona pochowana. Dowodzi tego niezbicie zachowana dokumentacja.

Po pierwsze, jasno wynika to z nekrologu, który udało mi się odnaleźć i który warto zacytować w całości:

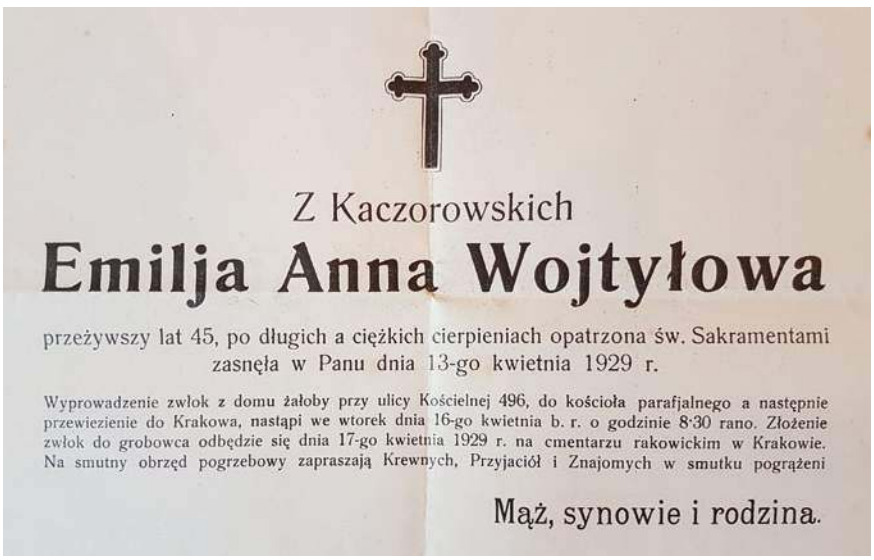
„Z Kaczorowskich Emilja Anna Wojtyłowa przeżywszy lat 45, po długich a ciężkich cierpieniach, opatrzona św. Sakramentami, zasnęła w Panu dnia 13-go kwietnia 1929 r.

Wyprowadzenie zwłok z domu żałoby przy ulicy Kościelnej 496, do kościoła parafialnego, a następnie przewiezienie do Krakowa, nastąpi we wtorek dnia 16-go kwietnia br. o godzinie 8.30 rano.

Złożenie zwłok do grobowca odbędzie się dnia 17-go kwietnia 1929 r. na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Fot. Archiwum autorki

eprasa.pl 0aa079c0ec



Z Kaczorowskich

Emilja Anna Wojtyłowa

przeżywszy lat 45, po długich a ciężkich cierpieniach opatrzona św. Sakramentami zasnęła w Panu dnia 13-go kwietnia 1929 r.

Wyprowadzenie zwłok z domu żałoby przy ulicy Kościelnej 496, do kościoła parafjalnego a następnie przewiezienie do Krakowa, nastąpi we wtorek dnia 16-go kwietnia b. r. o godzinie 8·30 rano. Złożenie zwłok do grobowca odbędzie się dnia 17-go kwietnia 1929 r. na cmentarzu rakowickim w Krakowie. Na smutny obrzęd pogrzebowy zapraszają Krewnych, Przyjaciół i Znajomych w smutku pogrążeni

Mąż, synowie i rodzina.

Fot. Archiwum autorki

Na smutny obrzęd pogrzebowy zapraszają Krewnych, Przyjaciół i Znajomych, w smutku pogrążeni

Mąż, synowie, rodzina".

Podana przez Karola Wojtyłę treść nekrologu wyraźnie wskazuje, że msza żałobna jego żony została odprawiona 16 kwietnia 1929 r., a pochówek odbył się 17 kwietnia 1929 r. w Krakowie.

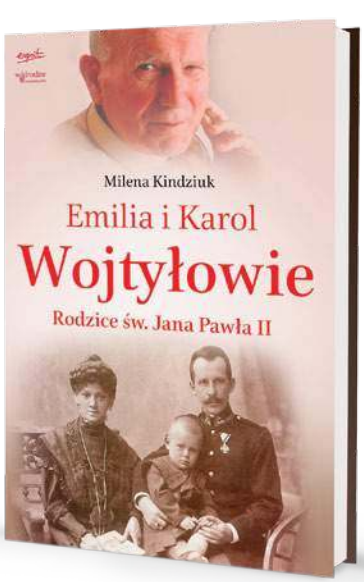
To, że pogrzeb Emilii odbył się w Krakowie, jednoznacznie potwierdza także zapis w „Księdze zmarłych z 1929 roku" z parafii Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny w Wadowicach. Przy adnotacji o śmierci Emilii Wojtyłowej odnalazłam zapisaną tam po łacinie informację: *„Corpus defunctae Cracoviae sepeliendum abhinc extraditum est"*, co należy przetłumaczyć: „Ciało zmarłej zostało stąd wydane w celu pochowania w Krakowie". Zapis jest trudny do odczytania, być może dlatego nigdy nie był w ogóle brany pod uwagę w dotychczasowych opracowaniach dotyczących biografii Jana Pawła II albo też nikt nie sięgał do tego źródła, dziś już archiwalnego.

Informacja o pochówku w Krakowie jest całkowicie zgodna z nekrologiem Wojtyłowej napisanym przez jej męża.

DWA NAGROBKI

Wreszcie niepodważalnym dowodem na to, że matka papieża nie była nigdy pochowana na cmentarzu w Wadowicach, są dokumenty, które znajdują się w Zarządzie Cmentarzy Komunalnych w Krakowie. Dokładnie świadczy o tym zapis w „Księdze zmarłych z 1929 roku", przechowywanej w archiwum zarządu cmentarza Rakowickiego. Można tam przeczytać: „Emilia Wojdyłowa [pisownia oryginalna] zmarła 13 kwietnia 1929 r. w Wadowicach, w wieku 45 lat i po przewiezieniu z Wadowic została pochowana 17 kwietnia 1929 r. do grobu rodziny Kuczmierczyków na cmentarzu Rakowickim, pas 38, rząd południowy, grób nr 2".

Karol Wojtyła pochował zatem Emilię w istniejącym już grobie należącym do krewnych żony, czyli do rodziny Kuczmierczyków, gdzie spoczywały już jej dwie siostry. Grób znajdował się w starej części cmentarza, wśród grobowców XIX-wiecznych.



Udaje mi się go odnaleźć. Robi wrażenie, gdyż na pomniku mocnymi literami wyryte jest imię i nazwisko matki papieża: „Emilia Wojtyłowa, 26/03 1884 – 13/04 1929".

Można więc odnieść wrażenie, że Emilia spoczywa właśnie tutaj, podczas gdy po prostu nie usunięto z pomnika jej imienia i nazwiska po przeniesieniu ciała do innego grobu.

Na tym samym pomniku grobowca rodziny Kuczmierczyków są też wyryte nazwiska pięciu innych osób, które spoczywają w tym miejscu. Jak wynika z dokumentów znajdujących się w zarządzie cmentarza, trzy osoby zostały tu pochowane w roku 1906, po ekshumacji z innych grobów. Są to: Olga Kuczmierczyk (siostra Emilii, zmarła w 1902 r.), Anna Kuczmierczyk (zmarła w 1903 r.) i Helena Kuczmierczyk (siostra Emilii, zmarła w 1905 r.). Ponadto w tym grobowcu znajdują się ciała Józefa Kuczmierczyka, czyli ojca chrzestnego Jana Pawła II (zmarł w 1944 r.), i Stefanii Wojtyły, czyli przyrodniej siostry Karola Wojtyły seniora, ciotki papieża (zmarła w 1962 r.). Grobowiec ten został w wybudowany w 1906 r. Nieznany jest jego fundator, a stan prawny pozostaje nieuregulowany (brak dysponenta grobu).

Do dziś zatem na cmentarzu Rakowickim w Krakowie istnieją dwa nagrobki matki papieża: jeden w starej części cmentarza i drugi, na jego wojskowej części, gdzie znajduje się grób Wojtyłów i Kaczorowskich zbudowany w 1934 r. przez porucznika Karola Wojtyłę.

Ciekawe, że nikt dotąd nie uświadamiał sobie tych faktów. Przynajmniej nie weszły one do świadomości publicznej. Natomiast musiał o tym wiedzieć sam Jan Paweł II, który przecież nawiedzał zarówno stary, jak i nowy grób matki. Papież jednak nigdy publicznie o tym nie wspominał.

Wszystkie te ustalenia pochodzą z czasu zbierania materiałów do książki biograficznej o Emilii i Karolu Wojtyłach, która nakładem Wydawnictwa Esprit i W Drodze ukaże się w kwietniu br., w związku z planowanym rozpoczęciem procesu beatyfikacyjnego rodziców papieża oraz z jubileuszem 100-lecia urodzin św. Jana Pawła II.

eprasa.pl 0aa079c0ec



Piękność kina

„Prawda" Hirokazu Koreedy to poruszający film. O kobietach, aktorkach, skomplikowanej relacji między matką a córką. I o Catherine Deneuve. Ikonie francuskiego kina, dla której granie stało się istotą życia

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 0aa079c0ec



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

O takich produkcjach mówi się, że są podporządkowane jednej roli. Powstają, by mogła zaistnieć oscarowa kreacja. Jak w przypadku „Judy", która statuetkę Amerykańskiej Akademii przyniosła w tym roku Renée Zellweger.

„Prawda" Hirokazu Koreedy (zdobywcy Złotej Palmy, nominowanego do Oscara za „Złodziejaszki") – pierwszy film w karierze reżysera nakręcony poza granicami ojczystej Japonii – nie ma hollywoodzkiego rozmachu. To znakomicie skonstruowana i zagrana intymna opowieść, w której jedna gwiazda świeci wyjątkowo mocno. Przyćmiewając nawet rewelacyjną aktorsko Juliette Binoche, w roli córki.

Deneuve gra gwiazdę kina, która właśnie wydała wspomnienia czy raczej rodzaj kreacji na swój temat. Jedyną w pełni szczerą wypowiedzią wydaje się w niej zdanie: „Nie chciałam być dobrą matką ani żoną, chciałam być tylko dobrą aktorką".

Ekranowa Fabienne decyduje się wystąpić w kameralnym filmie, do którego przyciąga ją rola. Przywołująca wspomnienia, konfrontująca zarówno z przeszłością, jak i teraźniejszością, wymuszająca rozliczenia.

Dla Fabienne granie to czynność permanentna. Nie wychodzi z roli gwiazdy, nawet wykonując banalne czynności. Zjawiskowa uroda, mimo upływających lat, chłodne – nawet w relacjach z najbliższymi – obejście, zmienia się tylko w jednej sytuacji. Gdy w rysach i sylwetce młodej aktorki partnerującej jej przed kamerą bohaterka dostrzega podobieństwo do dziewczyny, którą kiedyś znała i która była dla niej bardzo ważna. W życiu Deneuve też był ktoś taki.

26 czerwca miną 53 lata od tragicznej śmierci Françoise Dorléac – najstarszej i najzdolniejszej, jak uważano w latach 60., spośród córek aktorskiej pary Maurice'a Dorléaca i Renée Deneuve (w filmach występowały także: Catherine, Danielle i Sylvie). Françoise zdążyła zagrać w dziesięciu produkcjach. Gdy samochód, który prowadziła, stanął w płomieniach, miała 25 lat.

– Czułam, że zostaję aktorką nie tylko dla siebie, lecz także dla Françoise. To ona powinna być gwiazdą, nie ja. Czasami mam wrażenie, że zajmuję jej miejsce. [...] Gdyby nie Françoise, pewnie byłabym dzisiaj malarką lub zajmowałabym się grafiką. Aktorstwo było pasją Françoise, nie moją – wyznała w jednym z wywiadów Deneuve.

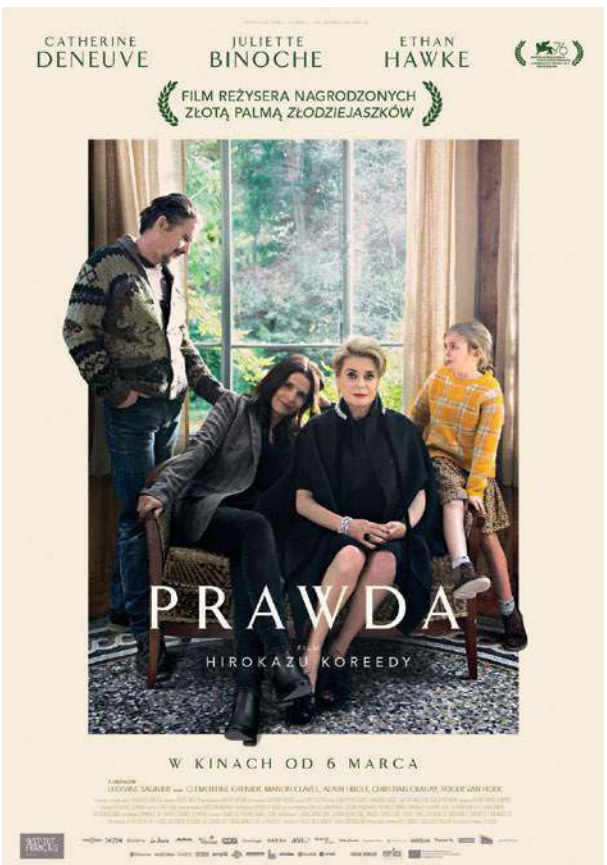
W musicalu „Panienki z Rochefort" (którego premiera odbyła się na trzy miesiące przed tragicznym wypadkiem) zagrały razem. Chciały ukrócić plotki o wzajemnej niechęci. 24-letnia Françoise miała już za sobą m.in. role w „Matni" Romana Polańskiego i „Gładkiej skórze" Truffauta; młodsza o rok Catherine – we „Wstręcie" Polańskiego i „Parasolkach z Cherbourga" Jacques'a Demy'ego. Sukces tego ostatniego tytułu poróżnił siostry. Mimo brawurowej kreacji stworzonej przez Françoise w filmie Truffauta, to Catherine stała się gwiazdą, po tym jak „Parasolki..." zdobyły Złotą Palmę. To było dla niej wielkie otwarcie.

Dziś filmografia Deneuve liczy blisko 180 tytułów. Są wśród nich m.in. „Piękność dnia" Luisa Buñuela, „8 kobiet" François Ozona czy „Tańcząc w ciemnościach" Larsa von Triera. W 1993 r. aktorka dostała nominację do Oscara za pierwszoplanową rolę w filmie „Indochiny".

Od lat uważana za ikonę francuskiego kina i stylu, z powodu dystansu, jaki zachowuje, nazywana bywa „Królową lodu". Przez lata otaczana uwielbieniem mężczyzn, tylko raz zdecydowała się na małżeństwo – z brytyjskim fotografem Davidem Baileyem. Wytrwali rok.

Miała 17 lat, gdy związała się ze starszym od niej prawie dwukrotnie reżyserem Rogerem Vadimem, i 19, gdy urodziła mu syna Christiana. Dziesięć lat później z aktorem i reżyserem Marcello Mastroiannim doczekała się córki Chiary, z którą co jakiś czas pojawiają się razem na ekranie. W ubiegłym roku – w „Pamiątkach Claire Darling".

Światowa premiera „Prawdy" odbyła się w sierpniu 2019 r. podczas festiwalu w Wenecji. Dwa tygodnie po swoich 76. urodzinach (obchodzonych 22 października) Catherine Deneuve doznała udaru na planie francuskiej produkcji „De Son Vivant". Jak informuje rodzina, aktorka powoli wraca do zdrowia. Tymczasem w filmie Koreedy można ją podziwiać w prawdziwie poruszającej kreacji.



eprasa.pl 0aa079c0ec

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piłsudski – młody i nieznany

Temat postaci Józefa Piłsudskiego zdawał się spalony po 100. rocznicy niepodległości. Wielkiej publiki nie zyskały ani „Legiony" Dariusza Gajewskiego, ani typowo biograficzny „Piłsudski" Michała Rosy. Pierwszy był filmem niezłym, efektownym. Drugi podobał mi się jako rzetelna opowieść o przygodach, ale i wyborach przyszłego Marszałka. Najwyraźniej przejadł się sam temat.

A jednak przyszedł czas serialu „Młody Piłsudski" w TVP. Miał on niejako z urzędu większą widownię, a wynik mniej więcej 2 mln widzów wydaje się przyzwoity. Jako dodatkowy kontekst oglądalności można przywoływać owo „przejedzenie się", nie mówiąc o odwróceniu się części inteligencji od TVP jako takiej. Muszę powiedzieć, że z tych trzech dzieł „Młody Piłsudski" wydał mi się przedsięwzięciem najsolidniejszym i najbardziej spójnym, pomimo szczegółowości narracji. Kojarzył mi się z analogicznymi serialami zachodnimi, tymi najbardziej ambitnymi, opierającymi się tandecie.

Reżyserował te 13 odcinków Jarosław Marszewski, ale za autora pomysłu trzeba uznać scenarzystę Jarosława Sokoła. Wyróżnia się on zręcznością w łączeniu solidnego obrachunku z historią z wątkami przygodowymi. W „Czasie honoru", o cichociemnych podczas II wojny światowej, te drugie prowadziły go czasem do różnych naiwności – byle zabawić młodych. Tu na ogół tego uniknięto.

Nie stać było TVP na sceny zbiorowe, na epopeiczny rozmach. A jednak ciekawa akcja z dziesiątkami zawijasów dała opowieści wymiar epopei. Były i polityczne dylematy, i strzelaniny. I był przywódca, przegrywający, ulegający zwątpieniom, dźwigający się z różnych upadków, jednak konsekwentny. Zarazem – to wyszło i w filmie Rosy – przez swój żywot wiecznego „nielegała" nawykły narzucać innym swoje zdanie i nie liczyć się z ludźmi, co znajdzie potem finał w dyktatorskich pokusach po roku 1926. Soczysta, barwna postać zderzona została także z dylematami, które film Rosy pominął. Choćby z ustawicznym sporem z Romanem Dmowskim. Pierwszy raz zobaczyliśmy ich spotkanie w Japonii, gdzie każdy z nich inaczej pojmował polskie interesy.

Pewne sytuacje Sokół wymyślił. Socjalista Piłsudski nie próbował odbijać podczas rewolucji 1905 r. z Pawiaka Stefana Okrzei, a jego zaufany Aleksander Sulkiewicz nie wrzucił bomby do biura wileńskiej żandarmerii. To prawa scenarzysty, który uczynił z Ziuka człowieka strzelającego osobiście z browninga, choć to paradoks, Ziuk realny w tamtych latach walczył przede wszystkim słowem. Pokazano też jego pragmatyzm w doborze środków. Będąc spadkobiercą tradycji insurekcyjnej, nie wahał się sprzeciwiać zamachom na carskich dygnitarzy, a w końcowych odcinkach szukać sojuszów z obcymi – zawsze przeciw carowi.

Mamy hołd złożony wiecznym konspiratorom i bojowcom, bez cienia czułostkowości. To także wielka zasługa niemal cały czas obecnego na ekranie aktora Grzegorza Otrębskiego, na którego postawiono po raz pierwszy. Jest w roli Piłsudskiego świetny, wielobarwny, czasem budzący sympatię, czasem lęk. Bywa, że przyłapany na dziwactwach i małościach.



Spośród aktorów na szczególne oklaski zasłużyli Karol Pocheć jako dziki, nieokiełznany Tatar Sulkiewicz i Mariusz Kilian jako malowniczy pułkownik żandarmerii Kreutzberg, postać fikcyjna, uosabiająca wiecznego policjanta. Akcja prowadzona od początku lat 80. XIX w. urywa się w roku 1908 akcją na pociąg w Bezdanach. I chciałoby się zobaczyć dalszy ciąg. Dokręćcie go!

Piotr Zaremba

Kapitan Żbik znów w akcji

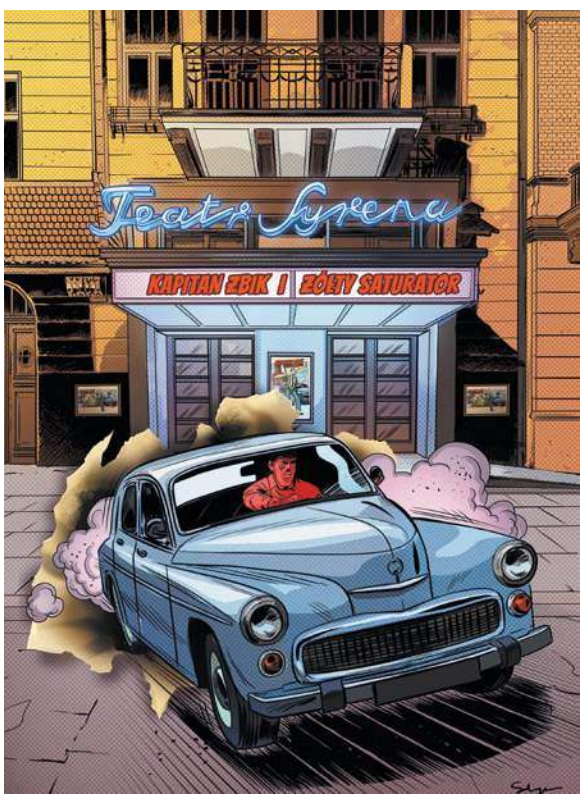
W Warszawie zjawia się szpieg. Planuje akcję dywersyjną, która ma zakłócić obrady zjazdu KC PZPR. Kapitan MO Jan Żbik – działając ramię w ramię (jak na współczesne parytetowe wymagania przystało) z dzielną porucznik Olą – rusza do akcji. Dynamicznej, ale też roztańczonej i rozśpiewanej. Z muzyką sięgającą lat 70. ubiegłego wieku. A wszystko to dzieje się na scenie stołecznego Teatru Syrena, który obchodzi właśnie 75. urodziny.

KOLOR ZESZYTÓW

O bohaterze serii, do której odwołuje się musical „Kapitan Żbik i żółty saturator", reżyser spektaklu i zarazem autor oryginalnego scenariusza Wojciech Kościelniak, mówi: „mocno niejednoznaczny".

Jednocześnie dla kogoś urodzonego w 1965 r., kto ponoć szczególnie ceni sobie tzw. serię bułgarską „Żbików" (malowaną przez Grzegorza Rosińskiego), intrygujące w czasach szkolnych komiksowe historyjki (wydawane od 1968 do 1982 r.), dziś stają się „inspirującym tworzywem scenicznym".

W wywiadzie udzielonym PAP reżyser stwierdza: „W warstwie, nazwijmy to, bardziej metaforycznej musical opowiada o końcu pewnego systemu, ale też o latach 70. XX w. Również o naszym dzieciństwie, które miało różne barwy. Z jednego punktu widzenia mamy sentyment do Żbika, do tego, że niósł ze sobą kolor, był postacią z komiksu, chociaż wtedy nazywano to »zeszytami«. Mimo wszystko był to jakiś minimalny powiew Zachodu. Z drugiej strony był to kapitan Milicji Obywatelskiej, aparatczyk...".



Jest sprawa! Jest afera! Żółty saturator stał się osią kryminalnej zagadki i swoistym wehikułem czasu, za którego sprawą do akcji wraca kapitan Żbik. Superbohater rodem z PRL w Teatrze Syrena musi wypełnić zadanie. Śpiewająco



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Zdaniem dyrektora Teatru Syrena Jacka Mikołajczyka dystans czterech dekad i osadzonych w nich paru pokoleń sprawia, że nadszedł już czas, gdy PRL można potraktować – zwłaszcza w kulturze popularnej – jako „po prostu" ciekawą epokę. W której film, spektakl czy powieść mogą się zwyczajnie rozgrywać. Bez podejścia rozliczeniowego.

„Obserwujemy rozwijanie się popkulturowej nostalgii, która mniej wiąże się z chęcią powrotu do tamtych czasów, a bardziej dotyczy przedmiotów codziennego użytku, kultury popularnej, która wtedy się tworzyła, w której przecież też funkcjonowali ludzie. Z tej nostalgii można już czerpać, wyrażać ją" – uważa szef Syreny.

ZANURZENIE W PRL

Zrealizowanie musicalu o kapitanie Żbiku zaproponował Wojciech Kościelniak, reżyser, który w minionej dekadzie zrealizował w Syrenie spektakle „Hallo Szpicbródka" oraz „Kariera Nikodema Dyzmy". Stworzył w nich muzyczny portret Warszawy lat 20. i 30 ubiegłego wieku, nawiązując do przebojów małego i dużego ekranu przełomu lat 70. i 80.

Jako reżyser i teatrolog, ale też autor monografii „Musical nad Wisłą" (2010), szefujący od

eprasa.pl 0aa079c0ec

trzech lat Syrenie Jacek Mikołajczyk poszukuje również tematów dla oryginalnych polskich musicali. Kwestią czasu – jak mówi – było zaproszenie do współpracy najlepszego specjalisty od tworzenia musicali – od pomysłu, przez przygotowanie tekstu, do wyreżyserowania całości. Zresztą panowie znają się od czasu premiery „Hair" (2010) w Gliwickim Teatrze Muzycznym.

Teraz na internetowej stronie Syreny zawiesili odezwę: „Warszawianki i warszawiacy! Krajanki i krajanie! Weterani stania w kolejkach i ci, którzy wszędzie bez kolejki, entuzjaści rozwiązywania kryminalnych zagadek, a w szczególności... amatorzy wody z sokiem prosto z saturatora. Jest sprawa, jest afera!..."

Tło dynamicznych wydarzeń stanowi rozśpiewana i roztańczona „stolica koszul nonajron i społecznych akcji zbiórek makulatury", czyli Warszawa lat 70. W klimat miasta wprowadza m.in. muzyka Mariusza Obijalskiego, choreografia Eweliny Adamskiej-Porczy oraz okiełznane przez Annę Chadaj kostiumy i scenografia, w której swoje miejsce będą mieć zarówno tytułowy saturator, jak i magnetofon Grundig, samochód Warszawa czy butelka napoju Polo Cockta... W scenicznych realiach widz odnajdzie również znane warszawskie obiekty, oczywiście w wersji sprzed kilku dekad, oraz obrazkowe cytaty z komiksów o kapitanie Żbiku.

KRESKA NA DESKACH

Warto tu zaznaczyć, że dzielny oficer MO zawitał do Syreny nie tylko na fali nostalgii. W światowym musicalu ostatnich lat komiks stał się inspiracją do nowych produkcji, w tym „Spider-Mana", jednego z największych broadwayowskich przedsięwzięć minionych sezonów. Niestety zakończonego stratą finansową i niedosytem wynikającym z niespełnienia pokładanych w nim nadziei, przy jednoczesnym zaangażowaniu ogromnych środków.

Wkroczenie komiksu na Broadway nie powinno zaskakiwać. – Musical od zawsze był związany z kulturą popularną, w trakcie swojej historii zwracał się do różnych źródeł tej kultury – podkreśla Jacek Mikołajczyk. – Jeżeli w latach 50. czy 60. szukał inspiracji głównie w literaturze, to teraz zwraca się w stronę filmu czy komiksu.

Jak te trendy przekładają się na nasze realia? – W polskim teatrze muzycznym przestajemy mieć kompleksy – uważa Mikołajczyk. – Przez 25 lat staraliśmy się dogonić Zachód, pokazać polskiej publiczności wszystko to, co było przebojem na Broadwayu. Nadrabialiśmy zaległości, prezentując „Upiora w operze", „Koty" czy „Miss Saigon". Toczyła się walka o to, by maksymalnie zmniejszyć dystans, zbliżyć się do poziomu wykonawczego i realizacyjnego West Endu i Broadwayu.

Przełom nastąpił w momencie, w którym wykształciła się grupa realizatorów i aktorów specjalizujących się w musicalu, ludzi, którzy nie wstydzą się tego gatunku, znają przedstawienia londyńskie czy nowojorskie i postanowili tworzyć własne artystyczne realizacje właśnie w tym nurcie.

Od tego momentu można było nie tylko przenosić na polskie sceny gotowe spektakle. Nauczeni dynamicznego teatru muzycznego realizatorzy zyskali narzędzia do opracowania własnych pomysłów, poszukania interesujących ich wątków nie tylko w literaturze.

Podobne dzieje się na Broadwayu i West Endzie, gdzie nawiązania literackie zostały zastąpione przez inspiracje filmowe czy popkulturowe.

Jacek Mikołajczyk mówi: – Bardzo pozytywnie zdziwiło nas wręcz entuzjastyczne przyjęcie naszej poprzedniej premiery, musicalu „Next to normal", traktującego o chorobie psychicznej. Nagrodzony Pulitzerem w dziedzinie dramatu i trzema nagrodami Tony spektakl pokazuje, jak przystępnie można przedstawić trudny temat. I mamy tu do czynienia ze spektaklem poruszającym widza. Jednocześnie jest to nadal forma teatralna, która kojarzy się z atrakcyjnie spędzonym muzycznym wieczorem w teatrze.

DWUTOROWO

Zachodzące w polskim musicalu zmiany dobrze obrazuje też artystyczna droga Wojciecha Kościelniaka. Od 1999 r., kiedy w Gdyni po raz pierwszy zmierzył się z „Hair", wyreżyserował muzyczne wersje m.in. „Ziemi obiecanej" Reymonta i „Solaris" Lema (krakowski Teatr Słowackiego), „Operetki" Gombrowicza (warszawski Teatr Dramatyczny), „Cyberiady" Lema (łódzki TS PWSFTviT), „Balu w operze" Tuwima, „Chłopów" Reymonta, „Lalki" Prusa, ale też „Złego" Tyrmanda i „Wiedźmina" według Sapkowskiego (to wszystko w gdyńskim Teatrze Muzycznym).

Poza wyjątkiem, jaki w latach 90. ubiegłego wieku stanowił musical „Metro", poszukiwania inspiracji polscy realizatorzy zaczynali od literackich kanonów. Wędrowali przez nie w stronę współczesności i wspomnianego już „Wiedźmina" czy „Mocka" – ubiegłorocznej premiery wrocławskiego Capitolu. Chociaż temu ostatniemu spektaklowi bliżej do rewii, burleski, w których za pomocą kolejnych muzycznych numerów opowiada się bardziej o świecie bohatera znanego z powieści Marka Krajewskiego i Wrocławiu jego czasów niż o samej postaci i jej działaniach.

Co jeszcze zauważa Jacek Mikołajczyk: polscy realizatorzy spektakli musicalowych mogą już dziś działać dwutorowo. Z jednej strony poszukując własnych tematów, z drugiej sięgając po coraz nowsze tytuły broadwayowskie. Istotne jest wyraźne skrócenie dystansu czasowego – od premiery w Nowym Jorku do tej w Polsce mija góra pięć –sześć lat.

W teatrach widać też zacieranie się granicy między tzw. kulturą wysoką i popularną. Stąd coraz powszechniejsza obecność na scenie np. kryminału lub fantasy.

JUBILEUSZ W KOMIKSIE

Najnowsza premiera wpisuje się w jubileusz 75-lecia Teatru Syrena. Jesienią scena przy Litewskiej też pozostanie w tym klimacie. Wystawi musical z bohaterami komiksu „Kajko i Kokosz". Spektakl adresowany do dzieci, ale utrzymany w stylu Janusza Christy powinien ucieszyć także starszych fanów komiksu. Natomiast na przyszły rok dyrektor Syreny zapowiada „polską prapremierę hitu ostatnich lat, który i na West Endzie, i na Broadwayu był wielką sensacją".

eprasa.pl 0aa079c0ec



Koniec mitu?

Kino mafijne mocno się zmieniło od czasu „Ojca chrzestnego". Włoskie produkcje, takie jak „Gomorra", na zawsze skończyły z romantycznym wizerunkiem eleganckiego mafiosa. Weteran włoskiego kina Marco Bellocchio proponuje nam jednak zupełnie inną opowieść



ŁUKASZ ADAMSKI

Włosi w ostatnich latach przemeblowali kino o swojej mafii. „Gomorra" (zarówno film Mattea Garrone, jak i wybitny serial) czy „Suburra" zerwały z szekspirowsko-romantycznym wymiarem „Ojca chrzestnego" Francisa Forda Coppoli, ale też zaproponowały coś innego niż brutalne przypowieści gangsterskie Martina Scorsesego, który zresztą w ubiegłorocznym „Irlandczyku" zwrócił się w kierunku szekspirowskiej opowieści, dodając do niej swoje katolickie rozważania z pierwszego filmu mafijnego „Ulice nędzy".

Coppola i Scorsese naznaczyli amerykańskie kino mafijne swoim stylem. Chodzi rzecz jasna o kino opowiadające o specyficznym syndykacie zbrodni, który powstał w USA po połączeniu sił włoskich (zarówno związanych z sycylijską cosa nostrą, jak i neapolitańską kamorrą) z gangsterami żydowskimi, działającymi przez lata pod patronatem Meyera Lanskiego, urodzonego notabene na terytorium II RP pod nazwiskiem Suchowlański.

OD DON VITA DO DON TONY'EGO

Oddzielną kategorią gangsterskich opowieści są filmy Briana De Palmy, który mimo włoskich korzeni skupił się na opowiadaniu o gangsterach latynoskich („Człowiek z blizną", „Życie Carlita"), ale jednocześnie dał nam bardzo wyrazisty obraz Ala Capone (Robert De Niro) w „Nietykalnych". To właśnie wybitne i oscarowe role Roberta De Niro i Marlona Brando w „Ojcu chrzestnym" spowodowały, że prawdziwi gangsterzy zaczęli naśladować wykreowane postaci mafiosów w literaturze i kinie. John Gotti, don z nowojorskiej rodziny Gambino (1940–2002), był pierwszym gangsterem celebrytą, który sposobem zachowania naśladował Don Vita Corleone. A przecież w czasie premiery książki Maria Puzo (1969) mafiosi grozili autorowi zemstą za ujawnienie sekretów sycylijskich „ludzi honoru". Nie jest zaskoczeniem, że amerykańscy raperzy wzięli na sztandar Tony'ego Montanę z „Człowieka z blizną". Mit obwieszonego złotem ulicznego gangusa jest żywy u prostych chłopaków z sąsiedztwa, którzy wyrymowali sobie miejsce na komercyjnym szczycie wprost z getta jak Compton.

Jednak utożsamianie się realnych gangsterów z rodziną Corleone czy Tommym z „Chłopców z ferajny", którzy powinni dbać o dyskrecję (cosa nostra oznacza przecież „naszą sprawę"), było dowodem, że wizerunek mafii nabrał niebezpiecznie romantycznego wymiaru. Wizerunek nienagannie ubranego, zajadającego włoskie specjały, gotowane najlepiej przez włoską mamę (Scorsese obsadzał w tej roli własną matkę Catherinę) gangstera zaczął się zmieniać w latach 90. Al Pacino stworzył zupełnie różną od Michaela Corleone rolę w filmie „Donnie Brasco" Mike'a Newella, gdzie za-

eprasa.pl 0aa079c0ec

grał prawdziwą postać przegranego życiowo, zakompleksionego cyngla rodziny Bonnano Benjamina „Lefty" Ruggiera. Grający gangsterów u Coppoli, De Palmy i Scorsesego Robert De Niro w wyreżyserowanym przez siebie „Prawie Bronxu" zagrał prostego ojca robotnika walczącego o duszę syna ze stereotypowym mafiosem o twarzy Chazza Palminteriego.

Wizerunek gangstera zmienił się totalnie wraz z serialem „Rodzina Soprano" (1999–2007), w którym pokazano zwykłe życie domowe bandziorów z New Jersey. Zestawienie życiowej rutyny (szkolne problemy dzieci, choroby, rozterki w małżeństwach) z socjopatycznymi charakterami głównych bohaterów zerwało mitologiczną maskę stworzoną przez Coppolę. Ba, obsadzenie w głównej roli otyłego, chodzącego w skórach i koszulach zamiast garniturów Jamesa Gandolfiniego uderzało w elegancję klanu Corleone oraz nienaganne garniaki Sama Rothsteina z „Kasyna" czy sznyt Bugsy'ego Siegela z „Bugsy". Maski z twarzy gangsterów zerwali też twórcy włoskiego serialu „Gomorra". Zamiast „ludzi honoru", niezabijających kobiet ani dzieci, zobaczyliśmy tam bandę prostaków obwieszonych złotem, nie tylko wykorzystujących dzieci do handlu narkotykami w betonowej dżungli neapolitańskiej dzielnicy La Scampia, lecz również psycholi strzelających do własnych braci, matek i ojców.

W podobną stronę poszli też twórcy emitowanego teraz na HBO serialu „Zero zero zero", opartego, jak „Gomorra", na książce Roberta Saviano. Najbardziej charakterystycznym wątkiem serialu jest obraz jednego z donów klanu kalabryjskiej N'dranghetty ukrywającego się przez kilkanaście lat w podziemnym bunkrze w kalabryjskich górach. Mimo naszpikowania elektroniką jego kryjówka wygląda jak szczurza nora. Właśnie w takich miejscach chronili się bossowie sycylijskiej cosa nostry, tacy jak Toto Riina z klanu z Corleone i Bernando Provenzano, ukrywający się 43 lata (sic!) w gospodarstwie rolnym. Postać z „Zero..." wygląda właśnie jak ci dwaj bossowie. Przypomina raczej wiejskiego pastucha niż eleganckiego Don Vita.

PIERWSZY „SKRUSZONY"

Wchodzący na nasze ekrany film „Zdrajca" idzie w poprzek wizerunkowi gangstera zarówno z „Ojca chrzestnego" jak i „Gomorry". To zaskakujące, że wziął się do takiego filmu weteran włoskiego kina. 79-letni maestro Marco Bellocchio nakręcił niemal paradokumentalną, ale pełną błysku i werwy, opowieść o przełomowym i jednym z najważniejszych epizodów w najnowszej historii Italii. „Zdrajca" opowiada o pierwszych pentiti (skruszonych), którzy w latach 80. XX w. pogrążyli na lata sycylijską cosa nostrę.

Zeznania „skruszonego" Tommasa Buscetty (nie tylko doprowadziły za kratki brutalnego capo di tutti capi z Corleone Toto Riinę, lecz obnażyły system rządzący Italią. Buscetta (zmarł w 2000 r. w Nowym Jorku) zeznawał też w jednym z procesów wszechmocnego włoskiego premiera – „boskiego" Giulia Andreottiego. Megaproces rozpoczęty przez zeznania Buscetty doprowadził ostatecznie do skazania 362 gangsterów z cosa nostry oraz ośmielił zwykłych ludzi do sprzeciwienia się mafii. Nagle w obiektywie kamer zobaczono, jak żałośni potrafią być wszechmocni i zmitologizowani donowie.

Bellocchio ostro uderza w wizerunek włoskiego mafiosa z lat 70. i 80., który ugruntowało hollywoodzkie kino. Choć Buscetta (bezbłędna rola Pierfrancesca Favino) lubił drogie garnitury i biżuterię, to wielu sycylijskich bossów trudno byłoby odróżnić od prostych farmerów. Szokująco brutalny i psychopatyczny Toto Riina nie różnił się przecież wyglądem od ubogiego sprzedawcy oliwy z sycylijskich gór. Siedzący w klatkach podczas procesu gangsterzy porażali swoją pospolitością i ulicznym cwaniactwem, niemającymi absolutnie nic wspólnego z charyzmą i dumą Don Vita Corleone. Buscetta usprawiedliwiał zdradę tym, że cosa nostra, czyli „nasza sprawa", przestała być jego sprawą, gdy bossowie zajęli się handlem heroiną. Tyle że sam chyba wziął ten cytat z „Ojca chrzestnego", gdzie Don Vito peroruje o szkodliwości handlu narkotykami.

To, że włoscy mafiosi mordują kobiety i dzieci, a cała ich romantyczna mitologia nie jest warta funta kłaków, zobaczyliśmy już w „Gommorze", ale też netflixowej „Suburze", opowiadającej o rzymskim świecie przestępczym. „Zdrajca", tak jak te dwa seriale, głęboko dotyka włoskiej duszy. Znawczyni tamtejszego kina Diana Dąbrowska zwraca uwagę, że Bellocchio „ukazuje mafię w dychotomicznym ujęciu: jako fenomen równocześnie pociągający i odstraszający, pełen przemocy i erotyzmu; twór niejednoznaczny, którego nie da się łatwo wydestylować z tkanki włoskiego społeczeństwa". Potężną siłą „Zdrajcy" jest rozszerzenie opowieści o sycylijskiej mafii na płaszczyznę socjologiczną i społeczną.

Wojna między klanem z Corleone a bossami z Palermo miała wyjątkowo krwawy wymiar, co widzimy w „numerowaniu" trupów w otwarciu filmu. Własnoręczne duszenie dzieci przyjaciół, rozstrzeliwanie niewinnych krewnych „skruszonego" na ulicach i potępienie łamaczy omerty przez zwykłych Sycylijczyków to wszystko zostaje zmieszane z typową commedią all'italiana. Pierwszy proces sądowy, na którym zeznawał Buscetta, był operetkowy. Gangsterzy robili spektakl i szopkę, teatralnie krzycząc, gestykulując niby we włoskiej komedii i symulując jak na boisku podczas meczów Squadra Azzurra. Te sceny są przezabawne, a przecież nie zostały wymyślone ani podkręcone przez Bellocchia, co łatwo sprawdzić w licznych dokumentalnych filmach o tym przełomowym dla Italii procesie.

„Zdrajca" jest więc nie tylko opowieścią o gangsterze, który łamie świętą dla cosa nostry zasadę i zamienia życie króla na egzystencje przeciętnego imigranta w USA. Ten film to przede wszystkim spojrzenie na specyfikę włoskiego systemu, który w dużej mierze jest dziś kontrolowany nie tylko przez sycylijską cosa nostrę, ale też kamorrę, 'Ndràngheta i Sacrę Coronę Unitę. Bellocchio pomaga zrozumieć, dlaczego akurat Italia tak mocno się z tymi organizacjami zrosła. Wpisuje się też w konieczne zerwanie z mitologicznym wizerunkiem gangstera. Czy to możliwe, nie wiem. Ale to największa siła jego znakomitego filmu.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Plusiki



Przemysław Skrzydelski

Nie twierdzę, że Paweł Świątek zupełnie nie czuje konwencji i nastrojów z „Balladyny", ale upieram się, że robi jedynie teatr łatwy i przyjemny. O którym zapomina się następnego dnia.

Na początek pochwała za odwagę. Paweł Świątek zdecydował się wystawić dramat romantyczny mieszczący się w konwencji, na którą dziś trudno znaleźć sceniczny sposób. „Balladyna" Słowackiego otwiera pole do dyskusji politycznej – i zdaje się, że przed samą premierą Świątek także mówił o swoim spektaklu jako widowisku o paradoksie władzy, na której szczyt najczęściej wspinają się niekoniecznie ci najszlachetniejsi – w tym sensie jest atrakcyjna tak jak „Kordian", ale o wiele konkretniej jako tekst domaga się też odpowiedzi na pytania, po co w naszym specyficznym romantyzmie folklor, pradzieje czy oniryczna baśniowość. „Balladyna" to pułapka na reżysera.

Paweł Świątek w tę pułapkę wpadł, choć trzeba przyznać, że nie dał się w niej do końca uwięzić i próbuje wykonywać przynajmniej pozorowane ruchy. „Balladyna" stała się w jego przedstawieniu opowieścią o szaleństwie tożsamości powołanych przez Słowackiego, taką zabawą, która miałaby udowodnić, że romantyzm w tej odsłonie to przytyczek w nos czytelnika i w rezultacie widza, który nierzadko oczekuje czegoś więcej, a chodzi o śmiech i przymrużenie oka. Do pewnego stopnia Świątek ma rację. Jest jednak w tym dramacie cały pozostały bagaż do udźwignięcia. Nie chodzi tylko o karnawałowy zgryw, w którym zasada qui pro quo ma uzasadnić niemal wszystko. Domieszka popkultury i nawiązania do klimatów queerowych dość szybko poza tym nużą. A przecież wraz ze scenografem i z autorem światła oraz kostiumów Marcinem Chlandą temat władzy i okrucieństwa udało się jakoś pokazać, bo amfiteatralne półkole, w którym grają aktorzy, przywołuje skojarzenia z antykiem i jego wymaganiami. Co więcej, tak zaplanowana przestrzeń powoduje, że spektakl krakowskiego Teatru Słowackiego jest spójny, klarowny i odnajduje tempo bez większych potknięć.

Dlatego młodzież ma prawo z tej historii wziąć coś dla siebie. Gdyby jeszcze tak świetna aktorka jak Katarzyna Zawiślak-Dolny jako tytułowa femme fatale dostała od reżysera szansę na poważniejsze zadanie, radowałbym się czymś więcej niż tylko takimi plusikami. Ale ostatnio najczęściej tylko one zostają na pociechę.



Juliusz Słowacki
„Balladyna"
reż. Paweł Świątek
Teatr im. Juliusza Słowackiego (scena MOS)
premiera: 7 lutego 2020 r.

Z czułością



Adam Ciesielski

Blask muzyki Krzysztofa Komedy nie blaknie, choć od śmierci jazzmana i kompozytora mija 51 lat. Rewelacyjnie świeżą wizję tej twórczości przynosi najnowszy album kwintetu Wojciecha Mazolewskiego.

Po Komedę sięgają w Polsce wszyscy – od debiutantów po artystów z uznanym dorobkiem. Wybór Mazolewskiego, wszak znaczącej postaci yassowej rewolty z Wybrzeża, kreatora niejednej muzycznej prowokacji, zdawał się wróżyć ironiczne, może nawet obrazoburcze spojrzenie. Nic z tych rzeczy. Pełna pietyzmu praca nad albumem trwała trzy lata. Pomysłodawca dotarł nie tylko do nut Krzysztofa Komedy-Trzcińskiego i książek o nim, do miejsc, gdzie mieszkał i występował, ale też do jego przyjaciół. Jeden z nich, niezapomniany grafik Rosław Szaybo, zaprojektował okładkę płyty, bodaj ostatnią w swej imponującej, międzynarodowej karierze.

Piątka wybornych instrumentalistów (grającemu na kontrabasie liderowi partnerują: pianistka Joanna Duda, saksofonista Marek Pospieszalski, perkusista Qba Janicki i słowacki trębacz Oskar Török) odczytała repertuar przez pryzmat własnej, na wskroś współczesnej wrażliwości. Jednak nie ukrywała fascynacji. W rezultacie możemy podziwiać eksplodujące energią, nowatorskie, ale wciąż bliskie magii oryginalnych klimatów ujęcia legendarnych tematów. Takich jak „Astigmatic", „Crazy girl", „Ballad for Bernt", melodii z filmów – m.in. „Gdy spadają anioły", „Dwaj ludzie z szafą", „Bariera", „Start". Nawet w tak ograjej, zdawałoby się, kołysance jak „Sleep safe and warm" z „Dziecka Rosemary" Polańskiego odkrywamy nieznane wcześniej, intrygujące akcenty. Bogactwo pomysłów aranżacyjnych, polot wykonania czynią z tego krążka najważniejsze od lat wydarzenie w kręgu inspiracji Komedowskich.



„When Angels Fall"
Wojtek Mazolewski Quintet
wyd. WMQ Records/Agora

Reklama | 72/0120/F

eprasa.pl 0aa079c0ec

1% Wierzymy, że warto pomagać

indywidualnie, **rodzinnie**, **zawsze**

JEDENPROCENT.CARITAS.PL



Przekaż 1% podatku dla Caritas Polska

WPISZ W FORMULARZU PIT NUMER **KRS 0000198645**

Wyjazdy wakacyjne dla dzieci, opieka nad osobami starszymi i samotnymi, świetlice socjoterapeutyczne, noclegownie, punkty żywieniowe, ośrodki rehabilitacyjne czy domy opieki to tylko część działań, które prowadzimy na co dzień.

Więcej informacji, rezultaty działań, formularze w wersji on-line i do pobrania znajdują się na stronie: **jedenprocent.caritas.pl**

caritas

eprasa.pl 0aa07[illegible]c0ec



Wojciech Stanisławski

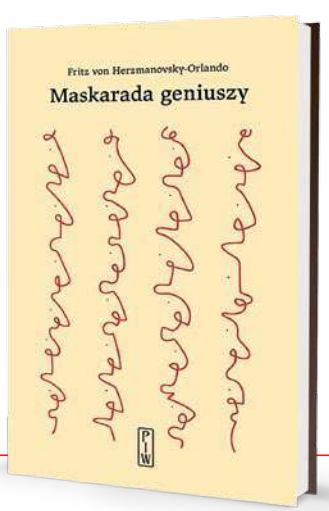
Fajerwerk na końcu pióra

„Maskarada geniuszy”, bardziej niż dla Austro-Węgier, którym zawdzięcza tło, onomastykę i część kostiumów, jest hołdem dla baroku

W dawnym dobrym wieku XIX fenomen obfitości wyrastającej z drobiny ukazywano gawiedzi, pokazując na jarmarkach „węże faraona”, czyli puchnącą po podpaleniu mieszankę cukru i sody, albo rzucając do misy z wodą rozwijające się tam kwiaty z japońskiej bibułki; kaznodzieje wytrwale przypominali o wielkim drzewie wyrastającym z ziarna gorczycy. W XX w. doszła do tego błyskotliwa, choć niełatwa do zilustrowania, historyjka o Big Bangu. Ale i tak nie ma lepszego sposobu na przykład creatio ex nihilo niż powieść, która wyrasta z czystego zmyślenia, z esów-floresów, które (jak na świetnej okładce autorstwa Łukasza Piskorka) pętlą się w profile, panoramy i parodie.

„Maskarada geniuszy” Fritza von Herzmanovsky’ego jest właśnie tym: zarazem owocem i przykładem puchnięcia i rozrastania się do nieprawdopodobnych rozmiarów każdego skojarzenia, konceptu, figla, który przyszedł do głowy potomkowi starego rodu i starej Austrii, w luksusowych warunkach (i nie całkiem niewinnych okolicznościach politycznych) leczącemu łagodną gruźlicę w międzywojennym Meranie. „Maskarada” puchnie i kipi niczym łopuchy w Schulzowym „Sierpniu”, a pisarz, niczym Pomona, mnoży i nadaje nazwy i imiona, w których słychać tuzin języków austriacko-słowiańsko-weneckiego Międzymorza, ale i dalsze jeszcze echa: ilirskie, greckie i tureckie. Główny bohater, Cyriak von Pizzicolli, spotka przecież w swojej wędrówce nie tylko Florestana von Pyperitza, Quarrengrüllera czy Boguslava von Hahna, ale i Chrysostomusa, Dejanirę Bayazanti, archimandrytę Theofilaktosa Galawadschi... Kogóż nie spotkał zresztą podczas peregrynacji, odbywanej już to pociągiem, już to konno (wiek XVII splata się tu co chwila z XIX, dworskie maniery zderzają z biurokratycznym żargonem), prowadzącej go z Bischofflacku w stronę Cytery!

Streszczanie tej groteski ma tyleż sensu, co sporządzanie odlewu strug fontanny. Tą powieścią nie rządzą żadne prawidła, w gruncie rzeczy wystarczy otworzyć ją na dowolnej stronie i posmakować frazy: „Jak najbardziej,



Fritz von Herzmanovsky-Orlando, „Maskarada geniuszy”, tłum. Ryszard Wojnakowski, PIW, 2019

gdyż rodzina mojej narzeczonej posiada zamek niedaleko tej rezydencji, w Zdravščinie. To młodzieńcze dzieło Hardouina-Mansarta, który, jak wiadomo, już jako kelner okrętowy pozwalał się domyślać talentów architektonicznych, objawianych przy składaniu serwetek”.

Warto natomiast pójść za Piotrem Pazińskim, który w świetnym posłowiu odsłania rodowód intelektualny Herzmanovsky’ego i kolejne warstwy jego prozy, wskazując nie tylko na jednoznaczne pokrewieństwa z dorobkiem innych naznaczonych przez Wiedeń wychowanków i pogrobowców Austro-Węgier, czasem nostalgicznych, czasem oskarżycielskich, od Musila po Meyrinka. Wskazuje również kolejne konwencje literackie, do których odwoływał się autor, na niepokojącą atmosferę ni to snu, ni seansu spirytystycznego, ni to początku psychozy, gdzie w półmroku kryją się postacie z talii kart, pospolite słowa nabierają nieoczekiwanego sensu i powracają maniakalnym echem. Wskazuje wreszcie Paziński na źródło (chciałoby się powiedzieć „praźródło”) tej kipieli: na barok.

I rzeczywiście, „Maskarada geniuszy”, bardziej niż dla Austro-Węgier, którym zawdzięcza tło, onomastykę i część kostiumów, jest hołdem dla baroku, rozwinięciem wszystkich jego paradoksów, uniesień i obsesji za pomocą modernistycznej prozy. Jak Gaudi (z różnym skutkiem) starał się przenieść gotyk w czasy żelazobetonu, tak Herzmanovsky sięga

eprasa.pl 0aa079c0ec

po barokową fascynację światłocieniem, mnogością, przemianą – i odnawia ją, nie piórem pisząc, lecz tłukąc w klawisze. Ale jego bohaterów rodem z maskarad i ogrodów, wszystkich tych pantalonów, guenonów, laufrów, skizów, waletów, rozpoznajemy natychmiast. W tym i ją: młodą damę w kaftaniku z białego atłasu haftowanego srebrem, w złotym hełmie z czubem z białych strusich piór (to niewiele tylko gorsze zestawienie kolorów niż biały płaszcz z podbiciem koloru krwawnika...), która „w lewej ręce trzymała oplecioną różami, płonącą szmaragdowozielonym ogniem pochodnię". I za światłem takiej pochodni gotowi jesteśmy bez wahania ruszyć w głąb tej powieści.

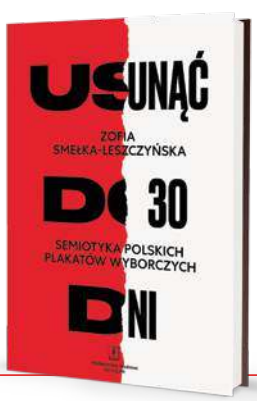
Kropla purpury, tuzin gwiazdek

Facebookową stronę „Archiwum polskiego plakatu politycznego" polubiło 7 tys. osób i wyobrażam sobie, jak każda z nich (ja też) rozjaśniała się na widok kolejnych postów: jak nie PSL, to AWS, jak nie SLD, to Samoobrona. „Archiwum" stało się niezrównaną galerią przyciasnych garsonek, cepeliowych kierpców i kłobucków (regionalizm!), lawendowych marynarek oraz krawatów, stetoskopów (lekarz zawsze dobrze wygląda na plakacie) i broszek. A miny! A liternictwo: od postsolidarycy, przez letraset, po pudowe kapitaliki! A kolory, jednocześnie (co za fenomen!) jaskrawe i wyblakłe: gęste zielenie peeselu, karmin i złoto ugrupowań narodowych, błękit i czerń UPR, pomidorowoczerwone wzdęte sztandary socjaldemokratów. Plerezy, łysiny, warkocze, a do tego trzy wykrzykniki.

Nawet gdyby prześlepić numery list, akronimy stronnictw i cudowny zgiełk retoryk, ta strona – jedna z wielu przecież, poświęconych artefaktom 30-lecia III RP – w wyjątkowy sposób ukazuje urok tego, co wszyscy już chyba, za Olgą Drendą, nazywamy „duchologią" (a niektórzy, za Iwoną Kurz, również hipsterrealizmem): nostalgicznego, choć zarazem lekko ironicznego smakowania klimatów kultury masowej i materialnej lat 80. i 90. To pochylanie się nad przedmiotami i modami, które są zbyt niedawne, żeby ucukrowały się do poziomu pamiątki rodzinnej, obiektu muzealnego czy łupu antykwarycznego, a jednocześnie jednoznacznie już niedzisiejsze, ma zresztą szczególny sens właśnie w przypadku plakatu politycznego: obiektu bardziej podatnego na zniszczenie i lekceważonego niż choćby (również kultowe dla duchologów) kasety VHS, pierwsze telefony komórkowe czy ostatnie walkmany, a jednocześnie potencjalnie cennego, zawierającego ważne treści polityczne czy (znacznie rzadziej) artystyczne.

O tej ambiwalencji plakatu – eleganckiego, ale zarazem partyzanckiego, banalnego lub błyskotliwego, wszechobecnego, ale lekceważonego, w ostatecznym rachunku: ważnego, ale i nieważnego traktuje zresztą jeden z najciekawszych rozdziałów pracy Zofii Smełki-Leszczyńskiej. Internetowe „Archiwum plakatu..." (cenne również społecznie wobec szczątkowej obecności plakatów politycznych III RP w zbiorach bibliotecznych i muzealnych!) okazało się bowiem rozszerzeniem projektu solennej pracy doktorskiej, poświęconej kodom znaczeniowym obecnym w tych plakatach i ich roli komunikacyjnej.

Ech, semiotycy! Znamy te dzieci (i wnuki) Barthesa: gdy zabiorą się solidnie do pracy ze swym ostrym jak lancet ołówkiem, każdy wiersz będzie wyglądał jak salamandra objedzona przez mrówki, każdy kwiat jak blaszany model jaskra z noweli Parandowskiego, rozbierany w galicyjskim gimnazjum na płatki i pręciki. Tak i tu: autorka z akademickim chłodem (choć czytając jej pracę nie tyle semiologicznie, ile po prostu uważnie, nietrudno domyślić się jej antypatii politycznych) rozbiera na czynniki pierwsze kilka generacji plakatów powstałych w 1989 r. i potem, analizując ich osadzenie w różnych horyzontach czasowych, rolę, gradację i wartościowanie emblematów polskości (jak zawsze, ptak i dwa kolory; ani „sprężyna", ani „latawiec" się nie przyjęły) oraz wizerunki płci i zakodowane w zdjęciach przekonania autorów i bohaterów kampanii o obowiązujących rolach społecznych. Nie szczędzi nam przy tym – jak to zwykle z doktorantami bywa – niczego ze swej naprawdę rozległej wiedzy: mamy więc operacjonalizowanie, semiozę i negocjacje roli, dowiemy się również, kto dotąd przeoczył był ten doniosły fakt, że „według Freuda i Lacana o kondycji kobiety przesądza świadomość nieposiadania penisa".



Zofia Smełka-Leszczyńska, „Usunąć do 30 dni. Semiotyka polskich plakatów wyborczych", Wydawnictwo Scholar, 2020

Z tym wszystkim „Usunąć do 30 dni..." jest świetną monografią, traktującą o polskim plakacie politycznym z wielu perspektyw. Semiotycy, czasem nużący ze swoją terminologią i powagą, potrafią zarazem dostrzec dziesiątki nieoczywistych praktyk i szczegółów, a przede wszystkim uświadamiają wszystkim mocno, jak pozorna, wręcz fałszywa jest niewinność wizerunków publicznych. Piarowcy, jak alchemicy za dwa grosze, ważą i dodają na zapleczu a to kroplę patriotycznej purpury, a to tuzin gwiazdek. Warto o tym pamiętać – i przynajmniej przekartkować uważnie tę książkę.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Adamski





Coś więcej niż „Bękarty wojny”

„Hunters” jest sygnowany nazwiskiem Jordana Peele’a, reżysera nagrodzonego Oscarem za „Uciekaj!”. Gdyby on wyreżyserował ten serial, dostalibyśmy pewnie perełkę. Jednak zbyt wiele jest tutaj logicznych dziur i kuriozalnych rozwiązań fabularnych, by tak ochrzcić serial Amazona. A jednak intryguje i bywa momentami znakomity. Do tego lśni w nim przeżywający drugą filmową młodość Al Pacino, który po kapitalnym epizodzie w „Pewnego razu w Hollywood” i wyrazistej roli w „Irlandczyku” dorzuca kolejną krwistą kreację aktorską.

Nowy Jork. Lato 1977 r. Meyer Offerman (Al Pacino) to ocalały z Holokaustu, bajecznie bogaty Żyd, który założył grupę zajmującą się tropieniem i likwidowaniem nazistów mieszkających w USA. Jedną z członkiń grupy jest Ruth (Jeannie Berlin). Wpada na trop nazisty z Auschwitz, który teraz prowadzi sklep z zabawkami na górnym Manhattanie. Zostaje zamordowana na oczach ukochanego wnuczka Jonaha (Logan Lerman). Chłopak nie jest świadomy, czym zajmuje się jego babcia. Wie tylko, że przetrwała obóz koncentracyjny. Jonah jest mocno wewnętrznie poobijany. Spędza czas na ulicy, handlując narkotykami i obijając się z kumplami na Coney Island, choć jest wybitnie inteligentny i powinien zaczynać studia na Harvardzie. Prywatne śledztwo prowadzi go wprost do Offermana. Ten jawi mu się jako wcielenie Bruce’a Wayne’a albo Profesora X. Czy w takim razie on ma się stać jego Robinem?

Chłopak wchodzi do świata, o istnieniu którego nie czytał nawet w swoich ukochanych komiksach. Na domiar złego po piętach zaczyna im deptać agentka FBI (Jerrika Hinton).

Zaczyna się ta opowieść jak kino o superbohaterach, przeplecione klimatem „Bękartów wojny” Quentina Tarantino. Wymyślne sposoby zabijania starych nazistów, złowieszczy klimat słynnego nowojorskiego lata, gdzie po ulicach obok disco Bee Geesów szalał seryjny morderca Syn Sama, nadają serialowi stylistycznego sznytu. Dodajmy do tego żonglerkę motywami z Batmana i lewicowo-moralizatorskie skecze rodem z kina Adama McKaya („Big Short”, „Vice”) i mamy kolejną postmodernistyczną wariację z Holokaustem w tle.

„Hunters” jest czymś znacznie więcej, choć oczywiście nawiązuje do „Chłopców z Brazylii” Franklina J. Schaffnera z 1978 r. i innych filmów z przerysowanymi naziolami, pragnącymi odbudować hitlerowskie imperium na jankeskiej ziemi. I tutaj okazuje się, że istnieje w USA spisek nazistów chcących zbudować IV Rzeszę. Jak? Bardzo pomysłowo, czego zdradzać nie będę.

Na Holokaust patrzymy przez popkulturowe okulary (Niemcy w Auschwitz bawią się np. w krwawe szachy, gdzie żywymi figurami są Żydzi z obozów), samosądy na nazistach wzbudzają zaś raczej entuzjazm widza. Oczywiście jest zachowany parytet rasowy i w grupie mścicieli mamy Azjatę, Afroamerykankę i niewzbudzającą zaufania (jakże by inaczej!) brytyjską zakonnicę, w usta amerykańskich nazistów wkładane zaś jest wyrażenie „America first”. Do tego dochodzi potępienie amerykańskiego rasizmu, który rzekomo miał ułatwić rządowi USA zagarnięcia do siebie nazistowskich naukowców, pomagających potem m.in. w programach NASA oraz w walce z Sowietami. Bałamutne to miejscami i infantylne, ale chyba wszyscy przyzwyczailiśmy się do zaklęć politycznej poprawności.

Niemniej jednak ten serial mocno intryguje. W tle fikcyjnej historii żydowskich mścicieli z Nowego Jorku pojawiają się takie historyczne postacie, jak prezydent Jimmy Carter czy Szymon Wiesenthal, oraz awaria prądu z 13 lipca 1977 r. w Nowym Jorku, co nadaje szalonej opowieści historycznego wymiaru.

Dostajemy też piękny i chwytający za serce wątek miłości małżeńskiej ocalałych z Zagłady (świetne role Saula Rubinka i Carol Kane) oraz dotykamy rozważań o zemście w kontekście nauk płynących z Tory i czym powinno być odkupienie. To właśnie wznosi produkcję ponad tarantinowskie „Bękarty wojny”. Tutaj wendeta i przykazanie o wydłubaniu oka za oko są potraktowane poważnie i dojrzale. Nierówna jest to produkcja i irytująca rozdarciem między popkulturową lekkością a poważnym kinem holokaustowym. Jednak obejrzałem dziesięć odcinków jednym tchem i zasiądę do drugiego sezonu, który prawdopodobnie się pojawi. Wszystko wskazuje, że będzie jeszcze bardziej szokujący.

„HUNTERS” DOSTĘPNY NA AMAZON PRIME

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

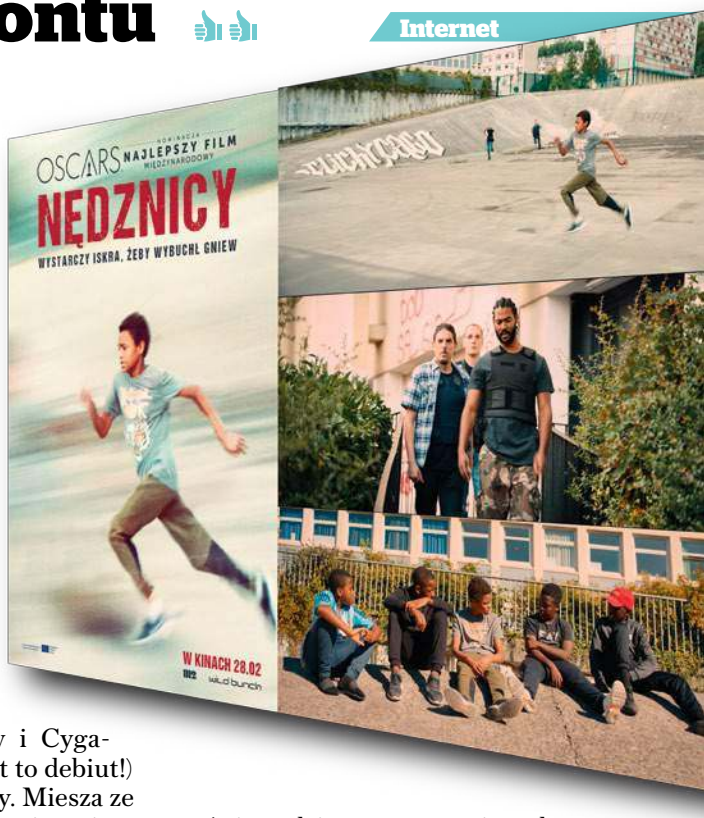
eprasa.pl 0aa079c0ec

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Relacja z frontu

Internet



„Pamiętajcie, przyjaciele. Nie ma ani złych roślin, ani złych ludzi. Są tylko źli ogrodnicy" – to zdanie z „Nędzników" Victora Hugo jest mottem filmu Ladj Ly, który nie przez przypadek zaczerpnął tytuł z klasyki. Hugo osadził część swojej książki w dzielnicy Montfermeil, którą teraz zamieszkują imigranci. Jest to dzielnica rządząca się swoimi prawami. To betonowa dżungla, którą reżyser doskonale zna. Sam jest synem imigrantów z Mali.

Jest to kino paradokumentalne, ale jednocześnie ideologicznie wyraziste. Zaczyna się od pamiętnej radości Francuzów 12 lipca 1998 r., gdy piłkarze tego kraju zdobyli mistrzostwo świata. Triumf połączył wszystkich. Bez względu na kolor skóry, wiarę i status społeczny. Fajerwerki radości prędko zamieniły się w fajerwerki nienawiści. Płonące samochody, przemoc i rosnący podział w społeczeństwie – to rzeczywistość dzisiejszej Francji. Nie jest ten film opisem przerażonego uległością własnej ojczyzny liberała Houellebecqa. Jest to opis płynący z drugiej strony.

Nominowany w tym roku do Oscara film „Nędznicy" mówi nam, że to nie imigracja ani brak chęci asymilacji są problemem. Zdaniem Ly problemem jest system, uosobiony w tym filmie przez brutalną policję. Jest to najsłabszy element tej historii. Kilkanaście godzin z życia trójki policjantów, gdzie jeden jest naiwnym idealistą wchodzącym na ulice nędzy Montfermeil, a drugi to skorumpowany brutal, przypominają „Dzień próby" z oscarową rolą Denzela Washingtona. Ten schemat opowieści jest dosyć wyświechtany i trudno z niego coś nowego wyciągnąć.

Natomiast już obraz paryskiej Montfermeil jest na tyle mocny, że warto go zobaczyć. Ly bierze nas w sam środek betonowej dżungli podzielonej między gangsterów, lokalnych kacyków, muzułmanów i Cyganów. Młody reżyser (jest to debiut!) dobrze czuje klimat ulicy. Miesza ze sobą paradokument ze spojrzeniem na zepsuty świat oczami dziecka (jego synek gra jedną z ról). Niuansuje również nastawienie policjantów, których dramatyczne wybory naznaczają akcję filmu. My widzimy problemy Francuzów tylko w przekazie programów informacyjnych, gdy oglądamy płonące w sylwestra samochody i protesty żółtych kamizelek. Ly wprowadza nas w świat, gdzie te protesty się rodzą. Daje nam wyrazistą ideologicznie odpowiedź. Moim zdaniem zbyt powierzchowną i jednostronną. Warto jednak ją poznać. To relacja z frontu podana przez uczestnika wojny. Wojny, która może Francję zaprowadzić na skraj upadku.

„NĘDZNICY", REŻ. LANDJ LY, DYSTR. M2FILM

Wrócili!

DVD



„Jay i Cichy Bob powracają" jest powrotem Kevina Smitha do stworzonych ćwierć wieku temu w kultowych „Sprzedawcach" postaci obiboków spod sklepu Quick Store w New Jersey, gdzie Smith przez lata pracował. Tym razem dostajemy opowieść dojrzałego faceta po zawale serca i zrzuceniu ogromnej nadwagi, który po nieudanych horrorach „Kieł" i „Yoga Hosers" wraca do swoich ulubionych klimatów. Podkreślam jednak, że jest to film dla fanów Smitha, którzy zrozumieją, dlaczego do swoich ról z „W pogoni za Amy" (mój ulubiony jego film) wracają w epizodach Ben Affleck i Jason Lee, Matt Damon nawiązuje do „Dogmy", a niewidziany w kinie przez walkę z rakiem Val Kilmer przebiera się w kostium superherosa. Smith dojrzał i opowiada nam o ojcostwie (bez żenady z jego „Jersey Girl") oraz rozczarowaniu Hollywood. Na szczęście nie wyrósł z miłości do komiksowej popkultury i „Star Wars". Uroczo wyśmiewa modę na wszystkie hollywoodzkie remaki, prequle i rebooty, robiąc nową wersję „Jay i Cichy Bob kontratakują" z 2001 r. Pokręcone? Pisałem przecież, że to film wyłącznie dla oddanych fanów, jak autor tej rubryki.

FILM DOSTĘPNY NA DVD I VOD

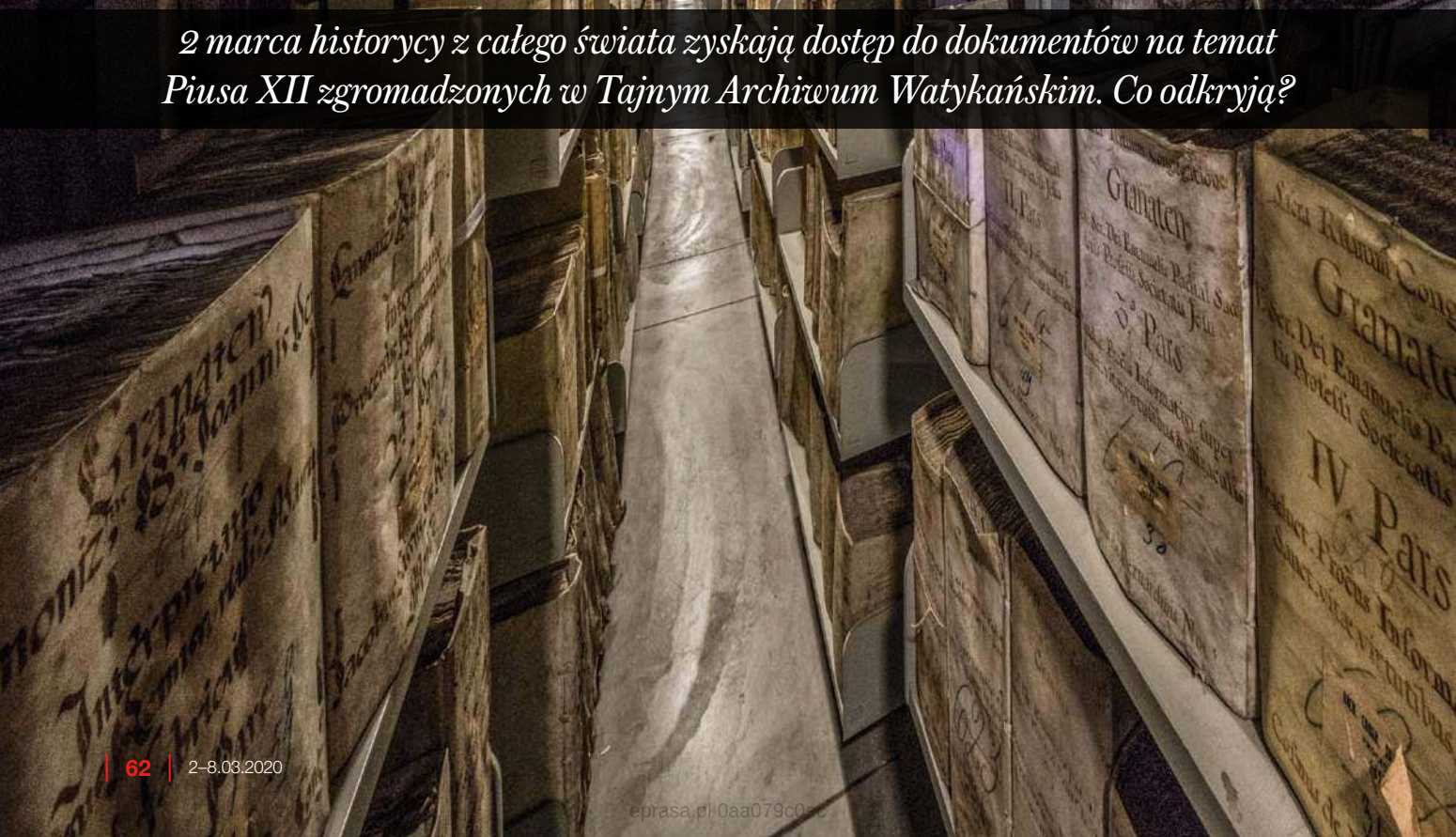
Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 0aa079c0ec



Milczenie Piusa XII i Holokaust Żydów

2 marca historycy z całego świata zyskają dostęp do dokumentów na temat Piusa XII zgromadzonych w Tajnym Archiwum Watykańskim. Co odkryją?



eprasa.pl 0aa079c0



GRZEGORZ GÓRNY

Razem z Januszem Rosikoniem byliśmy drugą ekipą reporterską w historii, której pozwolono wejść do Tajnego Archiwum Watykańskiego (TAW), by zbierać tam dokumentację faktograficzną i fotograficzną. Naukowcy mają dostęp do zgromadzonych tam zbiorów od 1881 r., jest on jednak ograniczony. Udostępnia im się do wglądu dokumenty w czytelni, ale nie mogą kopiować ani fotografować tych materiałów. My nie mieliśmy z tym problemu. Mogliśmy też zwiedzać pomieszczenia niedostępne dla gości z zewnątrz, np. Pokój Zodiaku w Wieży Wiatrów, gdzie mieściło się niegdyś obserwatorium astronomiczne, w którym watykańscy uczeni stworzyli obowiązujący do dziś na całym świecie kalendarz gregoriański.

Efektem naszych prac okazała się książka „Tajne Archiwum Watykańskie. Nieznane karty historii Kościoła". Prezentujemy w niej dzieje owej niezwykłej rzymskiej instytucji, a także różne kontrowersyjne epizody z historii Kościoła, przedstawione w świetle dokumentów przechowywanych w tym właśnie miejscu. Jeden z rozdziałów dotyczy Piusa XII oraz jego stosunku wobec Holokaustu.

Kiedy kilka lat temu rodził się pomysł napisania książki, nie przypuszczaliśmy, że jej premiera zbiegnie się z otwarciem dla naukowców tej części archiwów, która dotyczy pontyfikatu Piusa XII w czasie II wojny światowej. Decyzja Franciszka o odtajnieniu akt spowodowana została chęcią wyjaśnienia wszelkich wątpliwości, jakie narosły wokół postawy tego papieża wobec ludobójstwa Żydów.

CZARNA LEGENDA

Mało kto wie, że pierwszą decyzję, by otworzyć dla badaczy utajnione zbiory na ten temat, podjął już Paweł VI. Stało się to w 1964 r., a więc zaledwie sześć lat po śmierci Piusa XII. Powodem była wystawiona rok wcześniej na deskach lewicowego teatru Freie Volksbühne w Berlinie Zachodnim sztuka niemieckiego dramaturga Rolfa Hochhutha zatytułowana „Stellvertreter" („Namiestnik"). Autor oskarżył w niej Piusa XII o bierność i obojętność wobec Holokaustu. W publicznych wypowiedziach powtarzał, że tezy swego dramatu oparł na relacjach naocznych świadków znających papieża.

Sztuka stała się wydarzeniem medialnym, a oskarżenie pod adresem głowy Kościoła zaczęło zataczać coraz szersze kręgi. Doszły nawet zarzuty o współpracę Stolicy Apostolskiej z Trzecią Rzeszą. To spowodowało, że w 1964 r. Paweł VI podjął wspomnianą decyzję. Zgodnie z obowiązującymi procedurami akta Piusa XII można było ujawnić 70 lat po jego śmierci, a więc dopiero w 2028 r. Papież nie chciał jednak tak długo czekać. Wiedział, że przez ten czas może się utrwalić wersja przeszłości oparta na „licentia poetica" dramatopisarza, a nie na źródłowym materiale historycznym.

Do akt Piusa XII w TAW zyskała wgląd komisja złożona z czterech historyków z zakonu jezuitów. Byli to Francuz Pierre Blet, Włoch Angelo Martini, Niemiec Burkhart Schneider i Amerykanin Robert A. Graham. Rezultatem ich pracy okazała się opublikowana w latach 1965–1981 seria 12 tomów akt, zawierających łącznie 7664 strony dokumentów na temat polityki Watykanu w czasie II wojny światowej. Później, w 1983 r., Jan Paweł II umożliwił nieograniczony dostęp do archiwów niemieckiemu jezuicie o. Peterowi Gumpelowi, wówczas relatorowi Kongregacji ds. Kanonizacji Świętych, który zajmował się procesem beatyfikacyjnym Piusa XII.

Spotykaliśmy się z nim w Watykanie. Opowiadał nam, jak wielki przeżył szok, gdy po raz pierwszy zetknął się z materiałami na temat Piusa XII w TAW. Okazało się, że w środku przechowywanych jest kilkadziesiąt skrzyń, w których znajduje się 16 mln (!) nieskatalogowanych dokumentów. Nikt wcześniej nie zajmował się uporządkowaniem tych akt, ponieważ perspektywa czasowa ich ujawnienia (rok 2028) pozostawała bardzo odległa. Zatrudnionych przy tym było natomiast zaledwie dwóch archiwistów. Musieli oni skopiować wszystkie dokumenty oraz sporządzić ich indeksy według nazwisk, diecezji czy tematów. Dopiero w tym kontekście można było docenić wyczyn czwórki historyków, którzy przez 16 lat zdołali opublikować 12 tomów akt. Sam Gumpel spędził w archwium niemal 30 lat, studiując dzieje Piusa XII.

Z gigantycznej kwerendy archiwalnej wyłaniał się zupełnie inny obraz Piusa XII niż ten zaprezentowany w sztuce Hochhutha czy takich książkach, jak „Papież Hitlera" Johna Cornwella lub „Papieski grzech" Garry'ego Willsa. Doszło nawet do tego, że na stałej ekspozycji w Instytucie Yad Vashem w Jerozolimie obok zdjęć niemieckich zbrodniarzy nazistowskich pojawiła się fotografia Piusa XII z informacją, że w czasie II wojny światowej nie zrobił nic dla ratowania Żydów.

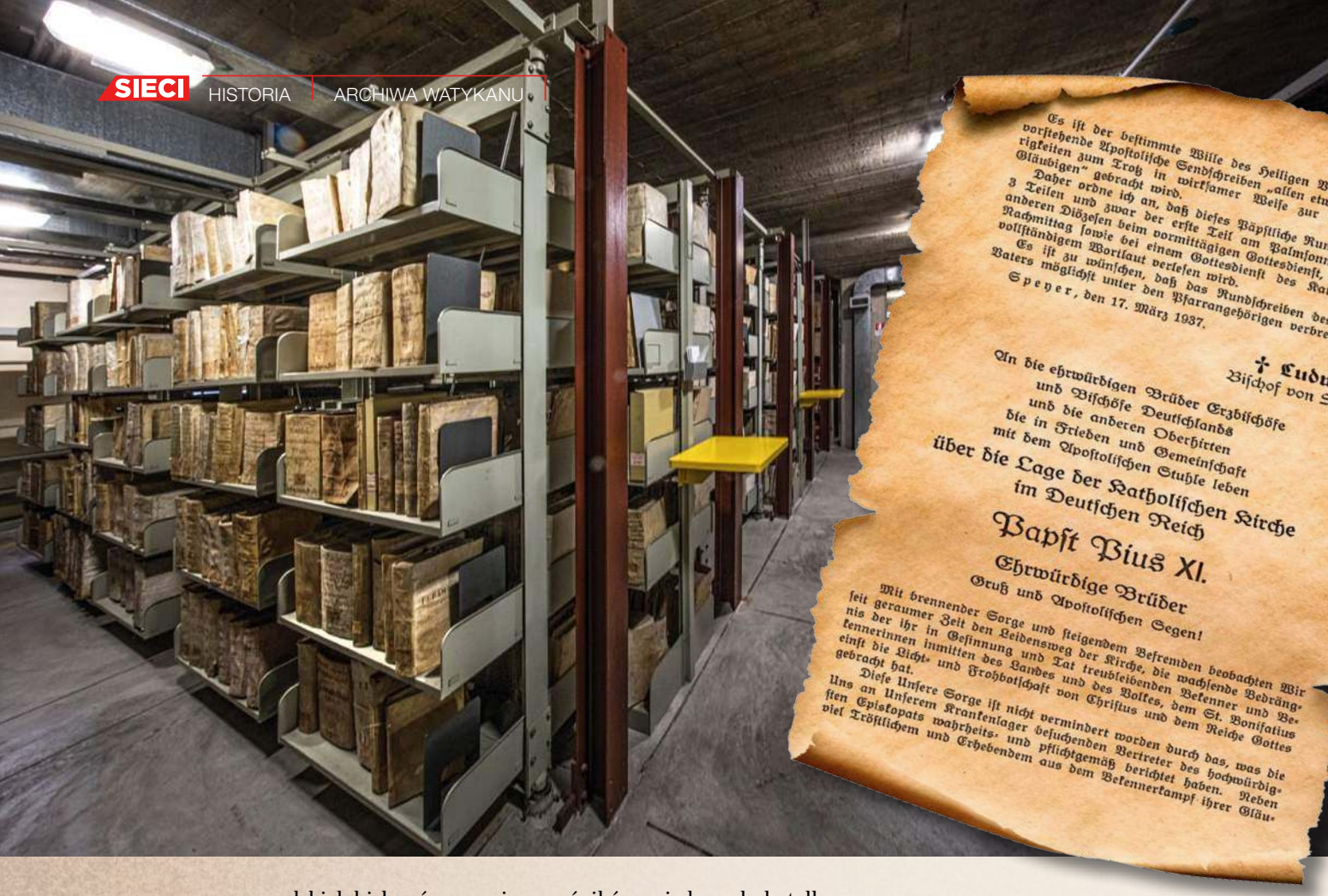
OBOJĘTNOŚĆ CZY ROZTROPNOŚĆ?

Z badań historyków wynika, że przyszły papież Eugenio Pacelli od początku był zdecydowanym przeciwnikiem narodowego socjalizmu. Nigdy nie spotkał się osobiście z Hitlerem, nawet gdy był nuncjuszem apostolskim w Monachium i Berlinie, a potem sekretarzem stanu Stolicy Apostolskiej. To właśnie on był głównym autorem ogłoszonej przez Piusa XI w 1937 r. encykliki „Mit brennender Sorge" potępiającej neopogańską ideologię nazistowską, którą uznał za niemożliwą do pogodzenia z nauką Kościoła. 2 marca 1939 r. został wybrany na papieża, przyjmując imię Piusa XII.

Krytycy zarzucają mu obojętność wobec Holokaustu, czego dowodem ma być to, że ani razu nie wystąpił publicznie w obronie eksterminowanych Żydów. Równie dobrze można byłoby go jednak oskarżyć o nieczułość na los narodu polskiego, ponieważ był bardzo wstrzemięźliwy w piętnowaniu zbrodni na mordowanych Polakach, którzy w większości byli przecież katolikami. Mało kto wie, że jego postawa została

Fot. Janusz Rosikoń

eprasa.pl 0aa079c0ec



wymuszona przez polskich biskupów, którzy sami prosili, by nie stawał publicznie w ich obronie. Potępienie Niemców przez papieża – jak twierdzili – nie przyniosłoby żadnych korzyści, a jedynie ściągnęło na Kościół i katolików jeszcze większe represje. 14 sierpnia 1942 r. abp Adam Sapieha osobiście spalił list od Piusa XII, który miał być odczytany w polskich kościołach. Jego zdaniem ogłoszenie dokumentu tak wrogiego wobec polityki hitlerowskiej nakręciłoby jedynie niemiecki terror wobec bezbronnej ludności cywilnej.

Historycy badający dokumenty w TAW są przekonani, że Pius XII miał rację, twierdząc, że otwarta krytyka może tylko rozjuszyć hitlerowców i sprowokować ich do większych prześladowań. Przekonuje ich o tym przykład Holandii, gdzie tamtejsi biskupi postanowili zaprotestować publicznie przeciw niemieckiej polityce wobec Żydów. 26 lipca 1942 r. prymas Jan de Jong ogosił list duszpasterski potępiający przymusową deportację holenderskich Żydów (niderlandzcy hierarchowie nie wiedzieli wówczas jeszcze, jaki los czeka wywożonych nieszczęśników; wiadomo było tylko, że transporty jadą na wschód). Pierwotnie wywózką nie mieli być objęci katolicy żydowskiego pochodzenia, jednak po wspomnianym liście – w ramach odwetu – Niemcy postanowili deportować także ich. To właśnie wówczas aresztowana została w klasztorze w Echt, wywieziona do Auschwitz i zamordowana w komorze gazowej św. Edyta Stein. Jeden głos protestu kosztował więc życie kilku tysięcy ludzi.

Ks. Peter Gumpel opowiada, że podczas procesu beatyfikacyjnego aż czterech świadków, zeznając pod przysięgą, potwierdziło, że Pius XII planował opublikowanie utrzymanego w bardzo ostrym tonie dokumentu piętnującego prześladowanie Żydów, jednak po wieściach z Holandii spalił go. Zachowywał jednak powściągliwość, by zapobiec jeszcze większemu złu.

RATUNEK Z WATYKANU

Milczenie nie oznaczało jednak bezczynności. Zamiast publicznych potępień papież wybrał dyplomację gabinetową i dyskretną pomoc. W TAW znajdują się całe katalogi dokumentów, które świadczą o systemowej pomocy, jakiej Kościół udzielał Żydom w Europie na polecenie Piusa XII. Wyrabiano dla wyznawców judaizmu „aryjskie papiery”, czyli fałszywe metryki chrztu. Zbiegom z getta znajdowano schronienie w budynkach kościelnych, np. dzieciom w sierocińcach prowadzonych przez zakonnice. Organizowano fałszywe paszporty i dokonywano przerzutów za granicę. Wykorzystywano nieformalne środki wpływu, by ratować skazane na śmierć ofiary.

Postawa Piusa XII uwidoczniła się szczególnie w ciągu dziewięciu miesięcy (od 10 września 1943 r. do 4 czerwca 1944 r.), gdy Rzym znajdował się pod okupacją niemiecką. Wehrmacht zajął wówczas większość Italii, w tym również Wieczne Miasto. Niemcy od razu rozpoczęli wyłapywanie Żydów oraz ich wywózkę do obozów zagłady.

W tej sytuacji Pius XII wydał nakaz, aby wszystkie podległe mu placówki w Rzymie udzielały pomocy prześladowanym. W Rzymie w 155 klasztorach ukryto ok. 5 tys. żydowskich zbiegów,

Fot. Janusz Rosikoń

eprasa.pl 0aa079c0ec

a w letniej rezydencji papieża w Castel Gandolfo – ponad 3 tys. Inni znaleźli schronienie m.in. na papieskich uczelniach Gregorianum i Biblicum. Ówczesny naczelny rabin Rzymu Israel Zolli ocalał od zagłady ukrywany w apartamentach papieskich w Watykanie. Papiescy urzędnicy prowadzili negocjacje z wysokimi dygnitarzami niemieckimi, takimi jak Ernst von Weizsäcker, Albrecht von Kessel czy Karl Wolff, by ratować poszczególnych więźniów. Dzięki Piusowi XII udało się ocalić łącznie ok. 80 proc. rzymskich Żydów. Nic więc dziwnego, że w 1946 r. umieścili oni na ścianie Muzeum Wyzwolenia przy via Tasso 145 (dawnej kwaterze głównej SS w Rzymie) tablicę pamiątkową dziękującą papieżowi za pomoc okazaną im w czasie wojny.

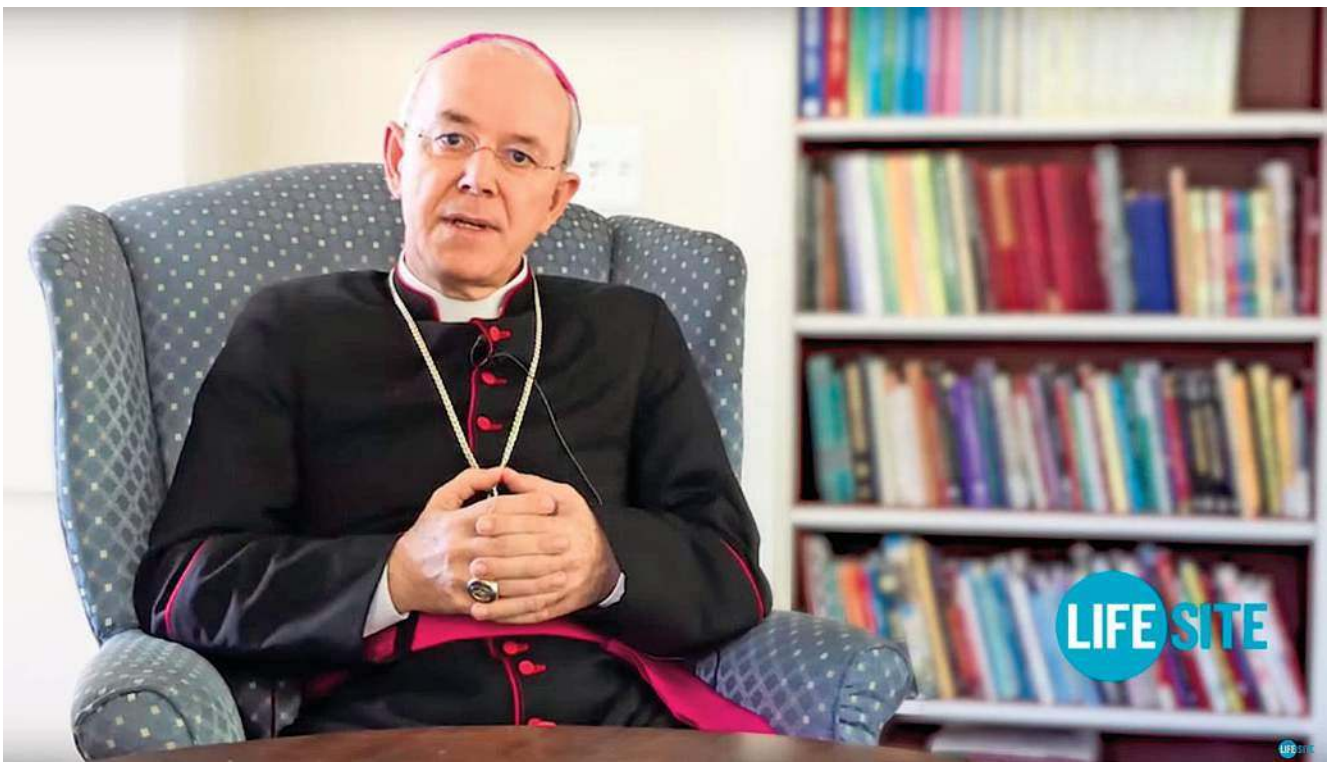
Żydowski dyplomata i historyk Pinchas Lapide na podstawie swych badań w archiwach izraelskich stwierdził, że działania Piusa XII przyczyniły się do uratowania w całej Europie od 847 do 882 tys. Żydów. Wdzięczność papieżowi za jego postawę w czasie Holokaustu wyrazili m.in. pierwszy prezydent Izraela Chaim Weizmann, premierzy Izraela Mosze Szaret i Golda Meir, naczelny rabin Izraela Izaak Herzog, sekretarz generalny Światowego Kongresu Żydów Leon Kubowitzky, prezydent Unii Gmin Żydowskich we Włoszech Raffael Cantoni czy przedstawiciel Ligi przeciwko Zniesławieniu podczas Soboru Watykańskiego II Józef Lichten.

Kilkadziesiąt lat później wszystkie te głosy okazały się w przestrzeni publicznej nieistotne w zestawieniu z narracją zapoczątkowaną przez Rolfa Hochhutha. Być może stało się tak dlatego, że jego wersja mogła liczyć na wsparcie komunistów oraz ich sympatyków i agentów na całym świecie. Według gen. Iona M. Pacepy, byłego szefa rumuńskiej Securitate, najwyższego rangą oficera komunistycznego, który zbiegł (w 1978 r.) na Zachód, czarna legenda Piusa XII została spreparowana przez sowieckie służby specjalne. Papież z powodu swego nieprzejednanego antykomunizmu był bowiem traktowany przez władze w Moskwie jako jeden z największych wrogów. Dlatego postanowiono przeprowadzić akcję dezinformacyjną, by podważyć jego autorytet. W tym celu generał KGB Iwan Agajanc zainicjował operację pod kryptonimem „Seat-12". Spreparowano wówczas wiele fałszywych materiałów na temat Piusa XII, które podrzucono zachodnim ośrodkom opiniotwórczym, a potem – wbrew faktom i dokumentom – zaczęły one żyć własnym życiem.

W ostatnich latach coś się zaczyna jednak zmieniać. Staje się to za sprawą m.in. żydowskich historyków, którzy coraz głośniej bronią papieża przed fałszywymi oskarżeniami, np. Michael Tagliacozzo, Livia Rotkirchen, Jenő Lévai czy David Dalin. W efekcie tablica z krzywdzącą informacją o Piusie XII została usunięta z Yad Vashem. Prawda przebija się więc powoli na powierzchnię.

Kolejnym krokiem na drodze ku jej pełniejszemu poznaniu jest udostępnienie 2 marca br. badaczom z całego świata dokumentacji na temat Piusa XII znajdującej się w Tajnym Archiwum Watykańskim. Już teraz czeka w kolejce 70 historyków. Być może więc do tej historii dopisane zostaną kolejne rozdziały.





Fot. YouTube

Musimy wyjść z katakumb

Znany jako krytyk papieża Franciszka i zmian, jakie następują w Kościele katolickim, biskup pomocniczy Astany w Kazachstanie ***Athanasius Schneider*** przebywał z wizytą w Polsce. Z kościelnym hierarchą m.in. o tym, z czym wiąże on nadzieję na odnowę katolicyzmu, rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

To wygląda nieco dziwnie, że spotykamy się w prywatnym domu, w małym miasteczku, a nie w centrum życia religijnego, w siedzibie któregoś z polskich hierarchów. Dlaczego ekscelencji bliżej do katakumb niż do głównego nurtu Kościoła?

Athanasius Schneider: Głównym nurtem Kościoła katolickiego nie są zbiurokratyzowane struktury administracji, albowiem Kościół żyje tam, gdzie Chrystus jest w duszach ludzi. Tam, gdzie Chrystus jest kochany, uwielbiany, gdzie naucza się prawdziwej wiary katolickiej, która towarzyszy wiernym w życiu codziennym. Kościół domowy to przede wszystkim rodzina. Chrystus ukochał szczególnie maluczkich, jak wiemy od św. Pawła, i tych, którzy są słabi i nieważni w oczach świata. Bóg wybiera ich, by objawić swoją siłę i często wspominam o tym w dobie kryzysu, w którym obecnie znajduje się Kościół. Od 50 lat wyraźnie słabnie czystość naszej wiary, modlitw i życia, jakie prowadzimy. Ale w tym samym czasie Duch Święty budzi nowe siły w różnych częściach świata, ruch prawdziwej odnowy w Kościele. Mam na myśli rodziny, dzieci i wielu młodych ludzi, którzy znów są przepełnieni wiarą katolicką oraz pragnieniem liturgii. Któż pragnie bardziej piękna świętego życia nad chrześcijańskie rodziny? To jest właściwy duch odnowy Kościoła. Porównuję ich do kwiatów przebiśniegów pojawiających się w środku zimy, które zapowiadają nadejście prawdziwej wiosny. Ale ma pan rację, mówiąc, że w pewnym sensie jesteśmy teraz w środku prostego pielgrzymiego Kościoła. Kościoła niejako podziemnego, który

Reklama | 56/0120/F

eprasa.pl 0aa079c0ec

jest traktowany z politowaniem i jest wypchnięty na peryferie potężnych struktur administracyjnych.

Mówiąc o kryzysie, traktujemy tę sytuację jako wyjątkową, a przecież każde czasy przynosiły napięcia i – jak to nazywano w kolejnych epokach – kryzysy. Od reformacji poczynając, przez oświecenie, po ruchy rewolucyjne i filozofie materialistyczne czy ateizm. Dlaczego ten kryzys mamy postrzegać jako wyjątkowy?

Oczywiście już Pismo Święte mówi o ciągłej walce, jaką musi podejmować Kościół. Ponieważ żyjemy w dolinie łez i wszyscy wrogowie nasi oraz naszego zbawienia atakują nas, jednocześnie zapewniając, że chcą pomóc. Tę prawdę opisał święty Paweł, gdy mówił, że nasze bitwy są nie o ciało, ale o ducha. Dzieje się tak, że Kościół staje przeciwko Kościołowi wojującemu. Poza tym uczniowie zniekształcają czystą naukę Chrystusa i miłość Bożą. To naturalne. Ale w tej całej sytuacji walki mamy do czynienia ze specyficzną sytuacją w historii, kiedy znaki kryzysu są szczególne. Temu nie sposób zaprzeczyć. Tak jak spory w każdej wspólnocie istnieją, czasem cięższe, czasem lżejsze, tak w historii Kościoła to się zdarza. Dość wspomnieć rządy, dziś powiedzielibyśmy mafijne, w Rzymie w niektórych dekadach średniowiecza, czy wielką schizmę zachodnią w XIV w. albo moralną degradację papieży doby renesansu. To były wyraźne, widoczne kryzysy. I tak od 50 lat mamy nową formę bardzo głębokiego kryzysu, który jest coraz większy, a teraz chyba osiąga swoje apogeum.

> Z ust hierarchów Kościoła słyszymy, że są inne drogi, by dotrzeć do Boga. Chrystus ma być jedną z możliwości, a człowiek ma sobie sam określić, co jest prawdą

Jaka jest natura tego kryzysu?

Jest on uniwersalny, dotyczy wszystkich krajów, może poza niektórymi przykładami we wschodniej Europie, dotyczy też prawie wszystkich prawd wiary. Doktryny stają się relatywne, płynne, także liturgia jest dotknięta kryzysem i antropocentryzmem, który – w myśl zrodzonych w XVIII w. koncepcji, także masońskich – w miejsce Boga postawił człowieka i zarzucił wiarę w przemienienie ciała Chrystusa.

REKLAMA



eprasa.pl 0aa07960ec

Z ust hierarchów słyszymy, że są inne drogi, by dotrzeć do Boga. Chrystus ma być jedną z możliwości, a człowiek ma sobie sam określić, co jest prawdą. Takie rzeczy słychać z wewnątrz Kościoła. Mamy teraz uznawać aktywny homoseksualizm za normalny, bo nastały nowe czasy, wolno także czcić swojego bożka niemalże na równi z Chrystusem, a pierwszej z prawd wiary, że „jest jeden Bóg", nie trzeba traktować dosłownie. Właściwie mamy do czynienia z ogólnym atakiem na Boskie objawienie, przeciwko Chrystusowi, który był wcieleniem Boga i Zbawicielem. Widać to nawet w liturgii, także w niektórych kaplicach i kościołach w Polsce, gdzie w centrum stoi krzesło kapłana, a tabernakulum znajduje się gdzieś w rogu. I to jest powszechne w wielu kościołach, co moim zdaniem idealnie pokazuje, w jakim jesteśmy stanie duchowym i teologicznym. Dlatego uważam to za najgłębszy i najbardziej powszechny kryzys od początku istnienia Kościoła.

Ten rodzaj wroga ideologicznego Kościoła katolickiego jest odmienny od swoich poprzedników: luteranizmu, deizmu czy marksizmu, bo chce strącić Chrystusa, ale nie proponuje niczego w zamian. Być może dlatego Kościół jeszcze nie wypracował metody na skuteczną walkę z nim. Jakie może być rozwiązanie, strategia na walkę z takim nihilizmem?

Strategia jest taka sama jak zawsze, jaką dał nam Chrystus. Trzeba głosić Słowo Boże. Nie ma innej drogi niż ta, którą powierzył nam Bóg. Jezus Chrystus powiedział: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem", dlatego odstępstwa trzeba zatrzymać. Ewangelizacja, głoszenie prawd wiary i uwielbienie Boga są naszą metodą ocalenia świata.

Jest też jednak koncepcja, głoszona przez katolickich konserwatystów, w której ta ideologiczna, obyczajowa rewolucja, jest po prostu nie do zatrzymania, możemy ją tylko spowolnić. Mam na myśli Plinia Correę de Oliveirę, który opisał dzieje Kościoła jako walkę rewolucji z kontrrewolucją, przy czym ta pierwsza zgodnie z naturą rzeczy będzie rozkładać świat bez końca.

Powiedziałbym, że te wartości są nie tyle konserwatywne, bo to dotyczy czegoś szerszego niż konserwatyzm czy nawet chrześcijaństwo. Mówimy o podstawowych wartościach ludzkich i o prawie naturalnym, które dał nam Bóg, a więc dotyczy to wszystkich ludzi i wszystkich narodów. Przecież gdy mówimy o małżeństwie czy rodzinie, to myślimy o dobru każdego człowieka, a nie tylko chrześcijan. Musimy tego bronić, bo atak na te wartości jest globalny, włącznie z przebudową naszego myślenia o małżeństwie czy nawet płci. Ale chrześcijanie właśnie odradzają się na nowo. Musimy powoli odbudowywać te wartości, żeby ocalić ludzkość.

> Od 50 lat mamy w Kościele katolickim nową formę bardzo głębokiego kryzysu, który jest coraz większy, a teraz chyba osiąga swoje apogeum

Jednak nawet Benedykt XVI, w książce „Ostatnie rozmowy", stwierdził, że Europa już tak zlaicyzowana nigdy nie będzie chrześcijańska.

To możliwe, ale nie znamy planów Boga. Z ludzkiego punktu widzenia zgadzam się z Benedyktem. Europa popełniła apostazję i wiara w Boga – nie wiemy, na jak długo – rodzi się na innych kontynentach, co przynosi zbawienne skutki dla całej ludzkości. Ja jednak powtarzam credo pierwszych apostołów, którzy zaczynali w Jerozolimie, ale chrześcijaństwo rozwinęli w Europie. Musimy zrobić wszystko, co możliwe, żeby przywrócić Staremu Kontynentowi chrześcijańskie korzenie i chrześcijańską kulturę. Musimy wyjść z katakumb i być aktywnymi na różnych płaszczyznach i wtedy być może tacy chrześcijanie jak w Polsce, na Węgrzech czy Słowacji stworzą jakiś rodzaj porozumienia, by zjednoczyć się przed dyktaturą Unii Europejskiej, przed masońskim totalitarianizmem.

Ekscelencja urodził się w Związku Sowieckim. Wielu ludzi na Zachodzie Europy wierzy, że Rosja może przyjść z pomocą odrodzeniu chrześcijaństwa. Dla nas, Polaków, to jest akurat kompletnie fałszywa teza, ale może ekscelencja widzi jakiś potencjał moralny w dzisiejszej Rosji?

Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że w sytuacji głębokiego kryzysu musimy być realistami wobec silnego totalitariańskiego ruchu, który wprowadza do społeczeństw teorie LGBT, które niszczą rodzinę i małżeństwo, nawet jeśli w niektórych państwach trwa jeszcze opór przeciwko temu. Musimy być realistami, bo Bóg w historii nieraz używał złych krajów do wypełniania swojej woli. Przykładem może być perski król Cyrus, który pozwolił Żydom na powrót do Ziemi Obiecanej i odbudowę świątyni w Jerozolimie. Chrześcijaństwo w Rosji jest w lepszej kondycji niż w krajach ateistycznych. Bóg może wykorzystać Rosję.

Obawiam się, że kagebiści z Kremla potrafią też wykorzystać takie przekonanie i potraktować wiarę chrześcijańską instrumentalnie, jako swoje narzędzie wpływu.

Tak, to możliwe. Ale Zachód jest gorszy. Unia Europejska jest najgorsza. Co może być gorszego? Oni niszczą chrześcijaństwo i ja nie mogę sobie wyobrazić większego niebezpieczeństwa niż Unia Europejska.

Myślę, że Polacy nie muszą daleko sięgać wyobraźnią, by jednak znaleźć coś gorszego.

Autopromocja

eprasa.pl 0aa079c0ec

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox | **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**


Ocalenie

Borys Szyc zasłużył na szacunek

Osoba uzależniona nie chce być kochana, bo miłość prawdziwa stawia wymagania. Chory chce naszej tolerancji, naiwności i pieniędzy, ale nie miłości. Dopóki będziemy ratować chorego, dając mu to, czego pragnie, o co woła, będzie ginął, a my z nim

Z dziennikarzem Rafałem Porzezińskim, twórcą cyklu „Ocaleni" w TVP 1, rozmawia Dorota Łosiewicz

Za nami 100 odcinków „Ocalonych" i gala z tej okazji. Czego jako trener terapii uzależnień dowiedziałeś się o ludziach wychodzących z nałogu?

Rafał Porzeziński: że jeśli chodzi o powrót do zdrowia i wyjście z nałogu, to niemal w każdej historii funkcjonuje pewien schemat. U źródeł uzależnienia mamy do czynienia z brakiem miłości. Albo jest tak, że najbliżsi jej nie okazują, albo okazują ją głupio. Czasem okazuje się, że osoba uzależniona w ogóle nie ma nikogo bliskiego. Co ciekawe, w punkcie zwrotnym tych historii, tam gdzie zaczyna się ocalenie, jest spotkanie z owym brakującym elementem – z miłością.

Gdzie ją odnajdują?

Zazwyczaj w Bogu, którego ci ludzie nie zawsze znali lub w Niego po prostu nie wierzyli. Jednak zanim dojdzie do spotkania miłości, pojawia się refleksja: „Zawiodłem, nie jestem bogiem, umieram". Z tą refleksją przychodzi wołanie z czeluści upadku, innym razem to jest pozbawiony siły szept, a jeszcze innym – wycie, skowyt. Czasem taki zwierzęcy. Gdy już nie mamy nic, przestajemy udawać i wówczas jest czas na cud. Gdy człowiek wydobywa z siebie ten krzyk rozpaczy, wołając o pomoc, ratunek przychodzi.

Jak?

Bardzo różnie. Przez ludzi, przez terapię. Potrafi np. doprowadzić do zniknięcia głodu heroinowego. Tak było w przypadku Andrzeja Sowy. To lider kapeli, która wygrała festiwal w Jarocinie. Człowiek stoczył się na dno. Któregoś razu leżał w piwnicy, a strupy na jego nogach podgryzał szczur. Andrzej leżał na głodzie heroinowym i nie był w stanie przegonić gryzonia. Wreszcie czymś w niego rzucił i potem opowiadał, iż miał wrażenie, że szczur spojrzał na niego z błyskiem w oku, jakby mówił: „I tak cię dopadnę". Wtedy Andrzej wywlókł się z tej piwnicy i spotkał dziewczynę, która podstępem zabrała go na rekolekcje. Gdy się dowiedział, że to rekolekcje właśnie, zażył wówczas ostatnią dawkę heroiny, którą miał przy sobie. On nawet nie wiedział, o co chodzi, co tam robi, ale tak się zaczęło. Kiedy ktoś do niego mówił: „Chwała Panu", to on odpowiadał: „Chwała pani", bo nie znał tego zwrotu. I na tych rekolekcjach zaczęto się nad nim modlić. Po tym minął głód heroinowy. Nie wiem, czy czytelnicy wiedzą, jak to jest, gdy schodzi z człowieka heroina. Wówczas nie można niczego zjeść, przełknąć, wypić. To tak jakby mieć silną grypę razy milion. Do tego wstręt do światła, dźwięku, jedzenia. A Andrzej po modlitwie rzucił się na całą rynienkę ciasta drożdżowego, pochłonął je i nigdy już nie tknął heroiny. Do dziś Andrzej pozostaje człowiekiem odpowiedzialnym: działa, tworzy, napisał książkę, ma rodzinę. Pamiętajmy jednak, że wyjście z nałogu to codzienna czujność i bardzo intensywna praca, by poznać siebie, polubić i dopiero potem, z pomocą odnalezionego Boga, zmienić siebie.

Czy ocalenie, wyjście z nałogu zawsze musi się wiązać z poznaniem Boga?

Może nie zawsze z poznaniem Boga, nie zawsze z religią. Ale zawsze z przebudzeniem duchowym. Bo uzależnienie to choroba ciała i umysłu, ciała i ducha – nie można jej leczyć tylko farmakologią, bo chore jest źródło. Na najnowszej płycie Muńka Staszczyka, którego też uważam za Ocalonego, można znaleźć piosenkę „Zakurzone tynki w Petersburgu". Utwór powstał po naszej rozmowie o tym, że w każdym człowieku jest

Fot. rajmedia

eprasa.pl 0aa079c0ec

szeregowiec, kapral i generał. Szeregowiec to ciało i jego potrzeby, kapral to intelekt, który też trzeba karmić lekturą, rozmową, nauką, ale biada nam, gdy nad frontem naszego życia damy kierownictwo szeregowcom i kapralom, i nie nakarmimy ducha, nie damy zarządzać generałowi. Zdarza się, że osoba uzależniona zmienia swój światopogląd, by nie musieć zmienić swojego postępowania. Łatwiej myśleć, że wszystko nam wolno, „róbta, co chceta". Znacznie trudniej być spójnym i ograniczać się do dobra i tego, co pożyteczne. Bardzo trudno zmienić swoje postępowanie, nawyki. Najtrudniejsze słowo świata to „nie". I to zwłaszcza wtedy, kiedy mamy je powiedzieć samemu sobie. Kiedy ujarzmię swoje ego, jest czas na krok trzeci z 12, czyli powierzenie życia i woli Bogu.

Czy Bóg zawsze odpowiada?

Tego nie wiem, ale mi odpowiedział. Także w tych historiach, których w swoim życiu wysłuchałem już więcej niż tysiąc przez ostatnich 10 lat, zawsze pojawiała się odpowiedź Boga. Czasami była ona niechciana, czasami odrzucana, ale była zawsze. A po usłyszeniu głosu nie zmieniamy się ot tak, jak pstryknąć palcami. Czasami uciekamy i stajemy się jeszcze mniejsi. Wołanie: „Dlaczego mnie, Boże, zostawiłeś?" zawsze sprowadza się do pytania o to, dlaczego to my zostawiliśmy Boga. Spójrzmy na przykład Billa Wilsona, współzałożyciela Wspólnoty Anonimowych Alkoholików. On zobaczył światło, poczuł ogarniającą go łaskę z wysoka, i wtedy zapytał: „Jeżeli to Ty jesteś tym Bogiem, o którym słyszę w kościele, to ja w Ciebie wierzę, ja za Tobą idę". I od tej nadziei zaczęła się jego wieloletnia droga trzeźwienia i proces tworzenia AA, a także metody 12 kroków, która jest genialna! Mieści się na jednej kartce papieru, a dotyczy tak naprawdę każdej dziedziny naszego życia. Im mniej zgłuszymy tę odpowiedź od Boga, tym bardziej będziemy szczęśliwi. Szatan i świat mają proste recepty: „Rób, co chcesz!" A Bóg chce, byśmy byli szczęśliwi. I po to są prawa, przykazania, które mamy. Niewypełnianie ich prowadzi do cierpienia, a nie do szczęścia. Tylko trzeba to zrozumieć.

Masz sygnały, że po swoje szczęście i swoje ocalenie postanowili sięgnąć widzowie programu?

Ogrom. Po każdym programie przez dwie godziny dyżuruje przy telefonie Hania Ostrowska, by dać szansę tym, którzy chcą się zmierzyć ze sobą. Za każdym razem słyszymy, że ktoś podjął pracę albo że dzięki programowi ktoś po raz pierwszy usłyszał, że czasem trzeba skończyć z niańczeniem i wyręczaniem uzależnionego. Że czasem po prostu trzeba zrobić krok i wyrzucić taką osobę z domu. Często dzieje się tak, że osoba najbliższa, chcąc ratować pijącego czy uzależnionego, sięga po głupie środki, bierze na siebie owoce złych decyzji chorego. Gdy usłyszy, że nie jest sama, że może szukać pomocy, zrobi to. Żony często nie wiedzą, że gdy mąż alkoholik je uderzy, powinny zadzwonić po policję. Myślą, że powinny wziąć na siebie krzyż. Tymczasem osoba w kryzysie, aby zapragnąć zmiany, trzeźwienia, musi poczuć ból. Własny ból. Osoba uzależniona nie chce być kochana, bo miłość prawdziwa stawia wymagania. Chory chce naszej tolerancji, naiwności i pieniędzy, ale nie miłości. Dopóki będziemy ratować chorego, dając mu to, czego pragnie, o co woła, będzie ginął, a my z nim.

> Pamiętajmy jednak, że wyjście z nałogu to codzienna czujność i bardzo intensywna praca, by poznać siebie, polubić i dopiero potem, z pomocą odnalezionego Boga, zmienić siebie

Jakie znaczenie mają „Ocaleni" dla ciebie?

To spełnienie zawodowych marzeń, ale także dopełnienie pewnej życiowej drogi. W roku 2001 zacząłem pracę nad zabezpieczeniem swojej trzeźwości. Byłem przez dziewięć lat uzależniony od hazardu i z czasem ta praca, w której fascynowałem się 12 krokami, zmotywowała mnie do pomocy innym. Marzyłem, by połączyć te dwie pasje: wysłuchiwanie historii ocalonych i dziennikarstwo. I to się dziś udaje! Dzięki tym historiom widzę, jak na świecie pojawia się nowe życie. Ludzie rodzą się ponownie. Niektórzy mają 18 lat, inni 60. Z każdej sytuacji da się wrócić do normalności, odzyskać godność. I pokazanie tego to nasz wielki cel. Taki program marzył mi się od dawna. Próbowałem zainteresować swoim pomysłem kolejnych prezesów i dyrektorów, w zasadzie niemal zawsze słyszałem: „E, kto to będzie oglądał". Jacek Kurski wziął ten projekt. O dziwo, nie powiedział, że to bez sensu, ale rzucił: „Nie wiem, czy to się uda, ale to ważne. Próbuj". Nie byłem w stanie uwierzyć własnemu szczęściu: mamy ogólnopolską antenę po 30 latach. Ostatni taki program to „Wódko, pozwól żyć", także poświęcony tematyce uzależnień. Chciałbym, aby nasz program ratował ludzkie życia jak tamten.

Tymczasem słychać głosy, że TVP to nie jest godne miejsce na tego typu program. To za sprawą materiału „Wiadomości" TVP, gdzie była wzmianka na temat alkoholowych problemów Borysa Szyca.

Tak, to przykre. Właśnie mieliśmy galę 100. odcinka i od samego początku naszego programu miałem świadomość, że TVP nie jest miejscem, do którego każdego da się zaprosić. Choć niektóre środowiska mają wielkie zasługi na rzecz ruchu antyalkoholowego, jak Fundacja Batorego, to jednocześnie są wrogami Polski Republikańskiej, dobrej zmiany, rządzących zarówno Polską, jak i TVP. Zawsze jednak znaj-

eprasa.pl 0aa079c0ec

dowaliśmy wspólny język w kwestii pomagania uzależnionym. Przed galą byłem niezmiernie zaskoczony, że dwie osoby, które postrzegałem jako bardzo życzliwe naszej pracy, wykorzystały zamieszanie wokół „Wiadomości", by spostponować nasze święto. Trochę mnie to śmieszyło, bo te same osoby rozmawiają o problemach alkoholowych na łamach „Faktów i Mitów", nie mówiąc o TVN czy „Gazecie Wyborczej". Zabolało mnie to, bo chodzi o osoby, z którymi współpracowałem, które szanuję. Szkoda, że święto naszego programu zostało wykorzystane do akcji politycznej.

A jak oceniasz samą wzmiankę o Szycu?

Borys Szyc od kilku lat przepięknie trzeźwieje. Solidnie pracuje i, co nie jest bardzo częste, postanowił powiedzieć o problemie i swojej drodze wyjścia z niego. Przyznał się, że był na dnie i traktował swoje życie dosyć swobodnie. Jego praca to coś, przed czym chylę czoło. Zapraszałem Borysa do naszego programu, nie mówił „nie", ale na razie nie przyszedł. Wiem, że część jego otoczenia traktuje TVP jako instytucję wrogą. Moim zdaniem w sprawie Szyca popełniono błąd, należą mu się przeprosiny. Osobiście wysłałem mu je w swoim imieniu. Osoby, które były na tyle odważne, by zedrzeć z siebie maskę twardzieli i dzielą się owocem swojej pracy, wymagają elementarnego szacunku. Z drugiej strony po sobie wiem, że głupoty, które zrobiłem, będąc uzależniony, wracają. Różne historie ciągnęły się za mną długo. Borys jest osobą, o której jest głośno, jest celebrytą, aktorem i trudno dziwić się, że i jego „przygody" ciągną się za nim. Choć nie usprawiedliwiam tym materiału w „Wiadomościach". Osobie, która wykonała taką pracę, należy się szacunek.

Ludzi chyba motywuje to, gdy znana osoba otwarcie mówi o uzależnieniu?

Bardzo. Ale jest też mechanizm przeciwny – naśladowanie antywzorców. Gdy taka osoba jak Szyc, a on dla wielu jest wzorem, odstawia wódkę, to niemałe grono osób ma powód, by zastanowić się nad sobą i pójść tym tropem. I po to jest nasz program. By osoby znane i lubiane, ale także te nieznane mówiły: „Można zmienić swoje życie".

100 odcinków „Ocalonych" to ocean niezwykłych historii.

Zdążyłem się przyzwyczaić do tego, że te historie są nie z tej ziemi. Właściwie nie miały prawa się wydarzyć. Ale niektóre po prostu zapierają dech. Np. para ludzi żyjąca na warszawskich ulicach, dla której pokarmem był tylko denaturat, i to przez kilka lat. Nie mieli prawa żyć, nie mieli prawa się podnieść – oboje żyją, trzeźwieją, dają świadectwa. Albo historia Pawła Cwynara, który napisał książkę „Picie w zachwycie". To przecież opowieść o bandziorze, którego bało się wiele osób. Historia jego przejścia do trzeźwości zaczyna się w celi, gdzie ktoś zostawił kawałek Nowego Testamentu. Jaki jest jej finał? Gangster, który mówi dziś: „Chcę być święty". Jest i historia Teresy, jednej z pierwszych kobiet w polskich AA, która żyła od rautu do rautu. Pewnego dnia trafiła w złe miejsce w złym czasie. Nad Wisłę. Tam dwóch zbirów bestialsko ją zgwałciło, zniszczyli jej kobiecość, godność i półmartwą wrzucili do Wisły. Oprychy były pewne, że ona nie żyje. Zabrali jej klucze, obrobili mieszkanie. Ale Teresa w tej Wiśle urodziła się na nowo. Zaczęła prawdziwe życie! Teresa, którą podczas gali nagrodziliśmy za bezinteresowne niesienie pomocy tym, którzy cierpią, za odważne dawanie świadectwa, za ogromną pracę terapeutyczną i wprowadzenie duchowości do terapii – ta dziewczyna jest dziś kwintesencją dobroci! Każdy chce z nią pobyć, posłuchać jej. Na gali „Ocalonych" powiedziała, że nie była chciana, że brakowało jej miłości. I ona w tej Wiśle, konając, odnalazła miłość. W każdym odcinku opowiadamy takie historie ocalenia. Po co to się dzieje? Po to, byś zobaczył, drogi widzu, czytelniku i słuchaczu, który nie widzisz dziś nadziei, że można wytrzeźwieć, że to kwestia decyzji. Że nikt nie jest w stanie ci w tym przeszkodzić! Jesteś jedyną osobą, która może udaremnić własne ocalenie. Program „Ocaleni" ma ci pomóc, pokazać, że świat bez fałszywych podróbek szczęścia jest bardziej atrakcyjny, piękniejszy.

> Z każdej sytuacji da się wrócić do normalności, odzyskać godność. I pokazanie tego to nasz wielki cel. Taki program marzył mi się od dawna

Jak reagują bohaterowie historii, gdy widzą je na ekranie, kiedy w ich role wcielają się aktorzy?

To zawsze zaskoczenie. Nie pokazujemy im tych historii wcześniej, ale zawsze robimy szeroki wywiad, próbujemy zobiektywizować przebieg wydarzeń, odtwarzając realia czasu, w którym wszystko to miało miejsce. Kiedy bohaterowie widzą te sceny, to tryskają im łzy z oczu, zawsze jest wzruszenie nad własnym losem. Nad tym, że udało się wyjść z przepaści. Kiedy widzą aktorów, którzy wcielają się w nich, to na własne oczy dostrzegają, jakim są cudem. Według mnie każdy z nas potrzebuje ocalenia. Sam uczę się z każdym odcinkiem czegoś nowego o sobie. Dociera do mnie, że jeśli nie pracujemy, by stawać się lepszymi, to wówczas potworniejemy. Jak stajesz w miejscu, to dzieje się z tobą to, co na schodach ruchomych jadących w dół. Zjeżdżasz. Nie można więc stanąć w duchowym rozwoju, bo można skończyć na dnie.

„Ocaleni", każdy wtorek, TVP 1, godz. 23.00, piątek, TVP 3, godz. 20. Premiera gali „Ocaleni 2020" – wtorek, TVP 1, 23.00.

eprasa.pl 0aa079c0ec



P jak panika wyborcza

Hanna Karp

Któżby pomyślał, że medialne wojsko, skoszarowane na wojnę z prezydentem Andrzejem Dudą, padnie ofiarą własnej nadpobudliwości i skrajnych napadów paniki. Jest ryzyko, że przypadłość ta może być nie mniej groźna niż szalejąca obecnie po świecie chińska zaraza.

W OPARACH TABLOIDU

Skrywana słabość wyszła na jaw, gdy w środę sztab wyborczy prezydenta Dudy przedstawił nową szefową kampanii prezydenckiej. Miała jedną wadę – trudne do zapamiętania nazwisko. Ale reszta okazała się zjawiskowa. I to okazało się najgorsze. Medialne ogary dopadły ją już w sobotę. Nagle się okazało, że przed dwoma laty mecenas nocą... pogryzła jednego z mieszkańców podwarszawskiej miejscowości. „Ma ostre zęby – trysnęła krew, przyjechało pogotowie" – epatowano czytelników w sobotnio-niedzielnym dodatku warszawskiej „Gazety Wyborczej". Redaktorom od dawna wyraźnie brakowało pomysłów. Gazeta zapadała się coraz bardziej na dno tabloidowego mułu. Zabłysła żenującą historią o pożałowania godnej stalkerce, nękającej miłosnymi wyznaniami prezydenta Andrzeja Dudę. Nieudolny tekst miał sprawiać wrażenie dziennikarskiego reportażu śledczego. Gdy publikacja okazała się nieskuteczna, a poza tym przyniosła żenadę i kompromitację wydawcy, zaistniała potrzeba kontruderzenia. Nowa historia spadła z nieba.

Nieoczekiwanie w blasku reflektorów pojawił się kobiecy dubler prezydenta Dudy. Elokwentny i z prezencją. To z nim wyborca natychmiast, odruchowo i mimowolnie, będzie konfrontował kandydatkę Małgorzatę Kidawę-Błońską. Nie trzeba dodawać, czym mogłoby to grozić. Kiedy sztab „Wyborczej" poczuł świeżą krew, ogłuszył nowy obiekt zainteresowania na starcie.

JEDNA WADA – ZA DOBRZE

Ruch sztabu wyborczego prezydenta Andrzeja Dudy z Jolantą Turczynowicz-Kieryłło był dobrze pomyślany, ale miał jedną wadę. Był za celny, zbyt prowokujący swoją trafnością. „Niezależne media" rzuciły się na ofiarę, nim zdążyły ją dobrze obejrzeć. Teraz obrzucają workami z pierzem upatrzony obiekt, dniem i nocą lejąc nań gorącą smołę.

Historia z panią mecenas jest bardzo pouczająca przede wszystkim dlatego, że odsłoniła rzeczywistego przeciwnika prezydenta Andrzeja Dudy. Realną siłą, gotową prowadzić wojnę zaczepną na śmierć i życie z prezydentem, nie są bojówki kodziarskie czy sztaby kandydatów Kidawy-Błońskiej, Biedronia, Hołowni czy Kosiniaka-Kamysza. Wszystko rozgrywają koncerny, które lata temu przejęły rynek medialny. Utuczyły się bardzo na wszystkim, co można, i – co najważniejsze – przyzwyczajały, że rządzą tu wszystkimi. Tylko im wolno kreować dominującą narrację i agendę medialną. One powołują do życia i one życie odbierają.

Z pewnością każde z imperiów w głównym newsroomie – długo przed otwarciem oficjalnej kampanii wyborczej – miało rozpisane w szczegółach

eprasa.pl 0aa079c0ec

dziesiątki scenariuszy. A wraz z nimi sztaby z wywiadem, kontrwywiadem, cynglami, siłami ataku, defensywy i ostrym skoordynowanym ostrzałem na ostatnie godziny. Jedna publiczna stacja TVP Info przy tym to konik polny rzucający się na słonia.

METODA: USTĄP, BY ZWYCIĘŻYĆ

W tej sytuacji bardzo dobra wydaje się metoda kung-fu, a dokładniej odmiana wing tsun, stworzona przez kobietę, przełożoną klasztoru Shaolin, która wypracowała system walki z większym i silniejszym przeciwnikiem, nastawiony na samoobronę. Metoda walki wing tsun to unikanie konfrontacji siłowej i wykorzystywanie energii przeciwnika przeciwko niemu samemu. Żeby jednak odnieść zwycięstwo, trzeba znać wrażliwe punkty przeciwnika, by na oczach publiki zadał sam sobie śmiertelny cios, potykając się najlepiej o własne nogi.

Dobrą metodą może być także zasada walki ju-jitsu. Jej motto brzmi: „Ustąp, by zwyciężyć". Oznacza to taki sposób zwarcia, by nie używać wobec przeciwnika twardej siły, lecz dostosować się do jego ruchów i wykorzystać siłę płynącą z jego manewrów przeciwko niemu. Można to przedstawić w formule: minimum wysiłku, maksimum skuteczności.

Na końcówce przydać by się mogła jeszcze dynamiczna sztuka walki rodem z Brazylii, zwana capoeirą. Wymyślili ją afrykańscy niewolnicy. Polega na wykonywaniu akrobatycznych figur przy jednoczesnym wyprowadzaniu ciosów nogą. Skuteczność daje tu nieprzewidywalność ruchów, które mogą wytrącić przeciwnika z równowagi i zaskoczyć go swoją płynnością i dynamiką.

Atak na Jolantę Turczynowicz-Kieryłło dowodzi, że przeciwnik zna różne metody walki i korzysta z nich. Uderza niespodziewanie. Przez to niestety postać szefowej sztabu – nowy element wyborczej rozgrywki – pozostaje jeszcze niezgrany, ale już zużyty. Kryształowy i nieskazitelny, a jednak już naruszony. Zastosowano uderzenie, które można nazwać metodą na wampira. Wyssanie krwi, nim ofiara się spostrzeże.

Sprawa z Jolantą Turczyńską-Kieryłło pokazała także, w jakim napięciu znajdują się główni adwersarze prezydenta Andrzeja Dudy. Każdego dnia odkrywają swoje wojownicze barwy w starciu o wszystko. Zwycięży strona, która popełni mniej błędów, dłużej zachowa zimną krew, spokój i pogodne oblicze. Stawka toczy się o zwycięstwo prezydenta w pierwszej turze. Wszyscy to wiedzą, ale mało kto o tym głośno mówi. Na razie, patrząc na nerwowość jego przeciwników, wygląda, że taka wygrana jest możliwa. Ale do tego potrzebny jest namysł szachisty i szybkość tygrysa w skoku.

> Historia z panią mecenas jest bardzo pouczająca przede wszystkim dlatego, że odsłoniła rzeczywistego przeciwnika prezydenta Andrzeja Dudy. Realną siłą, gotową prowadzić wojnę zaczepną na śmierć i życie z prezydentem nie są bojówki kodziarskie czy sztaby jego kontrkandydatów. Wszystko rozgrywają koncerny, które lata temu przejęły medialny rynek

POST SCRIPTUM

25 lutego (wtorek). Ciąg dalszy opery mydlanej koncernu Agory wokół mecenas Jolanty Turczynowicz-Kieryłło. Na pierwszej stronie czytamy: „Afera szefowej sztabu Dudy"; „Pani mecenas i brudna polityka"; na stronie ósmej zdjęcie i wielki tytuł: „Szefowa sztabu Andrzeja Dudy znów mija się z prawdą". W kolejnym odcinku znów zbitka zdarzeń i doniesień. Już nie wiadomo, czy mecenas kogoś pogryzła, czy ją pogryziono; czy to ona napadła, czy ją napadnięto; spacerowała nocą, złamała ciszę wyborczą, rozprowadzała ulotki czy czytała ulotki. Słowem zdarzenia sprzed dwóch lat, czyli sensacja w stylu radia Erewań. Nie wiadomo, o co chodzi, byle się przykleiło.

Logika prof. Wiesława Godzica, medioznawcy. Profesor Wiesław Godzic niedawno pytany na łamach jednej z gazet o funkcje celebrytów odpowiedział pytaniem: „Dlaczego ludziom odbierać ich bohaterów?". I z troską drążył temat: „Co będzie dla nich wzorcem, punktem odniesienia, jeśli celebryci znikną?". Prowadzący rozmowę dziennikarz przytomnie zripostował: „Może staną się nimi osoby, które merytorycznie budują swoją pozycję, a nie tylko roznegliżowanymi zdjęciami i operacjami plastycznymi". Uczony jednak nie podchwycił wątku.

Czytanie na Wielki Post. Z archiwów PRL. Z zapisków – akcja „Kruk" (notatki ubeka z wewnętrznego szkolenia Służby Bezpieczeństwa): „Założenia: wprowadzić i upowszechnić pojęcie »ksiądz ekstremista«, przy jego pomocy stworzy się pozory, że większość księży oraz biskupów pragnie zgody z władzami państwowymi, a tylko nieliczna część, podobnie jak w Solidarności jest ugodzie przeciwna. Cel akcji: poróżnić duchowieństwo między sobą poprzez rozróżnienie lojalnych i ekstremistów. Tych ostatnich odizolować od społeczności wierzących, a osamotnionych i osaczonych niszczyć" [z wycinków gazet podziemnych, „Tygodnik Mazowsze" nr 39, 1982 r.].

Jak widać, czasy się zmieniły, ale metody walki z Kościołem wciąż te same.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 0aa079c0ec

Dlaczego Putin może na



Czy przekonanie o „zagrożeniu istnienia państwa" może nakłonić rosyjskie elity do użycia ładunków jądrowych choćby niewielkiej mocy? Amerykańskie działania wskazują na to, że takie zagrożenie jest realne



MAREK BUDZISZ

Pod koniec lutego w Moskwie zmarł Dmitrij Jazow, minister obrony narodowej za czasów Gorbaczowa oraz ostatni marszałek ZSRR. W historii zapisał się jako ten, który wysłał wojsko celem stłumienia niepodległościowego zrywu Litwinów, za co zresztą został zaocznie skazany w Wilnie na 10 lat więzienia. Był też członkiem junty, która w 1991 r., w czasie tzw. puczu Janajewa, próbowała obalić ostatniego prezydenta ZSRR. To właśnie Jazow wysłał czołgi, które zatrzymali Rosjanie wyprowadzeni na moskiewskie ulice przez Jelcyna. Ale w oczach obecnego ministra obrony Rosji Siergieja Szojgu, który stanął zresztą na czele komitetu przygotowującego uroczystości związane z pochówkiem Jazowa, był to „autentyczny oficer i szczery patriota", który „bez reszty oddany był dziełu służenia ojczyźnie".

Wypowiedzi arcyjastrzębia Szojgu o ostatnim marszałku ZSRR, ale nie tylko jego, bo rosyjskie media informują, że Jazow regularnie spotykał się z Putinem, którzy darzył go wielką estymą, są ciekawe również z tego punktu widzenia, że rzucają nieco światła na temat osobowości i świata wartości tych polityków we współczesnej Rosji, którzy dysponują kodami do arsenału nuklearnego i mogą, w ostatecznym rachunku, decydować o losach świata. Te rozważania na temat charakteru i poglądów głównych aktorów nuklearnej sceny nieczęsto są prowadzone w przypadku rosyjskich przywódców, a szkoda, bo świat nie byłby tak zaskoczony, jak wówczas kiedy Putin, odwołując się do wizji nuklearnego konfliktu, powiedział, że atakujący Federację Rosyjską „zdechną", a „my wszyscy pójdziemy do raju".

eprasa.pl 0aa079c0ec

cisnąć nuklearny guzik

ZAGŁADA W OBRONIE OJCZYZNY

Dmitry (Dima) Adamsky, pochodzący z ZSRR wybitny izraelski analityk wojskowy, autor książki na temat związków rosyjskich sił strategicznych, czyli tych, które dysponują bronią jądrową, z rosyjską Cerkwią prawosławną, jest zdania, że ta symbioza doprowadziła do wykształcenia się w rosyjskiej elicie czegoś na kształt „świadomości eschatologicznej", w której śmierć i zagłada w obronie ojczyzny, nawet jeśliby równało się to zagładzie świata, jest czymś chwalebnym i waloryzowanym pozytywnie.

Rosjanie często, choćby podczas ostatniej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, gdzie odbyło się spotkanie szefa MSZ Siergieja Ławrowa z szefem NATO Jensem Stoltenbergiem, budują swój wizerunek polityków rozsądnych, świadomych zagrożenia wynikającego z faktu dysponowania przez Kreml bronią nuklearną oraz opowiadających się za dialogiem, porozumieniem i rozbrojeniem. Co ciekawe, formułowane często przez siebie propozycje dialogu w sprawach nuklearnych Rosjanie uzasadniają tym, że brak spotkań oznacza obiektywne trudności w komunikacji. To z kolei ma rodzić niezrozumienie własnych politycznych oraz wojskowych interesów i wywoływać niepotrzebną eskalację napięcia, które rozkręca się niczym spirala i może doprowadzić do nieprzewidzianych efektów.

Jako przykład Rosjanie podają ujawnioną niedawno przez Pentagon informację, iż amerykańskie łodzie podwodne zostały uzbrojone w ładunki jądrowe o obniżonej mocy (W76–2), co ma być odpowiedzią na rosyjską strategię prowadzenia wojny, znaną pod pojęciem „eskalacja celem deeskalacji". W specjalnej wypowiedzi dla Agencji TASS Siergiej Riabkow, wiceszef tamtejszego MSZ, powiedział, że „Stany Zjednoczone rozpoczynają „niebezpieczną grę", i powtórzył to, co już wcześniej mówił Władimir Putin, iż użycie broni jądrowej masowego rażenia przez Federację Rosyjską może nastąpić tylko w dwóch przypadkach – kiedy Federacja Rosyjska zostanie zaatakowana przy użyciu broni atomowej lub kiedy w efekcie wojny konwencjonalnej znajdzie się w takim położeniu, że grozić jej będzie upadek państwa.

AMERYKAŃSKA ODPOWIEDŹ

Nasilenie w ostatnich dniach wypowiedzi rosyjskich polityków wzywających kolektywny Zachód do rozpoczęcia rozmów w sprawach związanych z kwestiami arsenałów nuklearnych ma oczywisty związek z próbą powrotu do starej, pochodzącej jeszcze z czasów Gorbaczowa, idei „wspólnego europejskiego domu", co zapewne w zamysłach rosyjskich



eprasa.pl 0aa079c0ec

strategów ma być odpowiedzią na płynące z Paryża wezwania do „strategicznej emancypacji Europy".

Ale niewyłącznie, bo stanowi też reakcję na działania Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Otóż jak poinformowały agencje na początku minionego tygodnia, dowództwo amerykańskich sił strategicznych przeprowadziło w Omaha w Nebrasce ćwiczenia sztabowe, w których wziął udział szef Pentagonu Mark Esper, co samo w sobie stanowi wydarzenie. Scenariusz ćwiczeń zakładał uderzenie ładunkami jądrowymi niewielkiej mocy na wybrane cele właśnie po to, aby odwieść Rosję od hipotetycznego scenariusza „eskalacji celem deeskalacji". Chodzi o takie głowice, jakie zainstalowano właśnie na amerykańskich łodziach podwodnych, o czym poinformowano kilka dni wcześniej. Konstantin Bogdanow, ekspert ds. rozbrojenia z Rosyjskiej Akademii Nauk, jest zdania, iż w tym wypadku nie chodzi wyłącznie o moc ładunków, z których korzystać mogą Amerykanie, ale o sposób ich przenoszenia. Stany Zjednoczone dysponują bowiem głowicami atomowymi niewielkiej, mniejszej od zastosowanych w Hiroszimie i Nagasaki, mocy, a które uznawane są przez wojskowych za broń taktyczną. Ich użycie nie musi pociągać za sobą nuklearnego armagedonu, ale do tej pory zakładano, że przenoszone będą one głównie przez samoloty i rakiety wystrzeliwane z instalacji naziemnych. Tylko że w obliczu zaawansowanych systemów antydostępowych, jakie zamontowane zostały przez Rosjan w obwodzie kaliningradzkim, perspektywa ich skutecznego użycia staje się iluzoryczna i nie zniechęca Moskwy do zastosowania strategii „eskalacji celem deeskalacji". Dopiero zamontowanie takich głowic na strategicznych, niewykrywalnych okrętach podwodnych i przeprowadzenie ćwiczeń w obecności szefa Pentagonu ma dać do zrozumienia Moskwie, że Amerykanie nie mają zamiaru bezczynnie przyglądać się temu, co robi ona na wschodniej flance NATO.

> Na początku minionego tygodnia dowództwo amerykańskich sił strategicznych przeprowadziło w Nebrasce ćwiczenia sztabowe, których scenariusz zakładał uderzenie ładunkami jądrowymi niewielkiej mocy w wybrane cele po to, by odwieść Rosję od prowadzenia wojny według scenariusza „eskalacji celem deeskalacji"

W podobnym duchu interpretować należy informację, która pojawiła się niemal w tym samym czasie, a napłynęła z Londynu. Otóż brexit zbiegł się tam z amerykańsko-brytyjskim porozumieniem przewidującym modernizację głowic nuklearnych znajdujących się na wyposażeniu okrętów podwodnych Royal Navy. Amerykański admirał Charles Richard ujawnił w Kongresie, że zostaną zastąpione przez głowice najnowszej generacji, określone kryptonimem W 93. W tym samym czasie w propozycji budżetowej Pentagonu na lata 2020–2021 pojawiła się pozycja wydzielenia środków na rozpoczęcie prac badawczych nad nowymi generacjami tego rodzaju broni.

Wszystko to ma wzmocnić amerykańską politykę odstraszania i skutecznie zniechęcić Moskwę do myślenia o strategii „eskalacji celem deeskalacji". Na czym ona miałaby polegać?

ROSYJSKA STRATEGIA

Z grubsza rzecz biorąc, na rozpoczęciu działań wojennych siłami konwencjonalnymi z wykorzystaniem zarówno elementu zaskoczenia, jak i przewagi w liczbie wojska i sprzętu, który może być natychmiast rzucony na front. Zanim NATO zdołałoby zmobilizować wystarczające siły, niezależnie od tego, czy chodziłoby o państwa bałtyckie, Polskę, Ukrainę czy teoretycznie nawet Białoruś, Rosjanie byliby w stanie nie tylko przełamać słabe linie obrony, lecz również osiągnąć główne cele wojskowe. Ryzykiem jest oczywiście to, że NATO w ramach artykułu 5 po kilku tygodniach odpowie z siłą większą niźli potencjał Federacji Rosyjskiej. I wówczas, właśnie w ramach strategii „eskalacji celem deeskalacji" armia rosyjska miałaby odpowiedzieć eskalacją działań wojskowych lub nawet zastosowaniem taktycznej broni nuklearnej o niewielkiej mocy. Wówczas, w obliczu przeniesienia konfliktu na wyższy poziom i ryzyka rozpoczęcia wojny powszechnej, kolektywny Zachód miałby ustąpić i usiąść do stołu rokowań. Tym bardziej jeśli racje Europy Wschodniej i jej moralne prawo domagania się wypełnienia zobowiązań sojuszniczych nie byłyby w oczach zachodniej Europy bezdyskusyjne.

Do podważenia tej moralnej jedności kolektywnego Zachodu, która jest fundamentem solidarności obronnej zapisanej w art. 5, zmierza rosyjska propaganda od dłuższego czasu. To m.in. dlatego minister Siergiej Ławrow, występując w związku z aplikowaniem Federacji Rosyjskiej do ONZ-owskiej agendy obrony praw człowieka oraz na konferencji rozbrojeniowej w Genewie pod koniec lutego, oskarżył państwa bałtyckie o kultywowanie tradycji faszystowskiej (uroczystości ku czci antyrosyjskiego ruchu oporu), państwa bałtyckie i Ukrainę o łamanie praw człowieka przez ograniczanie szkolnictwa w językach mniejszości rosyjskiej, a Polskę o walkę z rosyjskimi pomnikami, co w jego opinii jest świadectwem irracjonalnej rusofobii.

Amerykańscy wojskowi, jeszcze za czasów administracji Obamy, w trakcie przesłuchań w Kongresie pierwszy raz ujawnili istnienie rosyjskiej strategii prowadzenia w Europie działań zbrojnych, określanej mianem strategii „eskalacji celem deeskalacji". Inni eksperci, tacy jak Stephen Blank czy przywoływany już Dima Adamsky, wolą mówić o rosyjskiej strategii kontroli nad możliwością eskalowania konfliktu. Jest to jedna

eprasa.pl 0aa079c0ec

z formuł uzyskania przewagi inicjatywy, która w rosyjskiej terminologii wojskowej określana jest też mianem uderzenia wyprzedzającego, i w końcowym rezultacie politycznego wygrania sporu. Dlatego też instalowanie w obwodzie kaliningradzkim wyrzutni rakiet Iskander M, które są w stanie przenosić głowice zarówno konwencjonalne, jak i jądrowe, zostało odczytane jako przygotowywanie się do praktycznej realizacji tego rodzaju strategii. Zresztą przynajmniej raz, w 2017 r., rosyjskie wojska rakietowe, zaopatrzone w baterie rakiet Iskander, ćwiczyły w centralnej Rosji (w okolicach Iwanowa) odpalenie salwy rakietowej (tzw. elektroniczne, które niczym się nie różni od realnego, wszystkie procedury są identyczne) w ramach ćwiczenia uderzenia wyprzedzającego.

W 2015 r., jak ujawnił Fred Kaplan, autor wydanej niedawno książki „Bomba. Prezydenci, generałowie i tajna historia wojny jądrowej", dwukrotnie prowadzono w Stanach Zjednoczonych tajne ćwiczenia sztabowe, które miały służyć przygotowaniu się do odpowiedzi na rosyjską strategię „eskalacji celem deeskalacji". Wówczas ich scenariusz przewidywał następujący rozwój wydarzeń: Rosjanie dokonują inwazji na jedno z państw bałtyckich, NATO efektywnie odpiera ich natarcia i po to, aby odwrócić losy kampanii, Moskwa decyduje się na użycie ładunku jądrowego niewielkiej mocy, atakują NATO-wskie zgrupowanie lub jedną z baz znajdujących się na terenie Niemiec. Amerykańscy sztabowcy ćwiczyli odpowiedź na tego rodzaju rozwój wydarzeń. Jeden ze scenariuszy przewidywał zrzucenie w odwecie bomb atomowych na obszarze Białorusi, nawet jeśliby nie była ona stroną konfliktu. W tym wypadku chodziło raczej o pokazanie determinacji NATO i uniemożliwienie połączenia się sił rosyjskich z obwodem kaliningradzkim.

Za zarzuceniem doskonalenia tego scenariusza przeważyły wówczas motywy polityczne. Eksperci, którzy brali udział w tych ćwiczeniach sztabowych, uważali, że użycie przez Rosję ładunku jądrowego w Europie pierwszy raz w historii niemal natychmiast i automatycznie spowoduje zawiązanie szerokiej koalicji antyrosyjskiej, przez co Federacja Rosyjska stanie się światowym pariasem, z którym nikt nie będzie chciał mieć do czynienia. Wojskowi z kolei byli zdania, że powierzenie tak delikatnej operacji, jak udzielenie adekwatnej odpowiedzi na atak przy użyciu ładunków jądrowych nawet niewielkiej mocy, jest zbyt ryzykowne, aby zajmowali się tym cywile.

ZAGROŻENIE JEST REALNE

Co się jednak w ciągu tych kilku lat zmieniło, że teraz amerykańskie opory wobec przygotowania takiej odpowiedzi są znacznie mniejsze? Czy w Białym Domu zasiada polityk bardziej stateczny, obliczalny i zrównoważony, niźli był nim Barack Obama? Raczej źródeł zmian upatrywać należy w ewolucji sytuacji na świecie, ale również, a może przede wszystkim, w zmianach w rosyjskiej strategii prowadzenia wojny.

W trakcie swego wystąpienia w Akademii Nauk Wojennych w marcu ubiegłego roku szef rosyjskiego Sztabu Generalnego podkreślał wzrastającą wagę tego, co określił mianem „przechwycenia inicjatywy strategicznej" w trakcie ewentualnego konfliktu. W jego opinii nie chodzi tylko o szybkie, skoordynowane i wielopłaszczyznowe działanie rosyjskich sił zbrojnych, ale o nowy sposób prowadzenia działań wojennych określonych przezeń mianem „strategii aktywnej obrony", przez co rozumieć należy wyprzedzające uderzenie na przeciwnika Federacji Rosyjskiej. W tym kontekście warto też zwrócić uwagę na to, że Gierasimow w swym wystąpieniu powiedział, iż Stany Zjednoczone opracowują nową doktrynę strategiczną, którą określił mianem konia trojańskiego. Sprowadza się ona do próby jednoczesnej destabilizacji sytuacji wewnętrznej w kraju przeciwnika wraz z równoległym, ale niekoniecznym, użyciem sił zbrojnych. Jako przykład podał sytuację w Wenezueli. A zatem wzrost niepokojów wewnętrznych w Rosji może być odczytany przez tamtejsze mundurowe elity jako zbrojna agresja wymierzona w państwo rosyjskie. W zależności od zakresu wewnętrznych turbulencji skalowana będzie rosyjska odpowiedź wojskowa wobec sąsiadów. A jeśli będziemy mieli do czynienia z zagrożeniem istnienia obecnej władzy, czy nie może to być przez nią odczytane jako „zagrożenie istnienia państwa"?

W oczach ludzi, dla których bohaterem i wzorem godnym do naśladowania jest marszałek Dmitrij Jazow, który wolnościowe aspiracje Litwinów i Rosjan był gotów utopić we krwi, decyzje o naciśnięciu guzika nuklearnego w ramach strategii aktywnej obrony, uderzenia wyprzedzającego czy „eskalacji celem deeskalacji" mogą się wydawać uzasadnione i wręcz oczywiste. Amerykańskie ćwiczenia zdają się świadczyć o tym, że Waszyngton postrzega takie zagrożenie za całkowicie realne, więc trzeba się do niego przygotować.

REKLAMA



66/0220/F

eprasa.pl 0aa079c0ec



Fot. Alessia Pierdomenico/Shutterstock

Salvini – porywacz czy premier?

Włoskie sądy w sprawie Salviniego próbują wejść mocno w rolę władzy politycznej, która miałaby prawo nie tylko oceniać kierunek polityki państwa, lecz także pociągać do odpowiedzialności karnej polityków, których poglądów i decyzji ten czy ów sędzia nie podziela



JAN ROKITA

W połowie lutego włoski senat zgodził się na postawienie w stan oskarżenia Matteo Salviniego jako winnego zbrodni „porwania i uwięzienia" 131 osób. Za taki czyn, kwalifikowany przez włoskie prawo jako terroryzm, grozi kara do 15 lat więzienia. Salvini jest przywódcą najsilniejszej włoskiej partii, jaką jest Liga, a także byłym wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych. Od jakichś dwóch lat Liga zajmuje pierwsze miejsce we wszystkich włoskich sondażach (ponad 30 proc.), z wyraźną przewagą nad współrządzącą obecnie lewicową Partią Demokratyczną (PD) (ok. 20 proc.). Salvini jest dziś bezsprzecznie najszerzej akceptowanym przez Włochów politykiem. Na Facebooku jego wpisy obserwuje 3,4 mln internautów, co angielski dziennik „The Guardian" uznał

eprasa.pl 0aa079c0ec

w ub.r. za najwyższą liczbę spośród wszystkich czynnych polityków w Europie. Z kolei włoski senat jest zdominowany przez lewicowych wrogów Salviniego, którzy wizję jego powrotu do władzy, tym razem zapewne w roli premiera, traktują jako coś na kształt apokaliptycznego Armagedonu. Nic więc dziwnego, że imają się wszelkich środków, aby Salviniego jakoś usunąć z polityki.

OSKARŻENIE ZA OSKARŻENIEM

Sojusznikiem w tych zabiegach lewicy stał się włoski wymiar sprawiedliwości. Oskarżycielem Salviniego w tej sprawie jest sycylijska prokuratura w Katanii, która sformułowała wobec szefa Ligi zarzut „porwania i uwięzienia". Konieczne jest przy tym pamiętać, iż włoska prokuratura to instytucja zasadniczo odmienna od tego, co wiemy o prokuraturze w Polsce. Zgodnie z włoską konstytucją prokuratorzy są tam częścią wymiaru sprawiedliwości i działają przy sądach. A wraz z sędziami tworzą wspólną i autonomiczną korporację, zwaną w Italii „i magistrati", pełniąc w różnych okresach swojej kariery na przemian jedną bądź drugą funkcję. Zatem to oddzielony od egzekutywy system sądowy de facto prowadzi śledztwa, formułuje akty oskarżenia oraz feruje wyroki.

Oskarżenie Salviniego dotyczy wydanego przezeń zakazu wpływania do włoskich portów statków, którymi starali się dostać do Italii nielegalni imigranci z Afryki i Azji. W tym konkretnym przypadku rzecz idzie o statek „Gregoretti", który w lipcu ub.r. wpłynął wbrew temu zakazowi do sycylijskiego portu Augusta k. Syrakuz ze 131 nielegalnymi imigrantami na pokładzie. Prze sześć dni Salvini, jako szef MSW, nie dawał zgody na zejście imigrantów na ląd, argumentując, iż takie są wymogi prawnej ochrony granicy kraju. I ustąpił dopiero wtedy, gdy kilka państw unijnych zgodziło się na przyjęcie przybyszów ze względów humanitarnych.

Oskarżenie ze strony sądu w Katanii nie jest jedynym, jakie zostało wysunięte przeciw przywódcy Ligi. Gdy ten numer „Sieci" znajdzie się w rękach czytelników, znany będzie już wynik kolejnego głosowania we włoskim senacie, tym razem dotyczącego „porwania i uwięzienia" przez Salviniego 164 nielegalnych imigrantów na pokładzie statku „Open Arms" – to głosowanie zaplanowano na 27 lutego. Salviniego oskarża także prokuratura w Turynie o to, iż stan włoskiego wymiaru sprawiedliwości określił mianem „raka, który powinien zostać wytępiony". Z kolei w Mediolanie Salvini jest podsądnym w sprawie o zniesławienie Carole Rocket – niemieckiej kapitan statku, która wbrew prawnemu zakazowi wysadziła na Lampedusie w czerwcu ub.r. 40 nielegalnych imigrantów, w konsekwencji czego szef MSW uznał ją za „kryminalistę i pirata".

To są tylko te znaczniejsze postępowania, jakie włoski wymiar sprawiedliwości toczy przeciw Salviniemu. Narzuca się oczywiście porównanie ze znacznie większą liczbą oskarżeń i procesów, jakie włoskie sądy wytoczyły w przeszłości premierowi Silvio Berlusconiemu, doprowadzając w końcu do jego skazania i uniemożliwiając mu w ten sposób kandydowanie w wyborach. I choć w jednym i drugim przypadku polityczne intencje sędziów nie budzą wątpliwości, to porównanie takie nie jest całkiem zasadne. Berlusconiego ścigano i sądzono zawsze pod zarzutami dotyczącymi jego operacji finansowych bądź życia prywatnego, Salvini jest zaś ścigany za czynności, jakie podejmował w imieniu państwa włoskiego na podstawie swoich rządowych kompetencji.

ZATRZYMAĆ SALVINIEGO

Podobnie jak w Wielkiej Brytanii podczas sporu o brexit, sądy próbują wejść tutaj mocno w rolę władzy politycznej, która miałaby prawo nie tylko oceniać kierunek polityki państwa, lecz także pociągać do odpowiedzialności karnej polityków, których idei, poglądów i decyzji ten czy ów sędzia nie podziela. W demokratycznej Europie jest to generalnie nowy trend ustrojowy, nadający odmienne niż dotąd znaczenie całej misji niezawisłego sądownictwa. W Anglii np. w efekcie owego trendu nowa szefowa resortu sprawiedliwości Suella Braverman (notabene Hinduska i buddystka, sama wywodząca się ze słynnej kancelarii prawniczej „No.5 Chamber") nie kryje tego, iż jej zamiarem jest ukrócenie zakresu politycznej władzy sędziów. Rzecz omawia ostatnio obszernie tygodnik „The Economist", zestawiając plany rządu brytyjskiego z tym, co wydarzyło się w Polsce.

Senacki sąd nad Salvinim okazał się szczególnie wizerunkowo kłopotliwy dla Ruchu Pięciu Gwiazd – jeszcze parę miesięcy temu sojusznika i koalicjanta Ligi we wspólnym rządzie, a teraz jej zaciekłego wroga. Rzecz w tym, że ówczesny wicepremier realizował strategię polityczną poprzedniego gabinetu, tworzonego wspólnie przez Ligę i Pięć Gwiazd, którym na dodatek kierował ten sam co obecnie premier – Giuseppe Conte. Na domiar złego, kiedy w marcu 2019 r., jeszcze przed rozpadem tamtej koalicji, po raz pierwszy głosowano w senacie nad niemal identycznym oskarżeniem Salviniego (wtedy chodziło o niewpuszczonych nielegalnych imigrantów ze statku „Ubaldo Diciotti"), wicepremiera skutecznie obronili ci sami senatorowie Pięciu Gwiazd, którzy teraz głosowali za uruchomieniem aktu oskarżenia. Sprawa „Diciotti" jest dziś przywoływana przez wszystkich wrogów radykalnego Ruchu Pięciu Gwiazd jako dowód oportunizmu i braku zasad tej formacji. Przyczynia się to jeszcze bardziej do atrofii tej skrajnej formacji lewicowych „antysystemowców", którzy dwa lata temu wygrali wybory, a teraz utracili więcej niż połowę swoich rozczarowanych zwolenników. Po tegorocznych porażkach w wyborach europejskich i regionalnych szef Pięciu Gwiazd Luigi Di Maio złożył rezygnację z funkcji partyjnych. I coraz wyraźniej widać, iż Ruch – stworzony niegdyś przez komika Beppe Grilla – jest efemerydą na włoskiej scenie i zapewne nie odegra już nad Tybrem żadnej istotnej roli.

Być może za wyjątkiem jednego: Pięć Gwiazd ma wszelkie szanse, aby w nieodległym czasie doprowadzić do destrukcji obecną lewicową koalicję z Partią Demokratyczną, czego niemal pewnym skutkiem stałyby się przedterminowe wybory. Bo choć PD i Pięć Gwiazd to partie o wyraźnie lewicowym światopoglądzie, to faktycznie

eprasa.pl 0aa079c0ec

znajdują się na antypodach, gdy idzie o samo sedno rozumienia polityki. PD – to typowa na Zachodzie „kawiorowa lewica", której politycy od lat tworzą syty i rozsiadły na posadach establishment, chętna zatem do obrony panującego status quo. Pięć Gwiazd zaś to ruch anarchistyczny, tak naprawdę pragnący tylko jednego: odwetu i upokorzenia dotychczasowej elity. Łatwo zatem się domyślić, że rządząca od pół roku koalicja to jedno wielkie pasmo napięć, przybierających niekiedy kształt politycznej komedii. Ostatnio właśnie Di Maio, pełniący teraz urząd szefa włoskiej dyplomacji (notabene jest to młodzieniec po maturze nieznający obcego języka), wezwał w telewizji Włochów, aby ruszyli na manifestacje antyrządowe, po tym jak się okazało, iż PD nie tylko nie zamierza obciąć horrendalnych w Italii emerytur dawnym posłom, ale kombinuje także, jakby odwołać należącego do Pięciu Gwiazd ministra sprawiedliwości, który za punkt honoru wziął sobie przeprowadzenie takiej reformy.

We włoskich mediach panuje więc przekonanie, że upadek drugiego rządu Contego jest rychły, a jakakolwiek inna koalicja, która powstrzymałaby jeszcze na kilka miesięcy marsz Salviniego po władzę, niemożliwa. Nikt też nie ma wątpliwości, iż tylko polityczny cud mógłby jeszcze wywrócić spodziewany wynik wyborów. W najnowszym sondażu instytutu Ipsos Liga wraz ze swoimi dwoma małymi sojusznikami na prawicy ma ponad 50 proc. głosów, co w warunkach włoskiej ordynacji, dającej potężną premię za zwycięstwo, oznacza perspektywę parlamentu absolutnie zdominowanego przez prawicę, z Salvinim jako silnym i mocno legitymizowanym premierem. Owym „politycznym cudem", na który wyczekują wrogowie Salviniego, mogłoby być rychłe skazanie szefa Ligi na karę więzienia, za którym poszedłby zakaz pełnienia funkcji publicznych. Co prawda wygląda na to, że sędziowie są zdeterminowani, aby próbować doprowadzić do takiego cudu, jednak wobec jednego z najbardziej zawiłych i nieczytelnych systemów prawnych, jaki panuje w Italii, wybory i premierostwo Salviniego nastąpi zapewne szybciej niż prawomocne wyroki sądowe. Dlatego też niektórzy sądzą (tak rzecz komentował np. „The New York Times"), iż Salvini powinien się cieszyć z dość nonsensownie brzmiących oskarżeń o „porwanie", gdyż te napędzać mu będą rosnącą liczbę zwolenników.

KORONAWIRUS I „SARDYNKI"

Tymczasem zaś polityczny spór o granice nabrał nieoczekiwanie całkiem nowego wymiaru, po tym jak w Italii pojawiły się oznaki epidemii koronawirusa. Wbrew umiarkowanym środkom bezpieczeństwa podejmowanym jak dotąd przez rząd, Salvini od wielu dni apeluje o zamknięcie granic państwa i wszystkich portów ze względu na ochronę zdrowia Włochów. Po śmierci pierwszych osób zarażonych na terenie Italii przywódca Ligi, z właściwą sobie mocną retoryką, pytał: „Może teraz w końcu ktoś zrozumiał, iż koniecznością jest zamykać, kontrolować, zabezpieczać, blokować i ochraniać?". Obóz władzy reaguje na te żądania oburzeniem moralnym. „To wielki wstyd prowokować podziały polityczne na tle epidemii" – odpowiada szefowa senackiego klubu PD Andrea Marcucci. Ale niewątpliwie epidemia może tylko umocnić przekonanie włoskiej opinii publicznej o konieczności twardszej polityki, gdy idzie o ochronę granic.

> Oskarżenie Salviniego dotyczy wydanego przezeń zakazu wpływania do włoskich portów statków, którymi starali się dostać do Italii nielegalni imigranci z Afryki i Azji

Bodaj ostatnim Włochem, który z prawdziwym entuzjazmem i nadzieją próbuje zatrzymać Salviniego, jest młody 32-letni Bolończyk – Mattia Santori, inicjator i przywódca ulicznego ruchu „sardynek", którego znakiem stał się wizerunek stłoczonych ze sobą kolorowych rybek, mających symbolizować opór zwartego ulicznego tłumu. Santori jest dobrze wykształconym lewicowym inteligentem (po prawie i ekonomii skończonej w Bolonii) i redaktorem profesjonalnego biuletynu poświęconego „zielonemu przewrotowi" w europejskiej energetyce. Jego sukcesem politycznym stało się przeprowadzenie masowych wieców przeciw Salviniemu podczas niedawnej kampanii wyborczej w regionie Emilia-Romania, po których kandydat Ligi minimalnie przegrał wybory z lewicowcem z PD. Teraz Santori, wyraźnie podbudowany swoim sukcesem, stał się swoistym alter ego Salviniego i ze swoimi „rybkami" pojawia się wszędzie, gdzie akurat przyjeżdża Salvini, aby nawoływać do oporu przeciw niemu. A jako że szef Ligi jest bardzo czynny, gdy idzie o polityczne objazdy Włoch (niemal co dzień jest gdzie indziej), włoskie media niemal każdego dnia relacjonują „il duello" (czyli pojedynek) pomiędzy idącym po władzę przywódcą prawicy i jego ostatnim walczącym jeszcze oponentem.

Tak było np. w ostatnich dniach w Pesaro, w regionie Marchii, gdzie Salvini głosił mowę na temat bezrobocia i rynku pracy na centralnym Piazza del Popolo, Santori zaś na sąsiednim mniejszym Piazzale Lazzarini, wraz z 400 „sardynkami" tłumaczył, jak niebezpieczny jest „nowy typ prawicy", stworzony przez Ligę. Taki scenariusz powtarzający się dzień w dzień w kolejnych miastach czyni co prawda politykę włoską w ostatnim czasie bardzo widowiskową. Ale stara i zasiedziała w polityce włoska lewica, choć z pewnym zaskoczeniem i satysfakcją, kibicuje młodemu Mattiemu oraz jego „sardynkom", raczej utraciła już wiarę w zatrzymanie Salviniego. Wydaje się, że bardziej liczy ona na sędziów, którzy co prawda również nie powstrzymają objęcia władzy przez Salviniego, ale nagromadzeniem procesów i wyroków przeciw niemu mogą skutecznie sparaliżować jego przyszłe rządy.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Hit tygodnia

Smartfon Asus ROG Phone II



Czym producenci smartfonów mogą nas jeszcze zaskoczyć oprócz cen, że pozwolę sobie na małą zgryźliwość? Innowacyjnością? A może po prostu produktem, który spełnia wymagania, jakie przed nim stawiamy? I taki właśnie jest ROG Phone II. Wydajny. Aparat ma ekran wielkości 6,6 cala (120 Hz z czasem reakcji 1 ms), procesor Snapdragon 855 Plus o taktowaniu zegara 2,96 GHz, baterię o ogromnej pojemności 6000 mAh, dwa głośniki stereo skierowane do przodu, system z dwiema kamerami wykorzystujący aparat główny z 48 Mpix, dodatkowy szerokokątny aparat z13 Mpix, a także aparat przedni 24 z Mpix. System operacyjny to Android 9.0.

cena: od ok. 3 tys. zł

Plusy i minusy

+ wydajność, pojemność akumulatora, wręcz stworzony dla graczy
– zapewne cena, ale tyle kosztują topowe smartfony



Klawiatura Elgato Stream Deck XL

Elgato Stream Deck XL to dość niecodzienna klawiatura, ale też służyć ma niecodziennym, co docenią zwłaszcza streamerzy i youtuberzy. Elgato Stream Deck XL ma 32 funkcjonalne przyciski, każdy z wbudowanym wyświetlaczem LCD. Dzięki możliwości programowania przycisków każdemu z nich można przypisać najróżniejsze funkcje: pojedynczy skrót klawiszowy, funkcję danego programu lub zestaw różnorodnych akcji. Jedno kliknięcie pozwoli na przełączanie scen, uruchamianie multimediów, dostosowywanie dźwięku, a każda komenda zostanie wizualnie potwierdzona. **cena: ok. 990 zł**

Radioodtwarzacze samochodowe Sony XAV-AX8050D i XAV-1500

Firma Sony poinformowała o wprowadzeniu do oferty dwóch nowych radioodtwarzaczy samochodowych. Modele XAV-AX8050D i XAV-1500 są wyposażone w niezwykle zaawansowane wyświetlacze, a dzięki dużej funkcjonalności zwiększają wygodę użytkowania i bezpieczeństwo jazdy. XAV-AX8050D jest wyposażony w 8,95-calowy, przeciwodblaskowy wyświetlacz z panelem dotykowym, dzięki któremu wybieranie utworu lub sprawdzanie trasy na mapie nie odwraca uwagi kierowcy od sytuacji na drodze. XAV-1500 ma 6,2-calowy, przeciwodblaskowy wyświetlacz dotykowy, wymaga mniejszej siły nacisku i zapewnia lepszą widoczność obrazu. Sam radioodtwarzacz zajmuje mało miejsca, co w połączeniu z ergonomiczną konstrukcją nadaje wnętrzu pojazdu elegancki wygląd. **premiera**





Zegarek Huawei Watch GT2

Wcześniejszy model Huawei Watch GT słynął z długiego czasu działania baterii. W Watch GT2 wyeliminowano niedociągnięcia poprzednika i otrzymaliśmy prawie idealny zegarek sportowy, gdyż powinniśmy pamiętać, że jednak nie jest to typowy smart watch (tu kłaniają się inne urządzenia chińskiego producenta). Co znajdziemy w zegarku? Wbudowany głośnik i mikrofon, funkcję kopiowania muzyki do pamięci zegarka oraz możliwość podłączenia bezprzewodowych słuchawek, przypisanie dowolnej funkcji zegarka do dolnego przycisku, a także dużą liczbę funkcji sportowych. Huawei Watch GT2 jest też wodoszczelny do 5 atmosfer i 50 m. **cena: ok. 900 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 0aa079c0ec



Fot. YMCA

Pomoc z Polski ratunkiem dla Jemeńczyków

Ostrzały i bombardowania, głód, bieda i choroby – to rzeczywistość Jemenu, prawdziwego piekła naszych czasów. Pomoc dla Jemeńczyków płynie m.in. z Polski. O wsparciu dla ośrodka zdrowia w Imran pod Adenem z Krzysztofem Iwińskim, koordynatorem programów zagranicznych w Caritas Polska, rozmawia Anna Raciniewska



Dlaczego powinniśmy interesować się Jemenem i losami jego mieszkańców?

Krzysztof Iwiński: Jemen zasługuje na naszą uwagę ze względu na to, że trwa tam największy obecnie kryzys humanitarny na świecie – większy niż w Syrii, Wenezueli czy Sudanie Południowym. Sytuacja polityczna jest bardzo złożona – Jemen to kraj podzielony na część północną, gdzie władzę sprawuje wspierany przez Iran ruch Huti, oraz południową, kontrolowaną przez rząd w Adenie, uznawany przez społeczność międzynarodową. W drugiej połowie ub.r. na południu pojawiły się dodatkowe komplikacje – różnice zdań pomiędzy rządem wspieranym przez Arabię Saudyjską a zbrojnymi milicjami finansowanymi przez Zjednoczone Emiraty Arabskie. Trzeba tu zaznaczyć, że wcześniej, przez pięć lat trwania konfliktu, Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie były sojusznikami wspierającymi ten sam, powszechnie uznawany przez społeczność międzynarodową, rząd w Adenie. Tymczasem pod koniec ub.r. w Adenie niemal co noc dochodziło do walk pomiędzy siłami wspieranymi przez oba te państwa. Zdarzały się nawet zabójstwa na tle politycznym. Teoretycznie spory zostały załagodzone, ale sytuacja jest nadal dość niepewna. Widać to na ulicach Adenu, gdzie nieustannie zmienia się obsada posterunków i nigdy do końca nie wiesz, kto cię kontroluje ani z kim masz do czynienia.

Może właśnie ze względu na tę złożoność konfliktu Jemen umyka uwadze światowej opinii publicznej. Byłeś w Adenie w grudniu ub.r. Jak żyją Jemeńczycy, z jakimi problemami się zmagają?

eprasa.pl 0aa079c0ec

Wojna domowa w Jemenie trwa od 2015 r. Ze względu na to, że ruch Huti jest wspierany przez Iran, na cały kraj zostały nałożone międzynarodowe sankcje. Wprowadzono blokadę portów, dostęp do lekarstw i żywności, którą Jemen importował, został ograniczony. Po pięciu latach wojny żywności jest na rynku mało i jest ona droga. Poza tym panuje bezrobocie i wielu Jemeńczyków nie stać na jej zakup. Stan zdrowia ludzi, którzy odżywiają się w zły sposób, nieregularnie, jest słaby. Są oni narażeni na liczne choroby, które nie stanowiłyby dla nich zagrożenia, gdyby prawidłowo się odżywiali. Zniszczenia infrastruktury wodociągowo-kanalizacyjnej powodują pogarszanie się warunków sanitarnych, przez co w Jemenie mamy do czynienia z największą we współczesnym świecie epidemią cholery – zarażonych jest już ponad milion osób.

Co jakiś czas media, zwłaszcza społecznościowe, obiegają przerażające zdjęcia wychudzonych Jemeńczyków, przypominające fotografie z obozów koncentracyjnych. Jest aż tak źle?

W Adenie i pewnie w innych dużych miastach jest może inaczej, ale na prowincji i w obozach uchodźców sytuacja jest dramatyczna. Pokazują to dane ONZ, której agendy zajmują się różnymi aspektami sytuacji w Jemenie. Informują, że na 30 mln mieszkańców tego kraju 20 mln potrzebuje pomocy humanitarnej. Dla zachodniego świata to jednak odległy konflikt, w dodatku nie przypominają o nim uchodźcy. Sytuacja w Jemenie różni się bowiem np. od kryzysu w Syrii. Jemeńczycy nie wyjeżdżają ze swojego kraju na taką skalę jak Syryjczycy. Uchodźców wewnętrznych jest blisko trzy miliony, jednak za granicę ludzie nie uciekają. Dlaczego? Po pierwsze, nie mają dokąd. Nie mogą udać się na północ, bo Jemen graniczy z Arabią Saudyjską, która jest stroną konfliktu i dokonuje bombardowań, głównie na północy Jemenu. Na południu jest granica morska, od południowego zachodu są Dżibuti i Somalia – biedne kraje z własnymi problemami, do których nie warto uciekać, bo nie ma tam warunków do zapewnienia uchodźcom odpowiedniej pomocy. Sytuacja Jemeńczyków w maleńkim Dżibuti jest katastrofalna – są tam ich cztery tysiące, żyją w obozie dla uchodźców, ale tak naprawdę jest to wegetacja. Aby zapewnić im możliwości zarobkowania, zrealizowaliśmy wraz z Polską Akcją Humanitarną projekt, w ramach którego zakupiliśmy dla nich łodzie rybackie. Po drugie, trzeba przyznać, że Jemeńczycy niechętnie wyjeżdżają z kraju. Oprócz uwarunkowań politycznych ma na to wpływ także klanowa struktura społeczeństwa. Ludzie najbezpieczniej czują się u siebie, bo wiedzą, że nawet jeśli wokół nich zrobi się niebezpiecznie, to zawsze mogą liczyć na bliższych lub dalszych krewnych, którzy w razie potrzeby przyjdą im z pomocą.

Najlepiej więc pomagać im na miejscu. Jakie są najpilniejsze potrzeby Jemeńczyków i w jaki sposób możemy na nie odpowiedzieć?

Dotyczą właściwie każdej dziedziny życia – zapewnienia żywności, dostępu do edukacji, odbudowy infrastruktury i wielu innych. Natomiast my zajmujemy się pomocą medyczną. Wraz z Polską Akcją Humanitarną podjęliśmy się odbudowy i wyposażenia ośrodka zdrowia w Imran, miejscowości leżącej kilkadziesiąt kilometrów od Adenu. Ta placówka została nam wskazana przez jemeńskie ministerstwo zdrowia. Ucierpiała wskutek bombardowań na samym początku konfliktu i w zasadzie nie funkcjonowała. To dotyczy blisko połowy ośrodków zdrowia w Jemenie. Nie mogą normalnie pracować, bo zostały zniszczone albo nie mają pieniędzy na utrzymanie personelu i zakup lekarstw, albo nie dysponują sprzętem, albo zostały pozbawione dostępu do podstawowej infrastruktury, np. do wody. Rząd nie jest w stanie przywrócić funkcjonowania wszystkich takich placówek i działanie wielu z nich jest zależne od pomocy międzynarodowej. W Imran mieszka ponad sześć tysięcy osób. Przed wyremontowaniem zniszczonej przychodni dostęp do lekarza wiązał się dla nich z poświęceniem dużej ilości czasu i pieniędzy. Chorzy musieli jechać 50 km do Adenu, zapłacić za podróż, wizytę u lekarza, za lekarstwa... Po przywróceniu do życia ośrodka zdrowia na miejscu te wszystkie problemy zniknęły. Przychodnia jest w stanie obsłużyć dziennie ponad 70 osób, zatrudnia personel medyczny zapewniający konsultacje, posiada zaplecze laboratoryjne pozwalające na wykonanie podstawowych badań, wydaje leki. Przez ostatnie pół roku zaszczepiliśmy na cholerę wszystkie dzieci poniżej piątego roku życia, które są najbardziej zagrożone tą chorobą, bo mogą umrzeć w wyniku odwodnienia. To wszystko jest dla mieszkańców dostępne bezpłatnie. W skali lokalnej udało nam się więc poprawić sytuację, choć w skali kraju potrzeby są ogromne.

Skoro przychodnia już działa, to na czym ma polegać dalsza pomoc dla Jemeńczyków ze strony Caritas Polska?

Odbudowa i wyposażenie ośrodka zdrowia w Imran oraz pokrycie kosztów zatrudnienia personelu i zakupu leków były możliwe dzięki wsparciu ofiarodawców i polskiego MSZ, w ramach projektu realizowanego w ub.r. przez Caritas Polska i Polską Akcję Humanitarną. Teraz chodzi o to, aby zapewnić dalsze funkcjonowanie przychodni, bo szkoda byłoby zostawić coś, co zostało przywrócone do życia i działa, poprawiając sytuację wielu ludzi. Potrzebne są środki na zakup lekarstw i szczepionek (m.in. na cholerę i błonicę), wypłaty wynagrodzeń personelu medycznego, stały dowóz wody. To są podstawowe, można powiedzieć oczywiste dla nas kwestie, jednak w Jemenie urastają do rangi problemu, którego rozwiązanie wymaga naszej pomocy.

Jak tej pomocy możemy udzielić?

Caritas Polska apeluje o wsparcie finansowe, które umożliwi placówce działalność do końca 2020 r. Pomóc można, dokonując wpłaty na stronie caritas.pl/jemen, przekazując dowolną kwotę na konto: 77 1160 2202 0000 0000 3436 4384 z dopiskiem JEMEN, lub wysyłając SMS na numer 72052 o treści JEMEN (koszt 2,46 zł z VAT).

eprasa.pl 0aa079c0ec



Jaka jest przyszłość zawodu farmaceuty?

Zawód farmaceuty od wielu lat uważany jest za deficytowy – w Polsce jest ich po prostu za mało. Tak jak absolwenci innych kierunków medycznych masowo wyjeżdżają za granicę w poszukiwaniu lepszego życia

Dlatego tym bardziej niezrozumiała wydaje się polityka prowadzona przez Naczelną Izbę Aptekarską, która może zniechęcić młodych ludzi do wybrania zawodu farmaceuty, a tych, którzy już skończyli studia, przekonać do emigracji. Dlaczego? Ponieważ możliwości rozwoju po uzyskaniu dyplomu i wejścia do zawodu są coraz bardziej ograniczane.

Wydawało się, że prestiż zawodu farmaceuty wzrasta. Dwa lata temu uchwalona została ustawa „Apteka dla aptekarza", która zredukowała nieprawidłowości w aptekach, m.in. wyeliminowała nielegalny wywóz leków za granicę. Teoretycznie wzmocniła też zawód farmaceuty, ponieważ zgodnie z jej zapisami apteki mogą otwierać wyłącznie farmaceuci. Jednak od tamtego czasu liczba nowych aptek systematycznie spada.

Podczas styczniowego Krajowego Zjazdu Aptekarzy została przyjęta kontrowersyjna uchwała, na mocy której farmaceuta lub spółka farmaceutów nie daje rękojmi należytego prowadzenia apteki ogólnodostępnej, która wymagana jest do jej otwarcia, jeżeli przystąpi do sieci franczyzowej. Skoro liczba aptek się zmniejsza, a farmaceutów brakuje, dlaczego pozbawiamy ich możliwości decydowania o przyszłości, tym bardziej że niewielu młodych ludzi stać na otwarcie tzw. niezależnej apteki, bez wsparcia finansowego – a takie dają właśnie sieci franczyzowe. To przecież silny argument za pozostaniem w kraju.

A jak wygląda rzeczywistość? Na mocy ustawy „Apteka dla aptekarza" farmaceuci mogą otworzyć maksymalnie cztery apteki. Wojewódzki lub Główny Inspektorat Farmaceutyczny może wstrzymać pozwolenie na otwarcie pierwszej apteki, jeżeli farmaceuci współpracują z innym podmiotem, m.in. na podstawie wspominanej wcześniej umowy franczyzy. Dzieje się tak, ponieważ wtedy aptekarze nie są traktowani przez Naczelną Izbę Aptekarską jako indywidualni przedsiębiorcy tylko jako sieć, która z kolei nie może otworzyć więcej niż 1 proc. aptek w jednym województwie. Nie dotyczy to jednak aptek należących do programów partnerskich, np. z sieciami hurtowni leków.

Profesor Krakowskiej Akademii im. A. Frycza-Modrzewskiego dr hab. Konrad Kohutek jest zdania, że samorząd aptekarski myli się, twierdząc, że apteka, która podpisuje umowę franczyzy, nie daje rękojmi należytego prowadzenia apteki, a stanowisko takie prowadzi do zredukowania poziomu konkurencji między aptekami w obszarze cen czy dostępności leków dla pacjentów. W dobie dzisiejszych problemów z brakiem dostępu do wielu leków ograniczenie konkurencji może spowodować pogłębianie się tego zjawiska. Nawet z punktu widzenia pacjentów zdrowa konkurencja na rynku aptek jest konieczna do zachowania równowagi rynkowej i różnorodności.

Czy tak przyszłość wyobrażali sobie farmaceuci, kiedy decydowali się na studia? Jeszcze kilka lat temu zawód farmaceuty kojarzył się przecież ze stabilną sytuacją materialną i wysoką pozycją społeczną. A jak jest teraz? Zamiast korzystać z wiedzy i doświadczenia farmaceutów, dać im większą swobodę w wykonywaniu zawodu, na każdym kroku spotykają ich ograniczenia. Zmiany w prawie, za którymi trudno nadążyć, i niezrozumiałe decyzje samorządów aptekarskich nie zachęcają do wyboru tego zawodu.

(BZ)

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0aa079c0ec

Hit tygodnia

Jaguar F-type – następca najpiękniejszego auta świata

To następca Jaguara E-Type: sportowego samochodu produkowanego w latach 1961–1975. W rankingu – brytyjskiego, jakżeby inaczej – „The Daily Telegraph" E-Type zajął pierwsze miejsce wśrod 100 najpiękniejszych samochodów wszech czasów. Czy słusznie? Zdania pewnie byłyby podzielone, ale nie ulega wątpliwości, że auto było wyjątkowe. I na takie też zapowiada się jego potomek, czyli Jaguar F-Type, już teraz można powiedzieć, że to będzie jedna z najważniejszych premier przyszłego roku.

W Europie będą dostępne warianty samochodu z trzema silnikami. Najtańszy z czterocylindrowym turbodoładowaniem o mocy 300 KM, z V6 Supercharged o mocy 380 KM i V8 Supercharged o mocy 450 oraz 575 KM (w modelu F-Type R).



AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Co transportuje się na polskich drogach? Na początku grudnia w Piotrkowie Trybunalskim patrol Inspekcji Transportu Drogowego zatrzymał kilka aut przewożących dość nietypowy ładunek, mianowicie czołgi T-72, które były przewożone z Morąga do Gliwic. Ważyły znacznie więcej, niż dopuszczają normy, kierowcy zaś nie posiadali odpowiednich zezwoleń. Przewożącym czołgi grozi kara do 25 tys. zł od osoby.

Znamy wyniki pierwszej edycji konkursu Car of the Year Polska. W finale znalazło się pięć aut. A jak je ocenili polscy dziennikarze motoryzacyjni? 22 jurorów miało do rozdzielenia 20 punktów, oceniano w skali od 0 do 10.
1. Kia XCeed – 116 pkt
2. Hyundai Kona Electric/Hybrid – 98 pkt
3. Peugeot 208 – 93 pkt
4. Toyota Corolla – 79 pkt
5. Škoda Scala – 54 pkt

Najdroższe auto świata? To miano może przypaść samochodowi Pagani Zonda Riviera wylicytowanemu za 5,5 mln dol. (ponad 23 mln zł) w stolicy Arabii Saudyjskiej Rijadzie. Jest to wyjątkowy pojazd oparty na Zondzie F. z 2005 r., która uległa wypadkowi i została przerobiona przez producenta. Pagani Zonda to supersamochód produkowany przez włoską firmę Pagani. Zadebiutował w 1999 i produkowany był do 2013 r., z produkcją sięgającą 25 egz. rocznie. Jest on jednym z najrzadszych i najbardziej egzotycznych aut na świecie. Nie był sprzedawany w USA, gdyż nie spełniał norm emisji spalin.

Papież Franciszek otrzymał nowe auto. Jest nim Dacia Duster, oczywiście odpowiednio przerobiona pod względem bezpieczeństwa. Auto posiada otwierany dach, który można zastąpić szklaną nadbudówką oraz obniżone o 30 cm zawieszenie. W środku skórzaną tapicerkę zastąpiła materiałowa. Nie wiadomo jeszcze, czy papież przesiądzie się do dacii.

Od 6 grudnia ub.r. weszła ważna zmiana w przepisach drogowych: obowiązkowa stała się jazda na suwak, czyli samochody muszą w odpowiedniej kolejności jechać – naprzemiennie, kiedy co najmniej dwa pasy łączą się w jeden. Do tej pory kierowca, który chciał zjechać z kończącego się pasa, musiał ustąpić pierwszeństwa lub liczyć na przepuszczenie przez innego kierowcę.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 0aa079c0ec

WŁADYSŁAW PIESZKO UCZESTNIK PROGRAMU „SANATORIUM MIŁOŚCI

Jestem specjalistą od kapuśniaku

Cóż mogę powiedzieć. Po takim programie najbardziej smakuje mi miłość. Życie mi smakuje...

Do „Sanatorium miłości" przyjechałem z Jastrzębia-Zdroju, miasta górniczego, do którego zjechali się ludzie z całej Polski. Trafiłem do niego za swoją przyszłą żoną Bogusią. Przeżyliśmy w małżeństwie 39 lat. Po jej śmierci nie mogłem się pozbierać. Do programu zgłosił mnie syn.



Fot. PAT (materiały prasowe)

Nadal mieszkam na Śląsku, choć pochodzę z województwa podkarpackiego. Urodziłem się w Pruchniku, a wychowywałem w leżącej niedaleko Jodłówce, całkiem blisko granicy z Ukrainą. Można powiedzieć: „Pochłodzę od Karguli, panie dziejku, ta od Przemyśla...".

Dziś moja Jodłówka bardzo się zmieniła, chociaż wciąż ma piękne sanktuarium.

Wychowałem się w pięcioosobowej rodzinie. Byłem najstarszym synem i dużo starszym bratem, więc lepiej od rodzeństwa musiałem sobie radzić z codziennymi obowiązkami. Z gotowaniem też.

Smak i danie zapamiętane z Jodłówki to pierogi, pierogi i jeszcze raz pierogi. Pieczone w piekarniku, w zwykłym piecu. Z farszem z kaszy gryczanej. Mało kto robi takie. I jeszcze takie ciasto, jak chleb, tylko w środku nadziane ziemniakami.

Kiedy przyjechałem na Śląsk, musiałem zaakceptować tutejsze jedzenie. A na Śląsku – wiadomo – królują rolado i modro kapusta.

Jeśli chodzi o moje kucharzenie, to nie będę się przechwalał, ale co trzeba, w kuchni zrobię. Wszystkie dania potrafię ugotować, tylko piec już mi się nie chce.

Synowa bardzo lubi robione przeze mnie galaretki drobiowe, ale to trzeba przygotować dokładnie, czyściutko – skórę odrzucić, a mięso pokroić na nieduże kawałki.

Lubię zupy. Takie naturalne, domowe. Rosół gotuję najlepszy. I barszczyk czerwony też. Nie tylko na święta. Jestem specjalistą od kapuśniaku, ale daję sobie radę również z krupnikiem, ogórkową, pomidorówką (oczywiście na rosole), żurkiem... Takie podstawowe zupy. Nie wymyślam ani nie wydziwiam. O, jeszcze na przykład botwinka... bardzo lubię. Gotowana na świeżo jest najlepsza. I ma tyle wartościowych składników, ale też mrożę ją, jak jest sezon, a potem tylko sięgam do zamrażarki.

Albo zupa jarzynowa... Wrzucam do niej wszytko, co mam w domu. Zostało trochę ogórka lub kapusty, idą do garnka. Razem z marchewką, pietruszką, selerem. Oczywiście wszystko pokrojone i gotowane na kostce rosołowej. Na koniec można dodać przyprawy, jakie się lubi, i natkę pietruszki, ale najważniejsza jest podsmażona cebula. To ona daje cały smak. Polecam.

Jolanta Gajda-Zadworna

Żurek domowy

Zakwas można kupić w sklepie. My mamy taki swój, lokalny, sprawdzony. Zupę gotuję na kości wołowej. Kroję do tego ziemniaczki, troszkę marcheweczki, czosnek przede wszystkim i wędzonkę. A jak ktoś wędzonki nie lubi, to można zrobić żurek tylko na rosole. I do tego koniecznie ugotowane jajeczko albo jak ktoś lubi kiełbaskę. Rewelacja.



eprasa.pl 0aa079c0ec

Postny rarytas



Fot. Shutterstock

ANNA MONICKA

Ci, co byli w Grecji, prędzej czy później natknęli się na ten smak. Coś dziwnie znajomego, ale trudnego do zidentyfikowania. W kolorze łososiowym, ale nie łosoś. Wygląda jak dip z twarożku, ale nim nie jest. Pachnie rybą, ale... Gdy ja pierwszy raz dostałam na talerzu to coś, pochłonęłam wszystko, ba wylizałam talerzyk. Potem zaczęłam robić śledztwo, bo chciałam się zmierzyć z tym smakiem w domu.

Taramosalata to tradycyjna grecka przystawka, meze. Dar Posejdona, a właściwie to, co zostało z uczty bogów po wypatroszeniu i zgrillowaniu daru. Jej podstawą jest bowiem ikra. Dorsza lub karpia. Osolona.

Ikra jest dobra sama w sobie. Ta bardziej szlachetna, z jesiotra, czyli bieługi, bije na głowę większość ekstrawaganckich dań. Zawsze myślałam, że najdroższy kawior pochodzi z Rosji, tymczasem okazuje się, że gdy pozyskiwaniem ikry z bieług zajęli się Irańczycy, cena rybich jajek podskoczyła – puszeczka 100 gramów (no dobra, złota, to fakt) kosztuje 5 tys. Nie, nie złotych. Dolarów. Dla porównania – cena baryłki ropy (to też lokalny specyfik) wahała się 25 lutego od 49,90 dol. w Nowym Jorku do 56,30 dol. w Moskwie. Przy czym „baryłka" waży zdecydowanie więcej niż beczka śledzi. 1 baryłka = 159 litrów. Nie wnikając dalej w szczegóły, sami widzicie, że ikra to towar ekskluzywny.

Grecy wszakże mają to w nosie. Ikrę (100 g) mieszają z namoczonym w wodzie czerstwym białym chlebem (po uprzednim odkrojeniu skórki), odciśniętym, startą na tarce małą cebulką, mnóstwem soku z cytryny, oliwy i ząbkiem czosnku. Miksują wszystko na gładką pastę o konsystencji naszego majonezu. Podają różnie – mnie najlepiej taramosalata smakuje na chrupiącej bagietce, greccy smakosze podają ją z płatkami pieczonego karczocha.

Środa Popielcowa za nami, w kuchni zaczyna rządzić śledź i inne ryby. Warto może poszukać takiego z beczki albo przy okazji popytać o to, co większość z was wyrzuciłaby do śmieci wraz z flakami, o ikrę. Z solonej śledziowej zrobimy podobną pastę do pieczywa, można też przyrządzić pyszną i zdrową sałatkę z cebulką, cytryną i oliwką.

Świnki z Osławy



Fot. Shutterstock

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wędrówki łososi w górę rzek, kiedy niezliczone, piękne, wielkie ryby płyną niepowstrzymanie pod prąd, by wziąć udział w tarle w kamienistym, wartkim nurcie, w którym same przyszły kiedyś na świat, znane nam są raczej tylko z filmów przyrodniczych. Od czasów, kiedy wybudowano zaporę we Włocławku na Wiśle, ryby nie mogą już wędrować w górę rzek na tarło, co wraz z zanieczyszczeniami przyczyniło się do niemal całkowitego zaniku łososi, jesiotrów, węgorzy czy cert w polskich wodach.

Ten przepiękny spektakl przyrody można jeszcze obserwować w Polsce w przypadku innego gatunku: ryby świnki *Chondrostoma nasus*. Świnka jest smukłą, srebrzystą rybą o lekko pomarańczowych płetwach i pyszczku, który najlepiej określa słowo „nochal". Zamieszkuje wody podgórskie i górskie. Największe, rekordowe okazy dorastają kilkudziesięciu centymetrów długości ciała i masy przeszło dwóch kilogramów; tak duże świnki są jednak rzadkie. Odżywiają się drobnymi bezkręgowcami, w tym kiełżami i larwami chruścików. Ich pożywieniem są także glony, obgryzane z powierzchni podwodnych głazów – kiedy nabędzie się trochę doświadczenia, można wypatrzyć błysk spod powierzchni świadczący o obecności tych ryb – świnki, gdy żerują, często charakterystycznie przechylają się na bok, błyskając srebrną łuską.

I właśnie świnki są głównymi aktorkami niezwykłego widowiska, wcale nie mniej atrakcyjnego niż sceny z telewizyjnych filmów przyrodniczych, tym bardziej że odbywa się ono w polskich rzekach. Każdego roku około kwietnia tysiące świnek zbierają się w stada i zaczynają płynąć, by dać życie nowemu pokoleniu ryb. Widok mnóstwa ryb podążających płytkimi rzeczkami przywodzi na myśl wspomnienie rybności naszych rzek, kiedy stanowiły jeszcze dla naszych przodków istotne źródło pożywienia.

Kiedyś świnki były znacznie liczniejsze. Zanim wybudowano zaporę w Solinie, największe stado świnek wędrowało na tarliska w górę Sanu. Od kiedy San został przedzielony zaporą, świnki nie mogą już docierać do jego źródlisk. Znacznie zmniejszone stado wędruje jeszcze w górę lewobrzeżnego dopływu Sanu – rzeki Osławy – dając nam wspaniały, przyrodniczy spektakl, a jednocześnie będąc świadectwem wrażliwości ekosystemów na nasze nieprzemyślane działania.

eprasa.pl 0aa079c0ec

Tuskumusisz Drugi Wściekły



Wróżbici mówią, że będzie blisko, może nawet o włos albo dwa włosy. Że mobilizacja i współdziałanie mieszkańców Śródziemia zdecydują, czy prezydent wygra prezydenckie drugie życie w zmaganiu ze zmasowanym atakiem orków nadbiegających ze wszystkich stron.

Kto jednak poprowadzi owe zastępy? Permanentna katastrofa w castingu na lidera opozycji wreszcie dochodzi do punktu, do którego dojść musiała. Od lata zapowiadany, zapraszany i wybłagany Tuskumusisz wreszcie wraca – w swojej nowej wersji. Wraca na ziemię wypaloną przez opozycyjną niemoc, brak pomysłów i osobowości. Nie wiem, czy były zatwierdzane przez György Sorosa kolejne tuzy antypisizmu, ale pewnie w ich upadku miał jakiś swój udział węgiersko-żydowsko-amerykański inżynier wszechświata. Pewnie leciutko popchnął paluszkiem uzbrojonym w sygnet z cyrklem i w ten sposób pomógł politycznie odejść Wielkim Pomyłkom, które zwą się: Komorowski, Kopacz, Schetyna, Petru, Lubnauer, Biedroń...

Drugie prezydenckie życie Andrzeja Dudy będzie jak spalenie pierścienia w ogniu Mordoru, wujek Sauron straci nad Śródziemiem władzę

Dziś, jak rozumiem, drogi György uznał, że nie wystarczy pompować kasę w „Gazetę Wyborczą", Fundację Batorego, LGBTQ Tolerado, Queerowy Maj i dziesiątki innych sekt rozwalających społeczną strukturę Polaków. Dziś potrzebna akcja bezpośrednia, bo na łeb na szyję lecą akcje miłej, ale gamoniowatej Kidawy-Błońskiej i zbyt kopertolubnego Grodzkiego, rezerwowy Hołownia zbyt długo miłośnie patrzy w lustro, by zdołał zauważyć świat wokół, a Borys Szczękościsk Budka ma takie szanse na porwanie serc Polaków, jak jego sobowtór i ideowy dziadek Gomułka Władysław. Dlatego zatroskany György odwołuje z leżaka Donalda Tuskumusisza, wyjmuje mu cygaro z buzi i każe ratować rządy terrolancji w znowu wolnościowo rozbrykanej Polsce.

Mój ulubiony bohater tej kreskówki Donald Tuskumusisz wkracza więc do akcji. Wersja 2.0. Wiele razy przestrzegałem przed lekceważeniem tego osobnika, traktowaniem go jako haratającego w gałę luzaka, lenia i sybaryty. Wdzięcznie sepleniący Donek zgrabnie odgrywał rolę uroczego nieszkodliwca, a okazał się najbardziej szkodliwą postacią III RP. Tym groźniejszą, że sympatyczniejszą w obcowaniu niż perwersyjnie cyniczny Urban i skuteczniejszą niż bezradny w swym zacietrzewieniu Michnik.

Kilkanaście lat temu Tuskumusisz uwiódł miliony Polaków. Udawał Dyzmę, a działał jak sprawny egzekutor interesów niemieckich koncernów. Długo udawało mu się udawać premiera i polityka, z ogromną szkodą dla Polski i Polaków. Dla naszej gospodarki, finansów, interesów strategicznych, kultury, politycznego obyczaju, mentalności, wzajemnych relacji. Uderzę w duży dzwon: wyłączając zbrodniarzy, wśród polityków nie było bardziej szkodliwego dla polskiej wspólnoty Polaka w XX w. niż właśnie ten pan. Potem pojechał na długie leżakowanie z cygarem w zębach, gdzie udawał ważnego urzędnika w sekretariacie cesarzowej berlińskiej. Dziś cesarzowa słabnie, a nawet brukselska kamaryla ma granice tolerancji dla oczywistych szkodników. Tuskumusisz musiał więc zmykać. Właśnie mości sobie nowe miejsce. I wraca do Polski. Czy jest równie groźny jak kiedyś?

Oto dziadek György i kręgi uważające się za właścicieli III RP zrozumieli, że już nie ma czasu na kolejne eksperymenty i wynalazki. Że Tuskumusizm musi. Więc zwlókł się z szezlonga i jest. W wielkim natężeniu intelektu i styku wymyślił, że finansowanie mediów publicznych to „wydawanie na nowotwór zamiast na onkologię". Co prawda on jako premier na onkologię wydawał znacznie mniej niż PiS, ale przecież wyborca ma pamięć pantofelka. A media publiczne winny szczeznąć, by 100 proc. władzy nad umysłami Polaków miały arcyobiektywne TVN, RMF, „Wyborcza" i „Newsweek".

Ale jednak jest w Tuskumusiszu Drugim nowy ton. To wściekłość. Była i dawniej, ale teraz jej grymas widać na twarzy o wiele wyraźniej. Tuskumusisz Pierwszy był sprytny, cwany, przebiegły. Wdzięczył się, kluczył, mamił. Tuskumusisz Drugi nie ma już tej cierpliwości i sprytu. Chce szybkiego rezultatu, sukcesu w niszczeniu pisizmu, unieważnieniu wyboru Polaków, odzyskaniu Polski dla kolegów wujka S. Tuskumusisz Pierwszy Cwany miał w oku lisi plan – wyprowadzania z kurnika wszystkiego, co się da, jednocześnie nieustannie przymilając się do gospodarza. Tuskumusisz Drugi ma w oku irytację, wściekłość, niecierpliwość, ale i przerażenie. Wie, podobnie jak jego kamraci, podobnie jak wujek György, że Polska naprawdę wymyka im się z lepkich łapek. Że drugie prezydenckie życie Andrzeja Dudy będzie jak spalenie pierścienia w ogniu Mordoru, wujek Sauron straci nad Śródziemiem władzę. Amen.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 0aa079c0ec

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zbliża się COVID-19



www.wojciechreszczynski.pl

Można się lękać choroby, ale nie wolno wpadać w panikę. Dobrze, że będzie sejmowa debata, dobrze, że do pracy szykują się nowe laboratoria

Prośba prezydenta Andrzeja Dudy do marszałek Sejmu Elżbiety Witek o szybkie zwołanie specjalnego posiedzenia Sejmu w sprawie zagrożenia koronawirusem to dobra i oczekiwana decyzja. Powszechna i wszechstronna informacja rządu na ten temat, zapytania posłów o przygotowanie państwa na stan ewentualnej epidemii potrzebne są po to, aby uniknąć paniki, w tym masowego wykupu produktów żywnościowych, jak to się dzieje we Włoszech. Poza tym dotychczasowe uspokajające zapewniania rządu, a szczególnie Głównego Inspektoratu Sanitarnego, że „jesteśmy przygotowani", nie są w pełni wiarygodne, gdyż w aptekach nie ma maseczek ochronnych ani nie ma zapowiedzi ich szybkiego zakupu. Trudno się też zgodzić z opinią szefa GIS Jarosława Pinkasa, który bagatelizuje problem, twierdząc, że maseczki winni nosić tylko zakażeni wirusem oraz służba medyczna. Jeżeli wirus dostaje się do organizmu drogą kropelkową, to dlaczego profilaktycznie nie należy zasłaniać ust maseczkami, które odcinają drogę do wnętrza organizmu, a więc do płuc. Potrzebne są zatem nieskrępowane niczym pytania i równie otwarte odpowiedzi specjalistów.

Jako profan mam kilka takich pytań po miesięcznej obserwacji internetu. Chińczycy wyposażeni w telefony kręcą i wysyłają w świat filmy o polityce chińskich władz sanitarnych, medycznych, policyjnych i porządkowych, narażając się na represje, gdyż tego typu działalność jest tam zakazana i obwarowana sankcjami finansowymi oraz więzieniem. Czy prawdą jest, że koronawirus utrzymuje się w powietrzu, dlatego ulice chińskich miast poddawane są opryskiwaniu jakimś specjalnym środkiem, jakby gęstym dymem? Dlaczego drony wyposażone w głośniki nakazują ludziom zakładanie masek, a patrole policyjne wyłapują ludzi na ulicy, wyciągają z samochodów, jeżeli zauważą, że ich twarze nie są chronione maseczkami? Apokaliptyczne sceny z Chin mogą przerażać. Tamtejsze władze podejmują wyjątkowo drastyczne działania. Na przykład potrafią zaspawać drzwi wejściowe do wieżowca po to, aby skazani na przymusową kwarantannę mieszkańcy domu nie wychodzili. Umierają więc bez pomocy z zewnątrz. Zaopatrzenie podawane jest w pojemnikach wciąganych na linach. Ci, którzy zdecydowali się uciekać przez balkony, najczęściej kończą życie na dole. Zabronione jest przebywanie rodzin we wspólnym pomieszczeniu, a nawet wspólna gra w bardzo popularnego w Chinach madżonga. Krótki amatorski filmik pokazuje, jak strażnicy społeczni, z czerwonymi opaskami na prawym ramieniu, rozbijają stolik do gry w madżonga i biją pałkami rodzinę, która schroniła się w garażu. Inny obraz pokazuje młodą Chinkę, która prosi policję o zgodę na przejście przez most. Kiedy jej odmawiają, zdesperowana skacze do rzeki.

Z furią rozbijane są miejscowe stragany, na których biedniejsi mieszkańcy Wuhan dokonują codziennych zakupów. Najprawdopodobniej to te właśnie stragany są wylęgarnią wirusów, bakterii i centrum epidemii. Bo Chińczycy tradycyjnie jedzą wszystko, co się rusza: węże, nietoperze, ptaki, mrówniki, pancerniki i jeszcze się tym chwalą, jak pewien młody Chińczyk, który nagrał siebie telefonem, jak odgryza i połyka głowę wielkiej żywej ropuchy. Najgorsze jest jednak jedzenie żywych, niesmażonych czy ugotowanych stworzeń, które zawierają w sobie zalążki wielu chorób. Na przykład wspomniane pancerniki potrafią zarażać ludzi trądem.

Są też w internecie nagrane sceny trudne do zrozumienia. Jak ta, gdy kamera w jednej z wind pokazuje starą Chinkę, która najpierw pluje na swoje dłonie, a następnie przeciąga tymi dłońmi przyciski w windzie. To samo w innej windzie wieżowca z kamerą – stary Chińczyk, także najprawdopodobniej zarażony, pluje na tablicę z przyciskami do poszczególnych pięter. Sfilmowanych z ukrycia scen z chińskich szpitali nie jestem w stanie opisać.

Nie wiemy, jak wielka okaże się pandemia koronawirusa o nazwie COVID-19. Wciąż niewiele o nim wiemy. Będzie niedobrze, jeżeli okaże się prawdą informacja, że okres wykluwania się choroby może trwać nawet 27 dni, a pierwsze dni od zarażenia nie wykazują objawów choroby. Powtarzam te niesprawdzone informacje nie po to jednak, aby straszyć. Można się lękać choroby, ale nie wolno wpadać w panikę. Dobrze, że będzie sejmowa debata, dobrze, że do pracy szykują się nowe laboratoria diagnostyczne, dobrze, że działa już infolinia – tel. 800 190 590, gdzie można szukać pomocy i zadawać ważne pytania. Warto też śledzić stronę internetową Głównego Inspektoratu Sanitarnego i stosować się do zaleceń, jakie tam podają. Podróżni winni śledzić adresy – gov.pl/koronawirus oraz gis.gov.pl

eprasa.pl 0aa079c0ec

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Ekologia mózgu



Aleksander Nalaskowski

Jeden z moich znajomych, znakomity profesor medycyny, a przy tym człowiek o ogromnej wiedzy, nazwijmy humanistycznej, co u medyków nie jest bynajmniej aż tak powszechne, zwrócił mi uwagę na pewien aspekt rzeczywistości, który poniżej opisuję.

Wiele naszej uwagi zajmuje kwestia naturalnego środowiska życia człowieka. To sprawa jakości powietrza, globalnego ocieplenia, wycinki drzew, sposobu pozyskiwania żywości, wody, zdrowia, relacji człowiek–zwierzę, wytwarzania energii, wydobywania surowców etc. Tymczasem w nauce coraz częściej mówi się już o ekologii ludzkiego życia, czyli o tym, co naturalne, nie tylko w naszym wymiarze somatycznym, cielesnym, lecz także społecznym czy psychologicznym. Jeśli spojrzeć by na to, co nas otacza, a w zasadzie osacza, nie tylko jako układ oddechowy, trawienny, to naszą reakcją może być tylko przerażenie i chęć ucieczki stąd, z tego życia, z tej rzeczywistości. Tyle że nie ma dokąd. Stopień toksyczności naszego otoczenia psychologicznego jest daleko bardziej niszczący niż efekt cieplarniany, smog, hałas i nowotwory razem wzięte. Jesteśmy producentami toksyn o niespotykanym dotąd stopniu rażenia i skuteczności. Żyjemy w jakimś umysłowym hiperobozie koncentracyjnym, w którym już dość wyraźnie zarysowuje się podział na więźniów i kapo.

Nie tylko oddychamy czy jemy, lecz również myślimy, pamiętamy, tworzymy, mówimy, spostrzegamy, analizujemy, oceniamy. Tym samym ustawicznie ingerujemy w otoczenie umysłowe i emocjonalne swoje i innych. Czynimy je mniej lub bardziej znośnym, przyjaznym, zdrowym czy chorym. Tym wymiarem naszej działalności prawie nikt się nie zajmuje. Jesteśmy wobec niego beztroscy, ignorujemy go, z dnia na dzień czynimy bardziej patogennym.

Od rana telewizja w swych rozmaitych wcieleniach właścicielskich katuje nas politycznymi kłótniami, w których aż kipi od złych emocji czy zwykłego jadu. Czy jazgot wrzeszczących jednocześnie uczestników programów publicystycznych jest w istocie dla nas mniej szkodliwy niż pestycydy? Z takich wrzasków nic nie wynika, ale emitują one do naszej umysłowej atmosfery potężne chmury trujących spalin emocjonalnych.

Codziennie słyszymy polityków, ale nie tylko, kłamiących nam w żywe oczy, manipulujących faktami, sprzeniewierzających się własnym ideom. Pochłaniamy to jak gąbka wodę, ignorujemy, bo już dawno uznaliśmy za normę. Przecież każdy może wybrać. Kanaliostwo jest więc tak samo normalne jak miłość czy przyzwoitość. Czy to jest naprawdę odruch zdrowego umysłu? Czy traktowanie serio Kidawy-Błońskiej, Hołowni, Kosiniaka-Kamysza, a zwłaszcza Biedronia czy Bosaka jako kandydatów na prezydenta RP nie świadczy o wykoślawieniu mózgu czy nabytej deformacji umysłowej?

Czy naprawdę tylko to, czym oddychamy i co wytwarzamy, ma wpływ na nasze zdrowie, które – najkrócej rzecz ujmując – jest pewną normalnością ludzkiego funkcjonowania? Przecież presja emocjonalna, której jesteśmy ustawicznie poddawani, począwszy od reklam, a na kampaniach politycznych kończąc, to nasza długotrwała, codzienna i konsekwentna lobotomia czyniona agresywnie i w złych intencjach. Jak możemy być zdrowi umysłowo, jeśli obok apeli o naturalną hodowlę zwierząt czy o utrzymanie naturalnego składu atmosfery, słyszymy postulaty o zadekretowanie homoseksualizmu jako równie naturalnego i normalnego jak chlorofil.

Jeden z moich znajomych, jeszcze pół roku temu baczny obserwator i niekiedy uczestnik życia politycznego, oznajmił mi przed paroma dniami, że od wielu tygodni całkowicie stracił zainteresowanie sprawami publicznymi. Jak wyjaśnił, nie miał już siły na to. Nie ogląda telewizji, przestał kupować gazety i wchodzić na portale informacyjne w internecie. Gdy to przemyślałem, to wniosek mógłby być tylko jeden – jego funkcjonowanie załamało się pod wpływem skażenia otoczenia umysłowego. Nie wiem, czy to silne zatrucie, czy już otrucie bytu, ale wiem, że nie jest on jedyny. Co gorsza, odnoszę wrażenie, że objawy tego schorzenia zaczynam dostrzegać również u siebie.

Pod wpływem agresji, która nas otacza, stajemy się agresywni, pod wpływem kłamstw stajemy się tolerancyjni dla fałszu i sami kłamiemy, pod wpływem idiotyzmów i absurdów stajemy się pomału absurdalnymi idiotami, pod wpływem otaczającej nas bezwzględności nie przebieramy w środkach. Prawie nic nie jest już dla nas ważne. Wierzymy we wszystko i dlatego w nic już nie wierzymy. Obrażamy innych, bo na co dzień jesteśmy obrażani. O depresji mówimy jak o przeziębieniu, własnej bezradności nauczyliśmy się na pamięć. Ale to tylko przedostatnie stadium tej choroby. Ostatnim jest długotrwała agonia. To frustracja, apatia, zachowania ucieczkowe i utrata wiary w sens życia czy samoizolacja od ludzi. Bo nie tylko nasze ciało potrzebuje dobrej otuliny istnienia, lecz nade wszystko nasz mózg. Tylko o tym prawie w ogóle nie rozmawiamy. Może kiedyś uczynimy powietrze czystszym, ale na pewno oddychać nie będzie nim już nikt normalny.

eprasa.pl 0aa079c0ec

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Oligarchowie – tekst profilaktyczny



Witold Gadowski

Właściwie piszę ten tekst nieco na wyrost, profilaktycznie. Gdyby komuś w obozie władzy chodziła po głowie myśl, że nadszedł już czas, aby „wyhodować sobie własnych oligarchów", to spieszę donieść, że lepiej by było, aby ktoś taki w ogóle się w Polsce nie narodził.

Sprawowanie władzy w oparciu o „własnych oligarchów" jest żałosnym przyznaniem się do porażki i całkowicie skieruje Polskę w azjatyckie rejony cywilizacji – Gumilow napisałby pewnie, że to „stepowienie cywilizacji". Gdyby takie PiS chciało mieć własnych oligarchów, to albo musiałoby ich sobie podkupić z obozu kompradorów, albo też będzie musiało stworzyć sobie własnych. Oczywiście PiS mogłoby podkupić np. Solorza, ale kto by zaręczył, że byłby to ich miliarder? Rzecz jasna można stworzyć nowego oligarchę, napakować mu do kieszeni rozmaitych budżetowych pieniędzy, ale kto zaręczy, że taka utuczona kreatura nie odwróci się od swoich karmicieli, gdy ci utracą przymioty władzuchny. Najpewniej ułoży się z nową władzą i tyle pozostanie z „inwestycji". Warto bowiem pamiętać, że instytucja oligarchów występuje w nierozłącznej parze z instytucją służb specjalnych, i to takich, które mają swoją siłę i zdolności utrzymywania bogaczy w karnym szeregu. Nie są to jednak służby państwowe, jeno służby własne, które państwo posiadają, a nie na odwrót. Kremlowskie lub pekińskie wzorce są tu najlepsze. Brykających bogaczy, którzy nieopatrznie uwierzyli w siłę swoich miliardów, szybko śle się na Kołymę albo skraca o głowę, patrosząc przy tym z drogocennych organów, które zyskownie można sprzedać.

A u nas? Gdzie go ześlą? Do Pierdziszewa Dolnego? Nasze służby potrafią narobić grubo gryzmolonych intryg, ale żeby komuś wpakować ołowianą tabletkę w łepetynę... O takich numerów to u nas nie gra się na pewno. Tak więc, jeżeli któremuś z politykierów przypadkowo pozostających u władzy marzy się posiadanie własnej stajni oligarchów, to spieszę mu donieść, że nawet się nie obejrzy, a stanie się kliencikiem takiego bonzy, który łaskawie poda mu czasem ochłapek. Władza nie jest wieczna, a dobre jej sprawowanie to sztuka, której z żadnego podręcznika się nie nauczycie. PiS może zwyciężać jedynie ideowością i konsekwencją w stosowaniu ideowych przykazań w praktyce. Jeśli wejdziecie w buty poprzedników – skończycie jako smutne pudle tresowane przez rozbestwionych nuworyszy.

Demokracja, czyli rządy większości



Lech Makowiecki

Demokracja to taka forma ustroju politycznego państwa, w którym uznaje się wolę większości obywateli jako źródło władzy. Rządzenie krajem jednorodnym tożsamościowo jest w miarę proste: wspólny świat wartości pozwala na szybsze określanie celów i zgodne uchwalenie środków na ich realizację. W przypadku państw wielonarodowych osiągnięcie konsensu między poszczególnymi nacjami jest trudniejsze, wymaga wzajemnych ustępstw i wielu lat tzw. docierania się. Czasem to się udaje (przykład asymilacji polskich Tatarów), czasami kończy ludobójstwem (vide: rzeź wołyńska). Dlatego tak ważna jest rozsądna polityka migracyjna i wspieranie rodzimej demografii.

Kraj, w którym np. islamscy imigranci zdominują liczebnie gospodarzy, będzie (zgodnie z zasadami demokracji) należał do nich. I to oni narzucą tu swoje prawo, wiarę i obyczaje! Jeśli w ich kodzie kulturowym zbraknie miejsca na unijną „tolerancję" afirmującą wszelkie dewiacje i bezrozumne „wolności", dla tubylców nie będzie żadnej taryfy ulgowej. Feministki wdzieją burki, pacyfiści zostaną siłą wcieleni do wojska, dzieci będą uczyły się w szkołach Koranu, „niewierni" zostaną poddani represjom, a fanów LGBT spotka kara chłosty lub śmierć. I to będzie aż do bólu DE-MO-KRA-TY-CZNE. Dlatego w obronie prawa do własnego stylu życia ludzie od zarania dziejów chronili granice swego kraju, gotowi polec w ich obronie. Gdy z jakichś powodów przestawało im na tym zależeć, ginęli lub popadali w niewolę. Jeśli wkrótce Polacy uznają en masse, że nasza dekalogowa tradycja jest już passé, i w kolejnych wyborach zrezygnują z polskości na rzecz płynięcia w głównym unijnym nurcie, trzeba będzie ten wybór uszanować. I skwitować na odchodne:

[...] Więc wywieszczę ci przyszłość, oczy twe otworzę:
Polskę widzę ogromną – od morza do morza,
A w niej lud bogobojny... Prawią coś dziwnego:
„Bóg jest wielki! Mahomet jest prorokiem Jego"...

eprasa.pl 0aa079c0ec

Wyklęci



Alina Czerniakowska

Już 10 lat obchodzony jest 1 marca Dzień Żołnierzy Wyklętych. Data ta została zaproponowana nieprzypadkowo przez niezapomnianego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej Janusza Kurtykę, który zginął pod Smoleńskiem w 2010 r. Właśnie 1 marca 1951 r. w warszawskim więzieniu na Mokotowie po pokazowym procesie zostało rozstrzelanych siedmiu oficerów Wojska Polskiego z niepodległościowego IV Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość na czele z płk. Łukaszem Cieplińskim. Warto przytoczyć jeden z jego grypsów pisanych w celi śmierci do żony i trzyletniego syna: „Odbiorą mi tylko życie, a to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę Niepodległą i szczęśliwą. Jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość. Wierzę dziś bardziej niż kiedykolwiek, że idea Chrystusowa zwycięży i Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona. To moja wiara i moje wielkie szczęście. Gdybyś odnalazł moją mogiłę, to na niej możesz te słowa napisać. Żegnaj, mój ukochany. Całuję i do serca tulę. Błogosławię i Królowej Polski oddaję. Ojciec (20 I 1951)”.

Czy tacy ludzie mogą dziś być wzorem dla młodych pokoleń, dlaczego stali się tak bardzo niewygodni w dobie mody na liberalizm, życia bez zasad, w Europie i świecie oddalającym się od chrześcijańskich korzeni, honoru, waleczności? O co chodziło wszystkim tym, którzy po wojnie nie pogodzili się z sowieckim zniewoleniem, nie kolaborowali, nie układali się z komunistycznym rządem pod kuratelą Moskwy? Czy było to powstanie antykomunistyczne? Jaki miało charakter? Ile tysięcy zdecydowało się na walkę do końca z wrogami narodu polskiego? O tym można było posłuchać 20 lutego w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki – Przystanek Historia. Wymienię wszystkich występujących, bo są to wybitni fachowcy, warto odnajdywać ich na portalach IPN, czytać i słuchać: dr Jarosław Szarek, prezes IPN, dr hab. Krzysztof Szwagrzyk, wiceprezes IPN, dr hab. Filip Musiał, dyrektor Oddziału IPN w Krakowie, dr Tomasz Labuszewski, naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie, dr Wojciech Frazik, IPN Kraków, Jacek Pawłowicz, dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych, dr Paweł Skubisz, dyrektor Oddziału IPN w Szczecinie. Dobrze, gdyby TVP we współpracy z IPN przekazywała tę wiedzę w świat, bo nareszcie musi wybrzmieć czytelnie na wschodzie i zachodzie, że w 1945 r. dla polskich bohaterów, tych najdzielniejszych, nie zakończyła się wojna. Poszedł jeden okupant – niemiecki, a przyszedł drugi, ze wschodu, razem z armią sowiecką i NKWD.

Pokazuje to wystawa IPN przy ul. Strzeleckiej 8 w Warszawie na Pradze, gdzie mieściło się pierwsze więzienie NKWD. Stalin szczególnie bał się Polaków, bo wiedział, że nas trudno ujarzmić. Zbudował więc misterną siatkę bezpieki: NKWD, KGB, Czeka. Tajni agenci byli praktycznie wszędzie, nawet wśród ministrantów, a wszystkie najważniejsze stanowiska obsadzone zostały zaufanymi ludźmi lub zwerbowanymi kolaborantami. Cała Polska naszpikowana była siatką szpicli, donosicieli, urzędami bezpieczeństwa nawet w najmniejszych miejscowościach. Wystarczyło ledwie podejrzenie, a człowiek taki znikał bez śladu.

Zaraz po wejściu frontu radzieckich wojsk na ziemie polskie rozpoczęły się aresztowania, łapanki, niedawne niemieckie więzienia zapełniły się polskimi patriotami – Rotunda Zamojska, Zamek Lubelski, wszędzie zwozili podstępem wziętych akowców, których werbowali na rzekomą wspólną walkę z Niemcami, a gdy Polacy się ujawniali, natychmiast byli aresztowani lub po prostu rozstrzelani. Żołnierze frontowi, powstańcy Warszawy, partyzanci, prześladowani właściciele ziemscy, synowie tzw. kułaków, utworzyli różne struktury konspiracyjnego do walki z najgorszym wrogiem, bo ukrytym pod hasłami przyjaźni polsko-radzieckiej i wzajemnej współpracy.

Losy tak wielkich bohaterów, jak gen. Fieldorf, rtm. Pilecki, kpt. Sojczyński, pokazują jasno, dlaczego zostali aresztowani, zamordowani, o co walczyli. Ginęli bestialsko mordowani Polacy, którzy nie chcieli żyć w sowieckim kłamstwie pod rządami Kremla. Nil, Łupaszka, Inka, Żelazny, Uskok, Ogień, Warszyc, Burta i inni – zdradzeni, zamordowani po okrutnych torturach fizycznych i psychicznych. Szalała komunistyczna zbrodnicza bezpieka, zamykali do prowizorycznych aresztów całe miejscowości, zabierając im dobytek, fałszywie oskarżali, zohydzali, niszczyli fizycznie i psychicznie według wyrafinowanych zbrodniczych metod sowieckich.

Żołnierze konspiracyjni robili zasadzki na wojska KBW, NKWD, odbijali więźniów i organizowali akcje zbrojne, by odzyskać skradzione przedmioty, żywność, zboże, zwierzęta, a potem to wszystko zwracali właścicielom obrabowanym przez ubeków. Władza organizowała pokazowe procesy, by siać postrach wśród ludności, na zasadzie – popatrz, co cię czeka, jak będziesz się sprzeciwiać władzy ludowej. Wystarczy poczytać o najważniejszych szefach urzędów bezpieczeństwa i ich sowieckich mocodawcach, by mieć jasność, kto dzisiaj polskich bohaterów, największych patriotów, nazywa bandytami.

Znając prawdę, mając wiedzę, można sobie wyrobić właściwą opinię na temat działania propagandy komunistycznej, dzisiaj również skutecznie stosowanej przez niektóre partie i media antypolskie.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 0aa079c0ec

Wieloryby a polska nauka



Jerzy Jachowicz

Uniwersytet Warszawski popularyzuje wiedzę o świecie współczesnym. Niedawno ta zasłużona uczelnia zorganizowała otwarty dyskusyjny panel naukowy „Bez hipokryzji o roli nauki w postępie ludzkości", z udziałem dwóch znanych profesorek tego uniwersytetu.

Oto fragmenty nadzwyczaj pouczającego spotkania.

– W rodzinach, w których dzieci wychowują matka i ojciec, a więc w rodzinach heteroseksualnych, często pojawia się przemoc. A to znaczy, że mamy do czynienia z patologiczną rodziną. Nie słyszałam o przemocy w rodzinach homoseksualistów bądź lesbijek – rozpoczęła debatę o prądach zmian cywilizacyjnych prof. Magdalena Środa.

– Na razie nie ma na ten temat dokładnych badań porównawczych. Wystarczy jednak porozmawiać z działaczkami stowarzyszeń feministycznych, by potwierdzić tę ważną różnicę – włączyła się do dyskusji druga uczestniczka panelu, prof. Monika Płatek.

Po pierwszych drażliwych sprawach, jak często w takich otwartych spotkaniach bywa, dyskusja zboczyła na udział środowisk homoseksualnych na polski teatr i literaturę.

– Z pewnością ogromnie inspirujący – postawiła tezę Magdalena Środa.

– A ja słyszałam, że najnowsze badania amerykańskich uczonych wskazują, iż oprócz Nagrody Nobla na umysł ludzi piszących zawodowo doskonale wpływa rybie mięso. O ile pamiętam, mówił mi o tym badacz literatury amerykańskiej z Uniwersytetu Floryda. Powoływał się przy tym na Marka Twaina – rozszerzyła niespodziewanie problem prof. Płatek.

– To chyba nie jest ścisłe – powiedział jeden ze słuchaczy, proszący o głos z sali. Skromny, szpakowaty mężczyzna o aksamitnym głosie. – Pani profesor coś słyszała. To prawda, ale niezbyt dokładnie. Najpewniej chodziło o następującą anegdotę. Do Marka Twaina list napisał młody adept literatury, pytając, czy to prawda, że mięso rybie dobrze wpływa na mózg piszących. „Jeśli tak, jak mistrz sądzi, czy ja powinienem też z tego skorzystać? – pytał. – Na próbkę załączam kilka własnych opowiadań" – zakończył. Po kilku dniach amator literatury otrzymał od Twaina depeszę: „Młody człowieku, dwa wieloryby dziennie".

A polskie badaczki?

CO MNIE IRYTUJE

Słowa, słowa, słowa



Katarzyna Łaniewska

Słowa mówione, słowa pisane, słowa słuchane z radia, telewizji i różnych elektronicznych nośników – otaczają nas słowa, które powinny służyć do porozumiewania się. Do spokojnego dialogu i przekazywania wiadomości.

Otaczają nas słowa ważne i mądre, ale również głupie i błahe. Słowa niezwykle potrzebne i takie, które nie powinny wybrzmieć. Słowa używane do porozumiewania się i takie, które służą do kłótni i awantury. Słowa służące do przekazywania racji i do wywołania fermentu. Są słowa prawdziwe, mówiące o faktach, i słowa kłamliwe, po prostu kłamstwa. Są słowa podłe, ordynarne, ohydne. Bywają też słowa miłości i porozumienia, nadziei na pokój i wspólną rzeczywistość, czego oczekujemy, używając takich, a nie innych słów.

Muszą padać czasem słowa przeprosin, wycofywania się, mówienia o pomyłce i o zbłądzeniu. Przede wszystkim musimy sobie zdawać sprawę z tego, że te słowa zostają w druku, w pamięci i w oczach. Nie można bezkarnie używać ohydnych słów, a potem udawać, że się ich nie artykułowało. Mówię o słowach, które padają w naszym życiu codziennym, w polityce, a zwłaszcza w internecie. Na szczęście w moim nieszczęściu, że nie widzę dobrze, nie używam internetu ani nie czytam zawartego w nim hejtu.

Myślę, że jeszcze bardzo ważne jest, by brać za słowa odpowiedzialność. Za to, co się mówiło. Można się wycofać, że nie miało się racji, ale nie iść w zaparte i ochraniać się płaszczem, po którym może wszystko spłynąć. Stwierdzenie, że ktoś mówi nieprawdę, nie rozwiązuje wszystkiego. Było takie powiedzenie: „To nie ja, to syn złodzieja", czyli to mnie nie dotyczy. Mówienie słów do ludzi, do swoich rodaków, do współbraci, że są bez honoru, bo biorą rzucony ochłap – 13. emeryturę?! Jak można tak mówić zza kierownicy dobrego samochodu, z piedestału dużych dochodów, dobrobytu, którego nikomu nie zazdroszczę, jeżeli został osiągnięty ciężką pracą i umiejętnościami. Jak można mówić z taką pogardą?! Czy ktoś, kto dostanie 13. emeryturę i wykupi wszystkie lekarstwa lub kupi coś, o czym marzy – lepszą wędlinę czy słodkie ciasto, na co przez wiele lat nie było go stać – jest bez honoru? Odpowiedzialność i jeszcze raz odpowiedzialność z użyte słowa!

eprasa.pl 0aa079c0ec

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Życie w czasach zarazy

Greta Thunberg powinna rzucić koronawirusowi: „How dare you!”



Ryszard Makowski

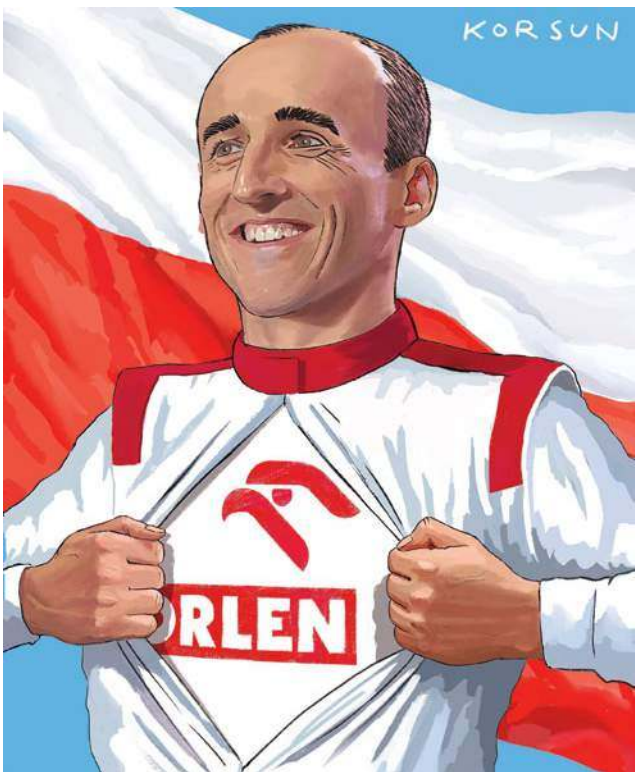
Przychodzi taki moment, że liczni „ratownicy” Ziemi nagle podkulają ogon, bo wiedzą, że istnieją siły natury przerastające ich dobrze opłacane krzykactwo. Zaraza jest jednym z jeźdźców Apokalipsy. Walka z podstępnym wirusem okazuje się trudna i chwilowo nie ma skutecznej metody, żeby powstrzymać epidemię. Do tego dochodzi element paniki.

Na wyobraźnię działał luksusowy statek Diamond Princess. Przycumował po wycieczkowym rejsie u wybrzeży Jokohamy i stał się więzieniem dla ok. 3,7 tys. pasażerów i członków załogi. Musieli siedzieć w swoich kajutach przez dwa tygodnie, zanim zostali ewakuowani. W Wenecji skrócono karnawał i zaprzestano odprawiania mszy świętych. W Włoszech mamy miejscowości odcięte od reszty kraju. Nie można wyjeżdżać ani wjeżdżać.

U nas opozycja też stanęła na wysokości zadania i oskarżyła PiS oraz prezydenta o to, że nie walczą z koronawirusem. Zdjęcie ozdobiono sarkastycznym komentarzem: „Tak prezydent i rząd w fotelach, przy kawce, walczą z koronawirusem. Czujecie się bezpieczniej?”. Naszej opozycji wyraźnie należy się dłuższa kwarantanna. Czoła epidemii stawił „Dziennik Wschodni”: „Co powinniśmy wiedzieć i jak chronić się przed koronawirusem”. Pełni nadziei sięgamy do artykułu, a tam: „Obecnie nie ma żadnych bezpośrednich środków ochrony. Pamiętajmy więc o częstym i dokładnym myciu rąk oraz niedotykaniu brudnymi rękoma ust, oczu i nosa”. Tak kpić z szukających wsparcia czytelników. How dare you?

eprasa.pl 0aa079c0ec

***Michał Korsun prezentuje:* Feniks**



Wycinki z przeszłości

Ostatnie dane pokazują, że alkoholizm jest nadal wielkim społecznym problemem, dotykającym osoby ze wszystkich klas społecznych. Zatrwożony rząd podniósł nawet podatki na trunki sprzedawane w najmniejszych opakowaniach. Z tej okazji przytaczamy krótki tekst z „Przyjaciela Młodzieży" z 1926 r., zatytułowany „Spowiedź":

Przeze mnie więcej ludzi straciło życie, niż przez wojny, zarazy i choroby.

„Przeze mnie ludzkość wyrodnieje.

Przeze mnie schodzą miliony na drogę przepaści medialnej.

Przeze mnie silni słabną, a słabi giną.

Wielu pełnych zapału młodzieńców utalentowanych zamieniam na ciurów i pasożytów społecznych.

Z mędrców czynię idiotów.

Miliony rodzin wtrącam rokrocznie w straszne nieszczęście.



Zna mnie opuszczona żona, znają mnie dzieci, których wnętrzności szarpie głód, znają mnie rodzice, którzy siwe głowy z rozpaczy kryją w dłoniach.

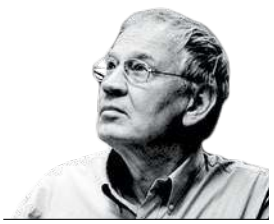
Jestem przyjacielem wrogów Polski.

Zniszczyłem już miliony, a zniszczę drugie tyle.

Imię moje Alkohol.

Na ilustracji rysunek z tego samego numeru zatytułowany »Obłęd opilczy". ***(mk)***

Księżna Marcelina



Leszek Długosz

1 marca minęła 210. rocznica urodzin Chopina. Na tę okoliczność z moich zbiorów wyciągam (ujawniam) z działu „Fantazje osobiste" notkę poświęconą protektorce i najwybitniejszej, jak się przyjmuje, uczennicy Chopina. Księżna Marcelina Czartoryska, mieszkanka hotelu Lambert, pod koniec życia osiedliła się w Krakowie. Wiele dobra przysporzyła w tym mieście, przede wszystkim jako rozmiłowana propagatorka muzyki i organizatorka instytucji muzycznych (Towarzystwa Muzycznego i Konserwatorium). Fundatorzy tablicy immoratywnej w kościele Mariackim, wymieniając jej zasługi, proszą o przekazanie pamięci o niej dalszym pokoleniom. Co czynię z oczywistym respektem i gorliwością.

Spotkaliśmy się w Paryżu na Wyspie Ludwika
(C'etait Paris, l'ile Saint-Louis)
– Szła od hotelu Lambert
Do pobliskiego kościoła
Może pan wstąpi, rzekła najzwyczajniej
Chopin obiecał zagrać u nas dziś
Wieczorem

Rad bym, ach, rad bym, Księżno
I jak bardzo
Nie wiem, czy tylko z czasem się uporam?
I wybacz Pani, żem bez fraka?

Ach, w takim razie obaczym się
Za jakieś dobre dobre ponad sto lat?
– Będziemy po sąsiedzku mieszkać
W Krakowie...
A gdyby mnie nie było w domu?
– Będę się przechadzać
Po Fryderyka biografii kilku stronach
– Proszę, niechże pan zajrzy
Opowiem panu, jak się dziś wieczór powiódł.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0aa079c0ec



OD A DO ZYBERTOWICZA

Współudział Zachodu

Głowię się, jak książka ta pod koniec lat 90. ubiegłego stulecia (wtedy się ukazała) zdołała umknąć mojej uwadze. Tych prawie 750 stron przeczytałem dopiero teraz, podczas zimowego urlopu.

A było tak: przyjaciel z zagranicy spytał, czy po polsku ukazało się dzieło zmarłego w ub.r. wybitnego rosyjskiego dysydenta Władimira Bukowskiego „Judgment in Moscow: Soviet Crimes and Western Complicity"? Zwrócił mi uwagę, że z przytoczonych przez Bukowskiego dokumentów posiedzeń kierownictwa Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego wynika wyraźnie, że zarówno pierestrojka, jak i „okrągły stół" w Polsce, a także walka o odprężenie i rozbrojenie, to były pomysły kagebowsko-kacowskiej elity politycznej ZSRS.

W Polsce książka ukazała się w 1998 r. pod tytułem „Moskiewski proces: Dysydent w archiwach Kremla". Ale jej podtytuł angielski: „Sowieckie zbrodnie i współudział Zachodu" lepiej oddaje przesłanie książki.

WSPÓŁUDZIAŁ ZACHODU

Dokładniej chodzi o współudział elit Zachodu – politycznych, kulturalnych, medialnych, artystycznych i, owszem, naukowych – w wybielaniu, maskowaniu zbrodniczej natury systemu sowieckiego. W nader powściągliwym i niekonsekwentnym wspieraniu rosyjskiej opozycji demokratycznej.

Bukowski swoje zarzuty dobrze argumentuje i formułuje bezpardonowo. Może to wyjaśnia, dlaczego książka po raz pierwszy wydana po francusku w 1995 r., potem przełożona także na niemiecki, wydana po rosyjsku i w innych językach, musiała ponad 20 lat czekać na publikację po angielsku! I to w dość marginalnym wydawnictwie.

GORBI, GORBI

Jednym z powtarzających się motywów tej ważnej pozycji jest niekończące się zdziwienie autora nad naiwnością elit demokratycznego Zachodu. Przez lata nabierały się one na przecieki o rzekomym istnieniu w kierownictwie Związku Sowieckiego jakichś „liberałów", tj. członków kierownictwa partii komunistycznej o rzekomo wolnościowym nastawieniu. Jakże chętnie elity te dały się unieść zachwytowi nad pierestrojką i głasnością, głoszonemu przez ówczesnego szefa partii Michaiła Gorbaczowa.

Tu przypomina mi się rozmowa z japońską studentką na Macquarie University w Sydney w roku 1993, która tylko lekko się krygując, powiedziała, że swemu rozkosznemu kotkowi nadała imię Gorbi.

Zdaniem Bukowskiego ta uległość elit Zachodu przyczyniła się do braku komunistycznej Norymbergi i przemiany komunizmu w postkomunizm, czyli ustrój faktycznie blokujący rozwój oddolnych sił demokratycznych, w tym np. uczciwą prywatyzację.

AGENTURA, AGENTURA

Bukowski, przytaczając liczne dokumenty partyjnego kierownictwa ZSRS, z którymi świat zapoznał się tylko dzięki niemu, demaskuje rozliczne metody urabiania opinii publicznej Zachodu. Opisuje techniki oddziaływania finansowego, organizacyjnego i oczywiście także czysto agenturalnego na zachodnie partie komunistyczne, środowiska socjaldemokratyczne oraz... inne.

AGENTURA ORAZ IDEOLOGIA

Jeszcze przed urlopem przestudiowałem zupełnie inną – zdawałoby się – książkę. Jest nią praca kanadyjskiego filozofa Matthieu Bocka-Côté'a „Multikulturalizm jako religia polityczna".

W efekcie obie książki – Rosjanina i Kanadyjczyka – ułożyły się obok siebie w mojej głowie. Rodzi to interesujące wnioski.

Z jednej strony siły sowieckiej propagandy oraz rosyjskiej agentury w krajach Zachodu nie zrozumiemy bez przemyślenia tego, na czym polega intelektualna i emocjonalna, etyczna często pozornie atrakcyjność idei lewicowych. Z kolei atrakcyjności tych idei dla elit świata demokracji liberalnej w pełni nie zrozumiemy bez wiedzy o roli tajnych służb ZSRS i Rosji w prowadzeniu polityki zagranicznej Kremla.

Kiedyś myślałem, że po demontażu komunizmu (nie był to ani upadek, ani obalenie tego systemu) rosyjskie tajne służby w operacjach werbunkowych już nie będą w stanie bazować na motywacjach ideowych, ale książka Bocka-Côté'a, choć w ogóle kwestiami służb się nie zajmuje, wyprowadziła mnie z błędu.

Odczytanie głębszej natury tego splotu uległości agenturalnej i uwiedzenia ideologicznego to fascynujące zadanie badawcze.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 49/0220/F

eprasa.pl 0aa079c0ec

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII



100 książek w prezencie

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70
prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **Sekretny Dziennik Lasu** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 0aa079c0ec



DRAPIEŻNIKU,

POCZUJ DRESZCZYK NOWOŚCI!

LOTTO

DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ Zdrapki

eprasa.pl 0aa079c0ec

Nie bądź ofiarą cyberprzestępców



FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI POMAGA POSZKODOWANYM I UCZY, JAK SIĘ CHRONIĆ

Przełom technologiczny, nazywany rewolucją cyfrową, coraz śmielej wkracza w nasze życie i determinuje coraz więcej obszarów, w których na co dzień się obracamy. Przy użyciu komputera czy smartfona możemy dziś załatwić wiele spraw, które jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu wymagałyby od nas pofatygowania się do banku, urzędu czy na pocztę. Dziś wiele zrobimy bez wychodzenia z domu lub też zdalnie, np. podczas urlopu, gdzieś daleko od naszego miejsca zamieszkania

Wygoda, jaka stała się naszym udziałem dzięki mobilności cyfrowej, nie ma precedensu w dziejach ludzkości. Historia uczy nas jednak, że każdemu skokowi technologicznemu towarzyszy wiele negatywnych zjawisk, będących ceną, jaką ludzie płacą za usprawnianie procesów zarządzania swoim życiem. Nie inaczej jest w przypadku aktualnie doświadczanej rewolucji cyfrowej. Cyberprzestępstwa, kradzież danych, tworzenie fałszywej rzeczywistości, śledzenie czy nękanie przy użyciu dostępnych dziś nośników i platform cyfrowych to nowe zagrożenia, których ofiarą możemy paść właściwie każdego dnia. Równie łatwo, co załatwić sprawę bez wychodzenia z domu, możemy stracić np. wszystkie swoje oszczędności – także bez wychodzenia z domu i bez żadnego fizycznego kontaktu ze złodziejem. Jesteśmy narażeni na to, że ktoś przejmie nasze dane personalne czy hasła i wykorzysta je, zaciągając na przykład pożyczkę na nasze konto. Najsprytniejsi i najbardziej inteligentni złodzieje już dawno nie posługują się wytrychem czy łomem, ale komputerem. Ofiary przestępstw cyfrowych zazwyczaj nie mają okazji poznać osób, przez które zostały skrzywdzone.

Takim osobom, pokrzywdzonym przez przestępców działających w świecie wirtualnym, ale czyniącym jak najbardziej realne szkody, pomaga Fundusz Sprawiedliwości. Trafiają do niego środki pochodzące z nawiązek, jakie wyrokami sądu muszą płacić skazani przestępcy, oraz składowe wynagrodzeń, jakie otrzymują osadzeni w więzieniach za swoją pracę. Dysponentem Funduszu jest minister sprawiedliwości, a bezpośredni nadzór nad nim sprawuje wiceminister Marcin Romanowski. Podstawowym celem istnienia Funduszu Sprawiedliwości jest sfinansowanie na rzecz osób dotkniętych przestępstwem pomocy medycznej, prawnej bądź materialnej. Dzięki środkom zgromadzonym przez Fundusz prowadzona jest także działalność prewencyjna mająca na celu eliminację potencjalnych przyczyn wpływających na wzrost przestępczości oraz edukacyjna, upowszechniająca wiedzę o tym, jak unikać sytuacji, w których można paść ofiarą przestępstwa. Rozpowszechnianie wiedzy o unikaniu zagrożeń jest szczególnie ważne, zwłaszcza w przypadku nowych zagrożeń związanych z cyberprzestępczością. O ile prawie każdy zdaje sobie bowiem sprawę, że niebezpieczne może być spacerowanie nocami po ciemnych zaułkach, o tyle wciąż zbyt mało z nas orientuje się w zagrożeniach, jakie na nas czyhają, gdy zasiadamy przed komputerem i zanurzamy się w świat internetu.

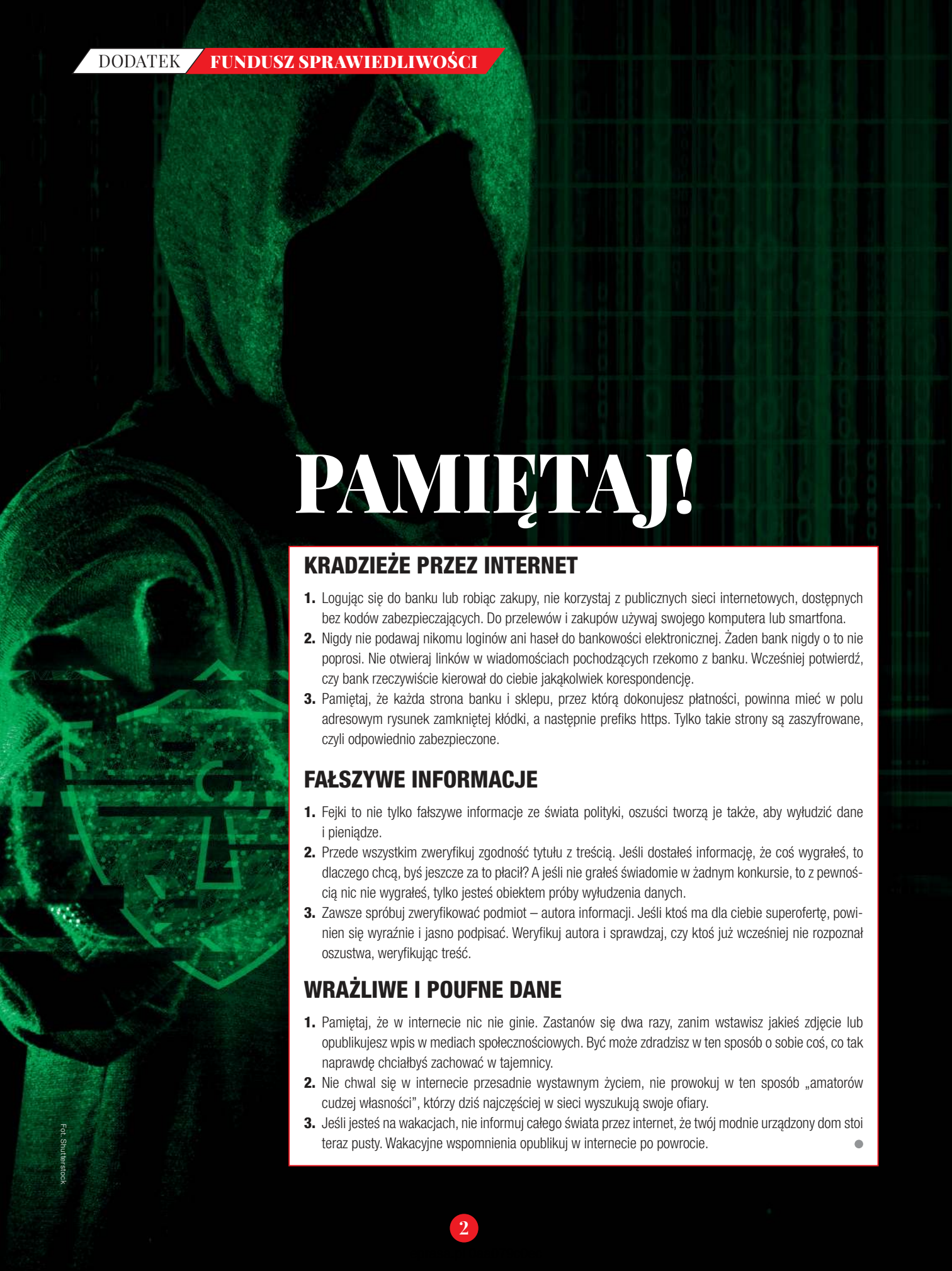
Fot. Shutterstock | 6[illegible]20/F

PARTNERZY DODATKU

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 0aa079c0ec



PAMIĘTAJ!

KRADZIEŻE PRZEZ INTERNET

1. Logując się do banku lub robiąc zakupy, nie korzystaj z publicznych sieci internetowych, dostępnych bez kodów zabezpieczających. Do przelewów i zakupów używaj swojego komputera lub smartfona.
2. Nigdy nie podawaj nikomu loginów ani haseł do bankowości elektronicznej. Żaden bank nigdy o to nie poprosi. Nie otwieraj linków w wiadomościach pochodzących rzekomo z banku. Wcześniej potwierdź, czy bank rzeczywiście kierował do ciebie jakąkolwiek korespondencję.
3. Pamiętaj, że każda strona banku i sklepu, przez którą dokonujesz płatności, powinna mieć w polu adresowym rysunek zamkniętej kłódki, a następnie prefiks https. Tylko takie strony są zaszyfrowane, czyli odpowiednio zabezpieczone.

FAŁSZYWE INFORMACJE

1. Fejki to nie tylko fałszywe informacje ze świata polityki, oszuści tworzą je także, aby wyłudzić dane i pieniądze.
2. Przede wszystkim zweryfikuj zgodność tytułu z treścią. Jeśli dostałeś informację, że coś wygrałeś, to dlaczego chcą, byś jeszcze za to płacił? A jeśli nie grałeś świadomie w żadnym konkursie, to z pewnością nic nie wygrałeś, tylko jesteś obiektem próby wyłudzenia danych.
3. Zawsze spróbuj zweryfikować podmiot – autora informacji. Jeśli ktoś ma dla ciebie superofertę, powinien się wyraźnie i jasno podpisać. Weryfikuj autora i sprawdzaj, czy ktoś już wcześniej nie rozpoznał oszustwa, weryfikując treść.

WRAŻLIWE I POUFNE DANE

1. Pamiętaj, że w internecie nic nie ginie. Zastanów się dwa razy, zanim wstawisz jakieś zdjęcie lub opublikujesz wpis w mediach społecznościowych. Być może zdradzisz w ten sposób o sobie coś, co tak naprawdę chciałbyś zachować w tajemnicy.
2. Nie chwal się w internecie przesadnie wystawnym życiem, nie prowokuj w ten sposób „amatorów cudzej własności", którzy dziś najczęściej w sieci wyszukują swoje ofiary.
3. Jeśli jesteś na wakacjach, nie informuj całego świata przez internet, że twój modnie urządzony dom stoi teraz pusty. Wakacyjne wspomnienia opublikuj w internecie po powrocie.

Fot. Shutterstock

Jak się nie dać złodziejom w internecie



BĄDŹ CZUJNY I SPOSTRZEGAWCZY, NIE DZIAŁAJ RUTYNOWO

Korzystanie z bankowości elektronicznej i dokonywanie zakupów w sieci to dwie czynności, podczas których jesteśmy najbardziej narażeni na kradzież naszych danych. Oczywiście celem złodziei działających w wirtualnym świecie nie są nasze dane, ale ich zdobycie ma im posłużyć do ogołocenia nas z jak najbardziej realnych pieniędzy

Dokonując operacji bankowych czy zakupów w internecie, tak naprawdę nie mamy się czego bać, jeśli będziemy konsekwentnie stosowali się do kilku prostych zasad, które zapewnią nam bezpieczeństwo. Przede wszystkim musimy wyróżnić codzienne, zwykłe korzystanie z sieci w celach rozrywkowych bądź edukacyjnych od czynności bardziej wrażliwych. Te drugie wiążą się zazwyczaj z używaniem kodów dostępu, takich jak loginy czy hasła, a niektóre – jak zakupy – z podaniem numeru karty kredytowej. Fachowcy od zabezpieczeń są zgodni, że tego typu operacji, w których angażujemy nasze dane personalne, nie należy prowadzić z wykorzystaniem publicznych i ogólnodostępnych sieci wi-fi. Nie powinniśmy ich także dokonywać przy użyciu urządzeń zlokalizowanych w publicznych miejscach, takich jak kafejki internetowe czy stanowiska komputerowe w urzędach czy bibliotekach. Jeżeli chcemy zrobić przelew czy zapłacić za zakupy, korzystajmy z naszego prywatnego urządzenia i sieci, co do której mamy pewność, że jest bezpieczna, a więc na przykład naszego domowego wi-fi, które jest zabezpieczone solidnym hasłem.

Jeżeli ktoś zapomniał kiedyś swój login bądź hasło do bankowości elektronicznej i próbował je odzyskać, korzystając z usług operatora infolinii, to na pewno się zorientował, że jest to dosyć skomplikowana procedura, wymagająca wygenerowania tymczasowego kodu, a następnie także tymczasowego, jednorazowego hasła. Chodzi o to, by nikt poza nami, nawet prowadzący rozmowę operator, nie poznał, jaki login i hasło ustaliliśmy, by służyło za dostęp do naszego konta. Skoro zatem pracownik banku nie wchodzi w posiadanie tych wrażliwych danych w czasie ich ustalania, to przecież jasne jest, że także później nie będzie ich od nas żądał. Tę zasadę należy zapamiętać – nigdy nikt, poza osobami próbującymi wyłudzić nasze dane w celach przestępczych, nie będzie żądał od nas takich danych jak login czy hasło, czy to w rozmowie telefonicznej, czy to mailowo, czy też esemesem. Jeżeli taka prośba padnie, należy natychmiast przerwać rozmowę, a maila lub esemesa skasować, nie otwierając dołączonych do nich załączników.

Zasada numer trzy odwołuje się do naszej spostrzegawczości. Wchodząc na stronę, przez którą chcemy dokonywać operacji finansowych, musimy po prostu się upewnić, że jej adres poprzedzają znaki „https”, przy czym kluczowa jest litera „s”, która odróżnia strony szyfrowane. Dodatkowo „https” powinien w polu adresu strony poprzedzać rysunek zamkniętej kłódki. Każdy bank, który oferuje usługi elektroniczne, będzie w ten sposób uwidoczniony w pasku adresowym.

W pułapkę zastawioną przez złodziei możemy wpaść także przez rutynę. Jeżeli np. często dokonujemy zakupów w tym samym sklepie internetowym, to warto, abyśmy za każdym razem sami wchodzili na stronę tego sklepu poprzez samodzielne wyszukanie w wyszukiwarce. Jednym z najczęściej wykorzystywanych forteli przestępców internetowych jest bowiem tworzenie fikcyjnych stron, które wyglądają identycznie jak te, które znamy. Teraz wystarczy tylko podesłać je nam ze stosownym linkiem do takiego fałszywego „sklepu”, gdzie podamy swoje dane personalne i kody do realizacji płatności, a nasze konto szybko może zostać wyczyszczone z gotówki.

Należy także zwracać baczną uwagę na numer konta, na który zamierzamy przelać pieniądze. To długie, 26-cyfrowe numery i wiele osób woli je skopiować i wkleić w pole dialogowe na stronie banku, zamiast żmudnie wpisywać. Możemy je kopiować, ale zawsze sprawdźmy chociaż, czy numer po wklejeniu się zgadza. Znane są już od lat złośliwe programy, które zamieniają numery kont w czasie operacji „kopiuj–wklej”, a w efekcie pieniądze nie trafiają pod żądany adres, ale na rachunki przestępców. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0aa079c0ec



Fejki – ich twórcy chcą naszych pieniędzy

OSZUSTWA PLENIĄ SIĘ W WIRTUALNYM ŚWIECIE

Konieczność opisywania nowych zjawisk związanych ze światem internetu skutkuje prawdziwym szturmem anglicyzmów na inne języki narodowe, w tym oczywiście na język polski. Jednym z przykładów nowego słowa, które trafiło już dziś do powszechnego użycia w naszym kraju jest „fejk". Polski „fejk" to nic innego jak fonetyczny zapis angielskiego słowa „fake" oznaczającego imitację. Skąd jednak wzięła się globalna kariera tego słowa? Z kolejnego negatywnego i często przestępczego zjawiska towarzyszącego rozwojowi internetu, jakim jest umyślne tworzenie tzw. fake newsów, czyli po prostu fałszywych informacji zazwyczaj mających posmak sensacji.

Dotychczas zidentyfikowano w zasadzie jedynie dwa główne cele tworzenia fejków. Mają one przynieść swoim twórcom korzyści polityczne bądź finansowe. W świecie polityki mamy do czynienia z coraz bardziej rozpowszechnionym zjawiskiem, jakim jest prowadzenie kampanii wokół fejk niusów. Co ciekawe, paliwem politycznym nie jest już tylko rzeczywiste tworzenie fałszywych informacji, ale także oskarżanie politycznych oponentów o działania, których modus operandi ma się opierać właśnie na fejkach. Trzeba zatem naprawdę mocnego wyrobienia politycznego, sporej dozy sceptycyzmu i zaangażowania w docieraniu do źródeł danej informacji, by z całą pewnością stwierdzić, że nie jest się podatnym na tego typu falsyfikującą fakty działalność.

W wymiarze ogólnym tworzenie fejków z obszaru polityki może przynieść oczywiście ogromne straty i przyczynić się do sukcesów politycznych osób posługujących się kłamstwem i cynizmem, a więc zwyczajnie nieuczciwych. Jednak dla każdego człowieka realnym zagrożeniem są fejki tworzone w celu osiągniecia korzyści majątkowych, kosztem odbiorcy takiego fałszywego przekazu. Prekursorami fejków internetowych, jakimi dziś posługują się wszelkiej maści naciągacze, byli organizatorzy tzw. pokazów czy prezentacji, w trakcie których sprzedawali osobom z publiczności komplety garnków czy też odkurzacze o niskiej wartości rynkowej po wielokrotnie zawyżonej cenie. W tym przypadku fejkiem, a więc imitacją, było niemalże wszystko – fachowość zachwalającego sprzęt, renoma jego firmy, jakość oferowanego towaru, a także cena, z jakiej rzekomo towar ten został przeceniony. Realne i zupełnie niefejkowe były jedynie pieniądze, które uczestnicy takich spotkań płacili za wciskany im chłam.

O garnkowych pokazach zrobiło się jednak głośno i dziś coraz trudniej ich organizatorom znaleźć osoby, które udałoby się naciągnąć. Proceder ten przeniósł się zatem do internetu. Tutaj tworzone są niezliczone fejki, które informują nas, że właśnie wygraliśmy bardzo drogiego smartfona, a w zasadzie to możemy go kupić za złotówkę. Wystarczy, jak podamy nasze dane i numer karty kredytowej, by tę złotówkę zapłacić. „Wygrywamy", bo nagle się okazuje, że jesteśmy osobą nr milion, która odwiedza daną stronę, „wygrywamy", bo algorytm wykrył, że mamy dziś urodziny, „wygrywamy" bo obdarowujący ma dziś dobry humor i chce nam sprzedać najnowszego iPhone'a za 2,5 zł. Pamiętajmy, że wszystkie te informacje to zwykłe fejki, których celem jest wyłudzenie naszych danych. Zachowajmy chłodną głowę i nie klikajmy nawet w linki, które mają prowadzić nas do niespodziewanych, zupełnie przypadkowych i zagadkowych „wygranych", których sami nie inicjowaliśmy. ●

CECHY FEJKA

- Sensacyjny tytuł, który po analizie tekstu nie ma uzasadnienia w faktach. „Wygrałeś smartfona! Gratulujemy" – to tytuł, a w treści czytasz, że musisz zapłacić dwa złote z karty kredytowej i podać swoje dane.
- Autor wiadomości jest nieczytelny. W przypadku próby wyłudzenia raczej nie dopatrzymy się nazwy podmiotu, który chce nam podarować np. smartfona. Jeśli jakaś nazwa występuje – sprawdźmy ją, a także opinie o niej. Dziś można sprawdzać w internecie także numery telefonów, których nie znamy, a z których dzwonią telemarketerzy.
- Poszukajmy, czy treść, z jaką mamy do czynienia, nie była wcześniej rozpowszechniona. Być może już ktoś przed nami zdemaskował oszustwo.

WAŻNE – wszystkie te kroki podejmijmy przed dokonaniem jakiekolwiek operacji angażującej nasze wrażliwe dane. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0aa079c0ec

Warto zachować coś dla siebie

NIE WSTAWIAJMY CAŁEGO ŻYCIA DO INTERNETU

Pokolenie dzisiejszych nastolatków będzie pierwszym pokoleniem, które na masową skalę zmierzy się od samego początku odpowiedzialnego, dorosłego życia z wyzwaniem, jakim jest całkowite wyzbycie się prywatności spowodowane nadaktywnością w przestrzeni wirtualnej.

Algorytmy, skrypty, instrumenty powiązane ze sztuczną inteligencją, która permanentnie zbiera dane na nasz temat – kogo lubimy, co czytamy, gdzie jeździmy, co jemy, jakiemu sportowcowi kibicujemy, czy dbamy o siebie, czy upijamy się, jakiego polityka popieramy – to już nasza codzienność. Narzędzia te, zwane zbiorowo big data, w bardzo krótkim czasie zastąpią tradycyjne sposoby oceny i doboru będące udziałem współczesnego człowieka. O tym, czy nadajemy się do pracy na stanowisku, o które aplikujemy, zdecyduje komputer. To on może wykryć, że sympatyzujemy z politykiem, który w algorytmie przedsiębiorstwa ma status „nieakceptowalny", lub też zostaniemy odrzuceni, bo 10 lat wcześniej wrzuciliśmy do mediów społecznościowych zdjęcie z papierosem, a poszukiwany jest pracownik niepalący. Prowadząc aktywne życie internetowe, dzieląc się swoimi pasjami, przeżyciami, sympatiami czy niechęciami – sami dostarczamy danych o sobie i materiału do analizy, którą przeprowadzają coraz bardziej zaawansowane systemy. Odkrywanie swojej prywatności wiąże się jednak nie tylko z ewentualną segregacją, jakiej zostaniemy poddani przez narzędzia big data, lecz niesie z sobą całkiem realne zagrożenia.

Socjologowie już dawno zauważyli i opisali zjawisko, jakim jest celowe podkręcanie swojego statusu materialnego i społecznego w internecie. Media społecznościowe pełne są zdjęć opalonych, zadowolonych ludzi, szeroko korzystających z życia. Rzadko kto wstawia tam obrazki ukazujące szarzyznę dnia codziennego. Innymi słowy – lubimy się w sieci chwalić, czy to naszym wyglądem, czy to bogato i ze smakiem urządzonym mieszkaniem, czy to wakacyjnymi eskapadami w egzotyczne zakątki świata. To właśnie połączenie – prezentacji bogatego domu z częstymi wyjazdami, o czym informujemy cały świat za pośrednictwem internetu, jest – z punktu widzenia osób zajmujących się zapobieganiem przestępstwom – wielką niefrasobliwością. Niejednokrotnie zapewne słyszeliśmy porady policjantów, by podczas wyjazdu urlopowego stworzyć pozory naszej obecności w domu – zostawić zapalone jedno ze świateł, poprosić sąsiada o odbiór listów ze skrzynki, poprosić znajomego, by czasem wpadł i otworzył okno. Działania te miały na celu wprowadzenie w błąd potencjalnego złodzieja, który przed dokonaniem włamania obserwowałby nasze mieszkanie. Zabiegi te jednak i powtarzane od lat przez specjalistów rady tracą na znaczeniu w sytuacji, gdy sami informujemy świat, że najbliższe dwa tygodnie spędzimy z dala od domu. Pamiętajmy, że chęć wzbudzenia zazdrości wśród znajomych z mediów społecznościowych może zostać okupiona bardzo dotkliwymi stratami po powrocie. Dzisiejsi złodzieje nie muszą się już trudzić prowadzeniem obserwacji mieszkania i zwyczajów domowników, wystarczy im biegłość w posługiwaniu się popularnymi społecznościówkami. To tam znajdą wszystkie interesujące ich informacje, zarówno o przedmiotach, jakie można w danym mieszkaniu znaleźć, jak i o terminie i długości wyjazdu potencjalnej ofiary.



Fot. Shutterstock

Czy oznacza to, że mamy poskąpić naszym znajomym urokliwych zdjęć gorących plaż czy słynnych zabytków? Nie, ale zrobimy lepiej, jeśli podzielimy się z nimi naszymi przeżyciami po powrocie, a w czasie urlopu nie będziemy „udostępniali" naszej lokalizacji. Podobną wstrzemięźliwość i umiar w dzieleniu się swoimi przeżyciami czy przemyśleniami warto zachować także we wszelkich aspektach życia. W internecie nic nie ginie. To, że usunęliśmy dodane wcześniej zdjęcie czy wpis, nie oznacza, że ktoś już go nie skopiował i nie zachował. A jeśli to zrobił, to być może po to, by w przyszłości zrobić z tego użytek, który wpędzi nas w kłopoty. ●

eprasa.pl 0aa079c0ec



Niełatwo mówić o własnej krzywdzie

TYDZIEŃ POMOCY OSOBOM POKRZYWDZONYM PRZESTĘPSTWEM

Pora roku nie jest czynnikiem wpływającym na liczbę popełnianych przestępstw, dlatego wiele osób może zapewne dziwić to, że akurat w lutym pod patronatem Ministerstwa Sprawiedliwości i Prokuratury Krajowej odbywa się cyklicznie od 2000 r. Tydzień Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem. Od razu warto zaznaczyć, że pomoc ofiarom przestępstw jest świadczona, przy użyciu środków gromadzonych w ramach Funduszu Sprawiedliwości, przez wszystkie dni roku, a Tydzień jest inicjatywą mającą podkreślić solidarność z ofiarami i zachęcić wiele osób do przełamania bariery strachu i wstydu, jaki często towarzyszy poszkodowanym w mówieniu o swojej krzywdzie.

Inicjatywa organizacji Tygodnia Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem wiąże się z ustalonym na dzień 22 lutego Dniem Ofiar Przestępstw, który pokrywa się w Polsce z ustanowionym już w 1988 r. przez Parlament Europejski European Victims Day (Europejskim Dniem Ofiar). W tym roku w Polsce Tydzień Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem ustalono na termin 21–28 lutego. W tych dniach każda osoba poszukująca pomocy mogła uzyskać bezpłatną poradę prawną oraz psychologiczną m.in. w sądach, prokuraturach, komendach policji, siedzibach prawniczych samorządów zawodowych czy organizacjach pozarządowych w całym kraju. W organizację obchodów – oprócz Ministerstwa Sprawiedliwości i Prokuratury Krajowej – włączyli się asystenci sędziów, referendarze, adwokaci, radcowie prawni, aplikanci, psychologowie, kuratorzy sądowi i policjanci.

Idea tygodnia, która zrodziła się w Ministerstwie Sprawiedliwości w 2000 r., miała na celu zwrócenie szczególnej uwagi na potrzeby i prawa ofiar przestępstw. Praktyka lat ubiegłych wskazuje, że w najtrudniejszym położeniu znajdują się osoby będące ofiarami przemocy domowej lub przemocy w miejscu pracy, a których gehenna trwa czasem długie lata. Takim ofiarom często najtrudniej wyrwać się z przemocowej relacji z oprawcą i przemóc się, by poszukać skutecznych form pomocy. Wsparcie realizowane w ramach Tygodnia Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem można uzyskać w setkach punktów na terenie całej Polski. Sieć placówek jest bardzo liczna, by żadna z osób potrzebujących nie została wykluczona z uwagi na przykład na przeszkody komunikacyjne.

Organizacja tygodnia wpisuje się w szersze działania Ministerstwa Sprawiedliwości realizowane na bazie środków pochodzących z Funduszu Sprawiedliwości. Warto przypomnieć także tzw. ustawę antyprzemocową, opracowaną w ubiegłym roku przez resort sprawiedliwości, która w sposób bezprecedensowy poprawiła sytuację osób zagrożonych przemocą domową, których wg policyjnych statystyk żyje w Polsce aż ćwierć miliona.

Kierowany przez ministra Zbigniewa Ziobrę resort zdecydowanie akcentuje potrzebę wsparcia dla ofiar kosztem sprawców przestępstw, stąd należy podkreślić, że działania wspierające poszkodowanych nie zakończyły się wraz z upływem Tygodnia Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem. Infolinia Ministerstwa Sprawiedliwości 222 309 900, finansowana z Funduszu Sprawiedliwości, służy pomocą ofiarom przestępstw 24 godziny na dobę przez wszystkie dni. Pod adresem internetowym www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl można także znaleźć dokładny wykaz miejsc i godzin pracy punktów udzielających bezpłatnej pomocy ofiarom przestępstw nie tylko w trakcie trwania tygodnia, lecz przez cały rok.

Dzięki wyraźnemu i zdecydowanemu opowiedzeniu się po stronie ofiar przez obecne kierownictwo resortu sprawiedliwości takie inicjatywy jak Tydzień Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem i narzędzia jak Fundusz Sprawiedliwości zyskały wreszcie oczekiwaną jakość i skuteczność. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0aa079c0ec

SUKCES KAMPANII INFORMACYJNEJ

Polacy odkrywają Fundusz Sprawiedliwości

Mimo iż w tym roku miną już 23 lata od powołania Funduszu Sprawiedliwości, to do tej pory mało kto zdawał sobie sprawę z istnienia takiego narzędzia. Dopiero obecne kierownictwo Ministerstwa Sprawiedliwości postanowiło wdrożyć efektywne procedury, które nie tylko znacząco zwiększyły zasoby finansowe, jakimi dysponuje obecnie Fundusz, lecz także wypromowały jego istnienie w społeczeństwie, budując tym samym świadomość, że ofiary przestępstw mogą liczyć także na materialne wsparcie ze strony państwa.

Badania przeprowadzone przez Instytut Pollster dowiodły, że kampania prowadzona w 2019 r. efektywnie wpłynęła zarówno na rozpoznawalność Funduszu Sprawiedliwości w społeczeństwie, jak i skutecznie poinformowała o jego działalności i przeznaczeniu gromadzonych w nim środków.

Aż 74 proc. badanych przyznało, że zanotowało odbiór kampanii dotyczącej Funduszu Sprawiedliwości, a aż 54 proc. powiązało hasło „Pomagamy sprawiedliwie" właśnie z jego istnieniem i działaniami realizowanymi przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Dzięki kampanii udało się dotrzeć do Polaków z przekazem, że Fundusz Sprawiedliwości jest narzędziem państwowym, a nie prywatną inicjatywą, jego dysponentem zaś jest minister sprawiedliwości.

W raporcie Instytutu Badań Pollster czytamy m.in., że kampania skutecznie informuje o funkcji, jaką pełni Fundusz Sprawiedliwości, a aktywność medialna spowodowała, że znacząco wzrosła liczba respondentów, którzy poprawnie rozpoznają cele i główne aspekty działania Funduszu, wymieniając przede wszystkim „pomoc pokrzywdzonym", „pomoc świadkom przestępstw" oraz „przeciwdziałanie przestępczości". Odsetek ten wzrósł z 33 proc. na początku kampanii informacyjnej do 51 proc. po jej półrocznym prowadzeniu. Jednocześnie odnotowano wyraźny spadek liczby osób, które wciąż nie wiedzą, jaki jest cel i istota działania FS. Odsetek osób odpowiadających: „Nie wiem, jaki jest główny cel działania FS", wyniósł w badaniu podsumowującym 34 proc. w stosunku do 46 proc. na początku kampanii.

Pomysłodawcom i twórcom kampanii najbardziej zależało na tym, by każdy polski obywatel zyskał wiedzę, że w razie sytuacji, w której padnie ofiarą przestępstwa bądź czuje się zagrożony – np. gdy został jego świadkiem – może skorzystać z pomocy Funduszu Sprawiedliwości. Cel ten udało się osiągnąć. Na początku kampanii 43 proc. respondentów miało taką świadomość, obecnie ma ją już 58 proc.

Twórców kampanii wyjątkową dumą może napawać to, że aż dla 70 proc. badanych treści i forma przekazu informacji o Funduszu Sprawiedliwości wydaje się atrakcyjnie podana i dobra. Ankietowani zwracali uwagę, że kampania jest czytelna i właściwie przekazuje komunikaty. Pollster wnioskuje, że najsilniej wybrzmiewają informacje o tym, że FS zapewnia opiekę specjalistyczną osobom pokrzywdzonym przestępstwami (81 proc. wskazań respondentów), że każdy obywatel Polski może skorzystać z pomocy Funduszu (79 proc.) oraz że FS dba o obywateli (77 proc.). Dla większości badanych przekazywane informacje są wiarygodne (60 proc. wskazań) i ważne (84 proc. wskazań).

Oczywiście każdy z nas powinien sobie życzyć, by nigdy nie znaleźć się w sytuacji, w której będzie musiał szukać wsparcia w Funduszu Sprawiedliwości, natomiast każdy powinien wiedzieć o istnieniu takiego narzędzia w zasobach państwa polskiego. Dotychczasowy brak szerokiej informacji społecznej o możliwości skorzystania z pomocy środkowych gromadzonych przez Fundusz można śmiało uznać za zaniedbanie poprzedników obecnego kierownictwa resortu sprawiedliwości. To właśnie takie kampanie jak ta otwierają Polakom oczy na fakt, że państwo mogło i może czynić dla ochrony swoich obywateli dużo więcej, niż się nam wszystkim wydawało. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl/0ae079c0ec

Ofiary nie mogą zostać same!

PLACÓWKI FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI SĄ W CAŁEJ POLSCE

Fundusz Sprawiedliwości składa się z Funduszu Pomocy Osobom Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Jest funduszem celowym ukierunkowanym nie tylko na pomoc ofiarom przestępstw, lecz także ich świadkom, zawiera więc w sobie ideę kompleksowego przeciwdziałania skutkom przestępstwa. Chociaż Fundusz Sprawiedliwości został utworzony już w 1997 r., to dopiero w ostatnich kilku latach zaczął odgrywać znaczącą rolę poprzez dynamiczny wzrost środków będących w dyspozycji Funduszu. Jeszcze w latach 2013–2017 ośrodki świadczące pomoc ofiarom przestępstw otrzymywały rocznie mniej niż 20 mln zł do podziału, w 2018 r. było to 25 mln zł, a w 2019. aż 76 mln zł!

O pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości najłatwiej się zwrócić, telefonując na całodobową, czynną siedem dni w tygodniu infolinię obsługiwaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości **222 309 900**.

Połączenie z tym numerem jest bezpłatne dla ofiar i świadków przestępstw. Jednocześnie więcej sposobów kontaktu można znaleźć na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl, gdzie m.in. można znaleźć wykaz kilkuset placówek i ośrodków pomocowych rozsianych po całej Polsce.

Środki, jakie zasilają Fundusz Sprawiedliwości, trafiają do niego m.in. z nawiązek zasądzanych od skazanych przestępców i z części wypłat, jakie otrzymują osoby skazane, pracujące podczas odsiadywania kary pozbawienia wolności. ●

DZIĘKI PIENIĄDZOM FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI REALIZOWANE SĄ:

- pomoc osobom pokrzywdzonym przestępstwem oraz osobom im najbliższym, zwłaszcza pomoc medyczna, psychologiczna, rehabilitacyjna, prawna oraz materialna,
- pomoc postpenitencjarna dla osób pozbawionych wolności, zwalnianych z zakładów karnych i aresztów śledczych oraz dla ich najbliższych, udzielana przez zawodowych kuratorów sądowych oraz Służbę Więzienną,
- działalność podejmowana lub powierzona przez dysponenta Funduszu, mającą na celu wsparcie i rozwój systemu pomocy dla osób pokrzywdzonych przestępstwem i świadków oraz pomocy postpenitencjarnej, a także przeciwdziałanie przyczynom przestępczości, polegające w szczególności na:

– promowaniu i wspieraniu inicjatyw oraz przedsięwzięć służących poprawie sytuacji osób pokrzywdzonych przestępstwem oraz skutecznej readaptacji skazanych,
– podejmowaniu przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym i informacyjnym, w tym dotyczących przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz jej zapobiegania,
– pokrywaniu kosztów związanych z organizowaniem i prowadzeniem kształcenia, studiów podyplomowych, kursów dokształcających,
– podejmowaniu, organizowaniu i zlecaniu badań naukowych, prac rozwojowych, współpracy z innymi jednostkami w tym zakresie, dotyczących sytuacji oraz potrzeb osób pokrzywdzonych przestępstwem, świadków, osób skazanych, a także przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz sposobów jej zapobiegania,
– promowaniu systemu pomocy osobom pokrzywdzonym przestępstwem i świadkom oraz pomocy postpenitencjarnej,
– upowszechnianiu wiedzy na temat praw osób pokrzywdzonych przestępstwem oraz alternatywnych metod rozwiązywania konfliktów, w szczególności mediacji w sprawach rodzinnych, nieletnich i karnych,
– działaniu wspierającym rodziny zagrożone dysfunkcyjnością, w szczególności w zakresie profilaktyki i terapii uzależnień oraz współuzależnień i rozwiązywania konfliktów w rodzinie.



Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0aa079c0ec